



*Margaret McPhee*



*Przewrotna gra*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Theatre Royal, Covent Garden, Londyn*

*Listopad 1810 r.*

Aplauz był ogłuszający i nie cichł nawet, gdy ciężka szkarłatna kurtyna opadła na scenę, kryjąc ulubienicę tłumów przed chciwym wzrokiem publiczności.

W drodze za kulisy Venetia Fox radośnie uściskała przyjaciółkę i partnerkę sceniczną.

- Wciąż jeszcze nie usiedli, Alice.

- Nie wierzę! To cudowne! Nie widziałam dotąd takiego przyjęcia. - W podnieceniu oczy Alice błyszczały, a akcent wyraźnie pobrzmiwał irlandzkim zaśpiewem.

- Przywykniesz - roześmiała się Venetia.

- Myślisz, że to się powtórzy?

Venetia z uśmiechem skinęła protegowanej głową.

- Miałaś rację, nic nie może się z tym równać. - Twarz Alice jaśniała tą samą euforią, która rozgrzewała krew w żyłach Venetii. Z dala od olśniewającej fasady i przepychu foyer liche i wąskie korytarze tonęły w mroku, lecz nawet to nie stłumiło radości aktorek.

Alice zawahała się pod drzwiami małej garderoby, którą dzieliły. Spojrzała w oczy przyjaciółki.

- Dziękuję. Pomogłaś mi. Przekonałaś pana Kemble'a, żeby dał mi szansę.

- Od razu wiedziałam, że zostaniesz gwiazdą. Będziemy świętować po spotkaniu w pokoju aktorów.

- Oczywiście, najpierw obowiązki - zgodziła się Alice. - Widzisz, uczę się, jak się zachowuje prawdziwa aktorka.

Venetia roześmiała się radośnie, wspominając długą drogę, jaką przeszła Alice w przeciągu ostatniego roku. Okazywała już pewność siebie, godność i optymizm. Venetia nie posiadała się ze szczęścia. Otworzyła drzwi garderoby.

Uśmiechała się jeszcze, widząc na stoliku bukiet róż. Zaraz jednak niefrasobliwy nastrój ulotnił się jak kamfora.

Alice w nieświadomości nadal trajkotała, a róże rozweseliły ją jeszcze bardziej.

- Ktoś wystartował przed czasem. Dotarł tu na długo przed pozostałymi. - Musnęła palcem pęk kwiatów. - I nie jest to zwyczajny bukiet. Która z nas jest szczęściarą?

Venetia знаła odpowiedź, nim jeszcze zapoznała się z treścią liścika. Dwanaście róż było w miękkim i aksamitnym kolorze szkarłatu, pośrodku zaś jaśniał samotny, kremowobiały kwiat. Tak, jak zapowiadał Robert. Na tę wiadomość czekała ostatnimi tygodniami. Minęło tyle czasu, że prawie zdążyła zapomnieć, na co przystała. Prawie.

Sięgnęła po kartkę znaczoną kreskami czarnego inkaustu.

- Masz nowego wielbiciela. Nakreślił tylko swój inicjał. - Alice uniosła znacząco brwi. - Bardzo tajemniczy!

Dla Venetii nie było tajemnicy. Uśmiechnęła się, ale bez przekonania. Wiedziała, czyje to było pismo. Przeczytała na głos pojedyncze słowo: „Dzisiaj”.

- Intrygujące. Kto to? - zaciekała się Alice.

- Nie mam bladego pojęcia. - Venetia położyła się i od niechcienia rzuciła bilecik na toaletkę.

- To dopiero będzie kość niezgody między Hawickiem i Devlinem - ucieszyła się Alice. - Hawick uważa, że ma cię na haczyku.

- No to jest w błędzie. - Venetia nie chwyciła przynęty.

- Wolisz więc Devlina? - dopytywała się psotnie Alice.

- Alice!

- Tylko się drocę! - Uśmiechała się szeroko. - Gdyby jednak to o mnie walczyli książę z wicehrabią, nie udawałabym takiej cnotliwej.

- Lepiej mieć własne pieniądze niż być w mocy cudzych. - Roli złowrogiego Krezusa nie odgrywał jednak w jej myślach ani książę Hawick, ani wicehrabia Devlin. Nie ona też była ową nieszczęsną, zniewoloną kobietą.

Odwróciła myśli od przeszłości, by przygotować się na nadchodzący wieczór. Miała uwieść innego jeszcze fortunata. Kwietna wiadomość była znakiem, że w tej właśnie chwili przyszła ofiara czeka w pokoju aktorów. Był nią kolejny rozpustny i arogancki szlachcic, taki sam jak wszyscy inni. Venetia nie chciała jednak gubić się w domysłach ani poddawać lękowi. Chłodno przygotowała się do swego zadania.

- Szybciej, odwróć się - pospieszała ją Alice. - Czekają na nas.

- Oczekiwanie tylko zaostrza apetyt.

Czekali, a wraz z nimi on. Venetia uśmiechnęła się ponuro, myśląc o czekającym ją wyzwaniu. Stała plecami do Alice, by ta rozwiązała jej gorset.

- Nie powinienem dać ci się namówić - rzekł Francis Winslow, znany szerzej jako wicehrabia Linwood. Rozglądał się po wnętrzu, gdzie dżentelmeni i parowie flirtowali już z pośledniejszymi aktorkami, które zeszły tu prosto ze sceny. W pokoju dla aktorów panował wystrój rokoko. Zielone ściany zdobione były bogatymi, złożonymi sztukateriami i udekorowane wielkimi lustrami w ornamentowych ramach, w których odbijały się płomienie świec osadzonych w kryształowych kandelabrach. Ze środka stropu zwieszał się jedyny żyrandol, którego nieliczne świece służyły nie tyle oświetleniu, co raczej ukryciu ogólnego zaniedbania wnętrza z pretensjami do elegancji.

- Czemuż to? Nie chcesz poznać sławnej panny Fox lub uroczej panny Sweetly? - markiz Razeby uniósł brew.

- Może przy innej okazji.

- Do diaska, Linwood, rozerwij się. Wierz mi, warto zawiesić na nich oko. Dopiero z bliska można naprawdę docenić ich powaby. Panna Fox przypomina chłód księżycowej poświaty, a Sweetly jest jak ciepły promień słońca. Obie są cudowne, choć tak odmienne.

- Dłonie markiza utworzyły w powietrzu ulotny zarys kobiecej figury. - Rozumiemy się?

- Nie tak trudno cię zrozumieć.

- Którą wolisz?

- Nie szukam wrażeń.

- Ostatnia nieźle dała ci się we znaki? Minęło już sporo czasu.

- Co innego mnie w tej chwili zajmuje.

- Może. Ale moim zdaniem przydałoby ci się coś ciepłego, miękkiego i apetycznie zaokrąglonego. Dla oderwania myśli.

- Nie chcę się od nich odrywać. - Linwooda interesowała obecnie tylko jedna sprawa. Pragnęłyby mieć tak frywolne i nic nieznaczące, odziane w lekkie sukienki dylematy. Dla niego te czasy już minęły i miały pewnie nigdy nie wrócić. Życie stało się dużo bardziej skomplikowane.

- Pracowałem nad panną Sweetly. Dojrzała do zbioru. Panna Fox to jednak zupełnie inna historia. Wyobrażasz sobie mieć je obie? Jednocześnie?

Razeby westchnął wymownie.

Linwood wiedział, że przyjaciel chce mu jedynie pomóc. Nie wiedział jednak, co się stało i co zmuszony był zrobić.

Wicehrabia oddalił od siebie te myśli wraz ze wspomnieniem sceny z Rotherhamem.

- Pozostawię cię z twoimi aktorkami i marzeniami - rzekł. - Będę na balkonie.

- Żaloszny drań! - Razeby uśmiechnął się dobrodusznie i pokręcił głową.

Na ustach Linwooda zagościł cień uśmiechu.

Venetia doskonale wiedziała, czym wyróżniał się wybrany mężczyzna. „Nosi hebanową laskę ze srebrną głową wilka o oczach ze szmaragdów”. Słowa Roberta porzmiewały w jej myślach, gdy przemierzała pokój w poszukiwaniu rozpoznawczego znaku. Lasek było bez liku, ale żadna nie odpowiadała opisowi. Pomimo to zarówno ona, jak i jej właściciel bez wątpienia się tu znajdowali - Robert nie posyłałby wiadomości na próżno.

Purpurowa zasłona, kryjąca ażurowe drzwi na balkon, zakołysała się w lekkim przeciągu. Dreszcz niepokoju przeszedł Venetii po plecach na myśl o możliwym spotkaniu sam na sam.

Pół godziny zajęło jej dotarcie do zasłony, z nieuniknionymi przystankami u Razeby'ego, Hawicka i Devlina. Wreszcie udało się jej wślizgnąć za nią niezauważenie. Drzwi były zaledwie uchylone. Venetia zaczerpnęła tchu, otworzyła je szerzej i wyszła na wilgotny chłód dworu.

Światło księżycy wyróżniało sylwetkę ponad ognikami ulicznych latarni. Mroczna i smukła postać w milczeniu i bezruchu przypominała pasującą do balustrady figurę z portlandzkiego wapienia. Venetia objęła spojrzeniem bobrowy kapelusz i rękawiczki w jego lewej ręce. W prawej znajdowała się laska. Szpic dotykał lśniącego, czarnego buta do jazdy, a w srebrnej głowicy z wilczym łbem błyszcząły szmaragdowe oczy. Krótka chwila ciszy pozwoliła jej wspomnieć ostrzeżenia Roberta i jego opowieść o tym męż-

czyźnie. Krew prawie zastygła jej w żyłach. Lecz nawet to nie odwiodło jej od powziętego postanowienia. Podeszła bliżej, rzucając losowi wyzwanie.

Mężczyzna rozejrzał się i odwrócił od niechcienia na powitanie.

- Mogłabym...? - Venetia wskazała zwieńczenie balustrady kilka kroków za nim.

- Oczywiście. - Przemówił tonem łagodnym i głębokim, rozwiewając wyobrażenia Venetii. Po kimś podobnym spodziewałaby się raczej szorstkości i chłodu. - Właśnie zbierałem się do odejścia.

Jego poważna twarz pozostawała w ostrym kontraście z panującą wewnątrz atmosferą niefrasobliwego flirtu.

- Mam nadzieję, że nie z mojego powodu. - Venetia nadała swojemu głosowi leniwie kuszący, uwodzicielski ton. Minęła mężczyznę i zatrzymała się przy balustradzie nie tuż przy nim, ale jednak na tyle blisko, by wywołać wrażenie intymności. Nie patrzyła przy tym w jego stronę. Wzrok skierowała na podziwianą przez niego panoramę. - Kto by pomyślał, że można znaleźć tu podobne wytchnienie?

Wiedziała dobrze, jak niezobowiązująco wciągnąć mężczyznę w rozmowę, samej pozostając nieodgadnioną. Tę niezbędną każdej aktorce umiejętność przez lata doprowadziła do perfekcji.

- Wytchnienie?

Nie oderwała spojrzenia od ulicznych lamp. Chłodny powiew muskał jej policzki i odkryty dekolt.

- Kilka cennych chwil spokoju pośród szaleńczej i zmysłowej nocy. - Poniżej po bruku terkotały powozy, a alejkami przechadzały się pary kochanków. - Przychodzę tu przed występem... i potem. To miejsce sprzyja namysłowi.

- Lubi pani aktorstwo?

- Bardzo. Ale nie to, co się z nim wiąże.

- Spotkania po spektaklu?

- Nie tylko. Lecz... - Venetia zaczerpnęła głęboko powietrza i wypuściła je powoli. Chłód wieczoru przemienił oddech w zwiewną mgiełkę. - Taką mam pracę. Nie uwierzy pan, ale mam to w kontrakcie.

- Olśniewać i zachwycać?



- Według niektórych. - Pochyliła się bliżej niego, by dać mu lepszy widok na swój biust. - A tu chodzi o renomę i wsparcie dla teatru. Więcej pan zapłacił za wizytę w kulisach niż za bilet, prawda?

- Tak.

- Aby dać się uwieść.

- Pani, panno Fox?

- Możliwe... - Zawiesiła głos, aby nadać słowu charakter niejasnej obietnicy. Zaraz jednak dodała konspiracyjnym szeptem: - A może i nie. My, aktorki, nie powinnyśmy niczego zdradzać. Prawda ma tę nieznośną cechę, że czasem rozwiewa złudzenia.

Ułożyła usta w wystudiowany uśmiech i po raz pierwszy przyjrzała się uważnie mordercy, z którym gawędziła. Ogorzała cera i szorstkie rysy przydawały mu uroku. Był przystojniejszy, niż się spodziewała. Miał hebanowe kędzierzawe włosy, a czarne jak węgiel oczy emanowały złowróżbną przenikliwością. Gdy napotkała jego wzrok, dreszcz przebiegł jej po plecach.

Serce zadudniło jej w piersi i poczuła ścisk w brzuchu. Niezdolna odwrócić oczu, czuła się zniewolona jego spokojnym i krytycznym spojrzeniem. Dotąd to ona zawsze dyktowała mężczyznom warunki. W końcu najwyższym wysiłkiem zdobyła się na spuszczenie wzroku. Z żelazną determinacją ukryła zmieszanie, lecz nie mogła się zdobyć na zdławienie ogarniającego ją drżenia. Jedynie wielkie sceniczne doświadczenie pozwoliło jej na powrót do przerwanej roli. Potężnym wysiłkiem woli ponownie podjęła rozmowę.

- Noce są coraz zimniejsze, a aktorka nie może nosić w pracy wełny i flaneli - wytłumaczyła swoje drżenie, widząc, że nie umknęło jego uwadze.

- Istotnie. - Zlustrował sukienkę i odsłoniętą skórę i wrócił do jej twarzy. - To by była zbrodnia.

Odgrywaj swoją rolę, upominała się. To tylko kolejna kreacja. Kolejny mężczyzna.

- Jak więc się pan wytłumaczy? - Na nowo bił od niej intrygujący chłód pociągającego dystansu. Mimo to za tą fasadą nie odzyskała w pełni panowania. - Dlaczego wystawia się pan na chłód listopadowego wieczoru zamiast korzystać z gościny teatralnych kulis?

- Mam o czym myśleć - odparł, nie zaprzestając kontemplacji Bow Street.

- Rozczarowuje mnie pan. Myślałam, że czeka tu pan na mnie. - Uśmiechnęła się kwaśno, dając mu poznać, że kpi, choć dotąd jej serce nie całkiem się uspokoiło. - Czy istnieją troski, których nie rozwieje wieczór w teatrze?

- Najwyraźniej.

- To musi być coś poważnego, o ile nie jest aluzją do mojego i panny Sweetly zawodowego kunsztu.

- Talent pań nie ma sobie równych.

- Pochlebia mi pan. Nie mogę na to przystać. Mam zasadę, że pochlebstwa nie wydostają się za drzwi pokoju dla aktorów.

- Myli się pani. Przedstawienie szczerze mi się podobało.

Cierpki uśmiech zagościł na ustach aktorki. Odwróciła wzrok ku panoramie.

- Nie posiadam się wręcz z ciekawości, jakie sprawy do tego stopnia zajmują pana myśli.

Odgłosy miasta tak długo wypełniały milczenie, że Venetia poczęła mieć wątpliwości, czy nie zraziła go do siebie bezpośredniością.

- Niech mi pani wierzy, naprawdę nie chce pani tego wiedzieć.

Szczerść udręki w głosie mężczyzny zabrzmiała jak groźba i zmroziła Venetię do szpiku kości. Unikała jego spojrzenia, by wzrok nie zdradził mu jej prawdziwych intencji.

- Każdego coś zajmuje - rzuciła, by rozproszyć posępny nastrój.

- Powtarza pani kwestię czy deliberuje nad Hawickiem i Devlinem?

- Ależ nic podobnego - odparła szczerze, bowiem jak na ironię myślała akurat o swoim zadaniu i losie ofiary.

- Co zatem zajmuje panią?

Przez mgnienie oka igrała z myślą o jego reakcji, gdyby wyznała mu całą prawdę. Uśmiechnęła się szczerze.

- Oczekuje pan, że wyjawię mu wszelkie tajemnice, nie poznawszy nawet jego imienia?

Uniosła piękną brew, stając się uosobieniem femme fatale.

- Za jaką kobietę pan mnie ma?



Tym razem była przygotowana, lecz i tak nie uniknęła drżenia, gdy zwróciła na siebie całą jego uwagę. Tętno przyspieszyło, choć nie tylko ze strachu, że odejdzie.

- Proszę o wybaczenie - rzekł ze skinieniem głowy. - Nazywam się Linwood.

- Jestem zaszczycona, lordzie Linwood - odparła z przesadną grzecznością.

- Ja również, panno Fox.

Na samo brzmienie jego głębokiego i melodyjnego głosu Venetia dostała gęsiej skórki. Nie dała się jednak zbić z pantaląku. Spojrzała na jego usta, by zaraz podnieść wzrok.

- Zostaliśmy więc już sobie przedstawieni. - Zniżyła tembr głosu.

- Tak - zgodził się.

Uśmiechnęła się z wolna, sugestywnie i uwodzicielsko.

- Możesz mi więc powiedzieć, o czym myślisz - dodał.

- O! Naprawdę nie chcesz wiedzieć, lordzie Linwood. Możesz mi wierzyć - odcięła się sarkastycznie.

- Celne, panno Fox - przyznał. Głos zdradzał rozbawienie, którego brakowało wyrazowi twarzy.

- Dziś po raz pierwszy spotykam cię za kulisami. Dlaczego?

- Przyszedłem z przyjacielem, Razebym. By użyć twych własnych słów, pragnie zostać uwiedzionym. Lub dokładniej, uwodzić.

- A ty?

- Nie przyszedłem tu szukać kochanki.

- Ani ja opiekuna - odparła pogardliwie.

- Zatem Hawick i Devlin się zawiodą?

- Popełnili błąd - rzekła beznamiętnie.

- A gdybym czekał tu na ciebie?

- Tylko we dwoje, w ciemności i bez świadków? - Ledwie zauważalnie uniosła brew. - Kto wie, co mogłoby się wydarzyć?

Znieruchomieli oboje, wpatrując się w siebie poprzez mrok. Venetia przybrała zachęcającą, powabną i zmysłową pozę, a jej oczy i usta musnęła najdelikatniejsza obietnica uśmiechu i słodyczy, którą taki uśmiech mógł przynieść.

Rozwarły się drzwi balkonowe.

- Linwood... - Razeby zamilkł, widząc pannę Fox. - Proszę o wybaczenie, nie miałem pojęcia...

- To ja muszę prosić o wybaczenie, panowie. - Z tymi słowy zerwała więź wzroku, która łączyła ją i Linwooda i skłoniła się pospiesznie. - Lordzie Linwood.

Zerknęła ostatni raz w jego stronę.

- Lordzie Razeby.

Minęła Linwooda tak blisko, że owionął ją zapach jego wody kolońskiej.

- Do następnego razu, mój panie - szepnęła.

Przeszła obok Razeby'ego i choć czuła na plecach wzrok obu mężczyzn, ani razu nie spojrzała przez ramię. Tak oto zagrała swe preludium.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Tętno Venetii jeszcze się nie uspokoiło, mimo że zamknęła za sobą drzwi balkonowe. To, co zaszło między nią a Linwoodem nie przydarzyło się jej nigdy wcześniej. Zupełnie inaczej go sobie wyobrażała. Choć rzeczywiście sprawiał groźne i złowrogie wrażenie, niepokój mieszał się w niej z fascynacją. Musiała zmagać się z myślami, by się przed sobą nie przyznać do natury targających nią uczuć. Nie mogła już zmienić zdania, gdyby nawet tego pragnęła. Zrealizowała pierwszy punkt planu. Zapoznała się z Linwoodem, ziarno zostało zasiane, a sprawie nadano bieg. Czuła, że następnym razem będzie lepiej przygotowana.

- Dobrze się czujesz, Venetio? - szepnęła Alice, przyglądając się jej uważnie.

Zmusiła się do chłodnego uśmiechu, ukrywając przeżycia.

- Hawick i Devlin mają dziś konkurencję - ciągnęła przyjaciółka, zerkając w kąt pomieszczenia. - Nowi wielbiciele.

Czekało tam kilku dżentelmenów z bukietami kwiatów i butlami szampana. Czerwone twarze zdradzały podochocenie trunkami, a aroganckie spojrzenia niecierpliwość i żądzę. Nawykli do wykorzystywania kobiet i pełni władzy.

Teraz zaś ona miała władzę nad nimi. Nie mogła odejść, jeśli chciała pozostać aktorką, tym bardziej tak sławną. W tym względzie nie okłamała Linwooda.

Sama myśl o nim zburzyła rodzący się spokój.

Jak na wezwanie do pokoju wślizgnął się zza kotary Linwood w towarzystwie Razeby'ego i znalazł ją wzrokiem. Odwróciła oczy o całą sekundę później, niż nakazywały konwenanse. Była wstrząśnięta, lecz nikt nie potrafiłby tego poznać. Odgrywała rolę, którą latami praktyki i niezłomną determinacją doprowadziła do doskonałości.

Linwood skinął nieznacznie głową z uznaniem. W odpowiedzi Venetia pozwoliła, by delikatny uśmiech zaigrał na ustach, nim z rozmysłem zwróciła się ku Alice.

- Podchodzą - rzekła do niej przyjaciółka, która nie spuszczała grupki dżentelmenów z oczu.

Venetia kiwnęła głową. Była dobra w swoim zawodzie. Dzięki temu świetnie zarabiała i mogła o sobie decydować. Potrafiła jednym spojrzeniem zdusić rozmowę, która zabrnęła za daleko, i powstrzymać błakającą się dłoń. Zwodziła i kusiała, by zaraz wyznaczyć żelazne granice. I tego pragnęła nauczyć Alice.

- Bacz na Quigleya, nie jest tak niewinny, na jakiego wygląda - szepnęła do niej. Odsunęła od siebie myśli o Linwoodzie i odwróciła się, by stawić czoło nadchodzącym mężczyznom i wydarzeniom dalszej części wieczoru.

Następne spotkanie Linwooda z tajemniczą Venetią Fox miało miejsce dwa wieczory później. Przyglądał się jej w sali balowej u wicehrabiego Bullford. Jej migdałowe oczy i uwodzicielski uśmiech przyciągały wzrok. Poruszała się z kocią gracją, obojętna na pożądliwe spojrzenia otaczających ją mężczyzn. Sprawiała wrażenie odprężonej i pewnej siebie. Fascynowała, lecz inaczej, niż się tego spodziewał. Nie była wyzywająca ani nazbyt otwarta, lecz raczej uosabiała tęsknotę i nieugaszone pragnienie. Barwa jej sukni przywodziła na myśl kielich czerwonego wina, oglądany w blasku płomieni. Głęboka purpura kreacji podkreślała ciemny odcień włosów i perłową bladość skóry.

Linwood obserwował, jak rozprawia się z Razebym i Monteithem, Bullfordem i Devlinem, a nawet Hawickiem. Każdą z pogawędek mógłby nazwać flirtem, gdyby nie dostrzegł, że Venetia niezmiennie zachowuje dystans. Nie miał wątpliwości, że to ona pociąga za sznurki. Nikomu spośród pożądających jej mężczyzn nie pozwoliła się zbli-

żyć, choć każdy niczego bardziej nie pragnął. Wiedział, że byliby gotowi wiele poświęcić, by poddała się ich woli. Przypomniawszy sobie jej słowa o złudzeniu. Spoufalanie się także należało do wymogów jej zawodu. Prowadziła ryzykowną grę, szczególnie niebezpieczną dla kobiety o tak olśniewającej urodzie.

Linwood nie mógł oderwać od niej wzroku. Przez ostatnie tygodnie jedyne wychnienie od mrocznych spraw znalazł przy niej. Tylko dlatego zjawił się tu tego wieczoru. Dla niej. Choć nie zamierzał dać się wciągnąć w dalszy flirt.

Rzuciła mu powłóczyście spojrzenie, nim wróciła do przerwanej rozmowy. Zaczekał, aż Venetia wymknie się na taras, i podążył za nią. Zastał ją wyglądającą na ogród skąpany w blasku księżyca. Bez słowa podszedł do balustrady i przyłączył się do niej.

- Musimy przestać się tak spotykać - zagaiła z przekąsem, nie patrząc w jego stronę. - Zaczną się plotki.

- Boisz się ich?

- Nie, powinnam nawet im sprzyjać.

- Zatem powinnaś być wdzięczna, że tu jestem.

- Tak? - Spojrzała na niego. Linwood nie był pewien, czy cieszy się z jego towarzystwa, czy też gniewa. W jej oczach na moment, niby miraż, zagościł chłód. Opuściła wzrok na kapelusz i rękawiczki, które trzymał w dłoni, jakby pytała, czy ma zamiar odejść.

Kiedy położył je na filarze balustrady, odwróciła się ku ogrodowi. Wcześniej jednak na jej ustach zakwitł lekki uśmiech triumfu. Linwood zwrócił uwagę na jej pełne wargi, zmysłowo przywodzące na myśl rozkosz, jaką mogą dawać.

- Znowu szukasz schronienia? - zapytał.

- Znasz wszystkie moje sekrety, lordzie Linwood.

- Nie wszystkie.

- To prawda. - W jej oczach dostrzegł błysk, którego znaczenia nie mógł odcyfrować. Iskra jednak zaraz zgasła.

- Mam ich wiele.

- Intrygujesz mnie, panno Fox. - Była to szczerą prawdą. Venetia Fox, najbardziej ceniona i rozchwytywana aktorka Londynu, urzekła i zniewalała mimo pozornej rezerwy w zachowaniu. Nigdy nie poznał podobnej kobiety.

- Ja czy moje sekrety?

- Jedno i drugie. Sądziłem jednak, że wolisz pozostawiać pochlebstwa za drzwiami pokoju aktorów.

Roześmiała się. W księżycowej poświacie jej oczy lśniły srebrem, a blada skóra przypominała doskonałą porcelanę.

- Wyjawię ci jeden z moich sekretów, jeśli zdradzisz mi swój. - Miękki głos nęcił jak syreni śpiew, a jej spojrzenie nie oddawało mu pola. Póki trwała cisza, zmysłowe napięcie wciąż narastało.

Otaczała ich ciemność równie gęsta, jak mroczne były tajemnice Linwooda i równie jak jego serce nieprzenikniona.

- Naprawdę, panno Fox? Wyznasz mi swój największy sekret w zamian za mój?

Przez chwilę patrzyła w niebo. Gwiazdy użyczyły błysku jej oczom.

- Nie - odparła z zadziwiającą szczerością. - A ty?

- Na to pytanie znasz już odpowiedź.

- Masz rację.

- Zatem jesteśmy do siebie podobni.

- Może w kwestii sekretów - odrzekła z niespodziewanym chłodem w głosie. - Ale nie sądzę, byś był w ich strzeżeniu tak dobry, jak ja.

- Chyba mnie pani nie docenia, panno Fox.

- Nie, lordzie Linwood. Zapewniam, że to pan lekceważy mnie.

- To brzmi jak wyzwanie.

- Lubię wyzwania.

Milczenie nabrzmiało pożądaniem. Nim Venetia odwróciła wzrok, Linwood zapragnął dowiedzieć się o niej wszystkiego. Czuł, że mógłby bez końca wpatrywać się w jej szlachetny profil.

- Byłaś dziś na scenie?

- Jak co wieczór. I codziennie co godzinę. To cena, jaką aktorka musi płacić, jeśli chce osiągnąć sukces.

- Czy i teraz pani gra, panno Fox?

- Oczywiście - odparła bez wahania. I znowu Linwood nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Poczul w sobie odzew na potężny magnetyzm, który dawał jej władzę nad mężczyznami.

- Czy zawsze jesteś tak szczera?

- Jestem aktorką, lordzie Linwood. Nigdy nie jestem szczera. - Uśmiechnęła się, a on odpowiedział uśmiechem, który tak rzadko gościł ostatnimi czasy na jego twarzy.

- A co z prawdziwą Venetią Fox? Tą, która nie jest aktorką?

Nigdy nie zadałby takiego pytania innej kobiecie. Tym razem jednak rzeczywiście pragnął poznać odpowiedź.

- Co z nią? - spojrzała na niego.

- Czy podoba się jej, że pozostaje w cieniu tej boskiej i niedościgłej?

- Boskiej? Znowu mi pochlebiasz.

- A ty unikasz odpowiedzi.

- Więc odpowiem: ona lubi pozostawać w ukryciu.

- Mógłbym ją poznać?

- Nie zwróciłbyś na nią uwagi.

- Wolałbym sam to osądzić? - Flirtował z nią, by choć trochę poznać tę niezwykłą kobietę, mimo że zarówno od flirtu, jak i od kobiet powinien trzymać się jak najdalej.

- Miałabym się obnażyć przed nieznajomym? - zadrwiła, pochylając się ku niemu. Nie potrafił się oprzeć i zerknął na zarys jej pełnych piersi, domyślając się ich kształtu pod stanikiem. Wiedział, że się nim zabawia tak, jak pozostałymi, lecz w tej chwili o to nie dbał. Tylko ona stała między nim a grozą i goryczą wspomnień i zadumy.

- Może nie zawsze będziemy sobie obcy, panno Fox?

- Może. - Uśmiechnęła się leniwie. Z sali balowej dobiegały słodkie i jasne dźwięki muzyki. - Wołga. Mój ulubiony taniec.

- Obawiam się, że dziś nie zatańczę - odrzekł, patrząc Jej w oczy. Musiał odmówić. Za wiele zależało od jasności Jego umysłu.



Podeszła z wolna do niego, aż rąbek sukni musnął czubek jego butów. Uniosła głowę, spoglądając tajemniczymi oczyma, a on zapragnął przycisnąć usta do jej warg, poznać smak pokusy i zaspokoić pragnienie. Dawno już nie miał żadnej kobiety. Lecz na mgnienie oka, zanim już gotów byłby poddać się żądzy, Venetia zbliżyła usta do jego ucha, owiewając policzek podniecającą wonią gorzkiej pomarańczy.

- Wcale nie prosiłam - wyszeptała z naciskiem, który pobudzał nerwy i burzył krew w żyłach.

Dopiero po chwili zrobiła krok w tył.

- Być może wybierzemy się któregoś popołudnia na przejażdżkę? - zapytał, nim zdołał przemyśleć propozycję.

Utrzymała kontakt wzrokowy, lecz błysk w jej oczach przypominał lśnienie słońca odbitego w mroźnej fali zimowego morza. Wiedział, że odmówi.

- Być może - odparła enigmatycznie. W oczach zamigotał przekorny ognik, który zaraz znikł pod zasłoną długich czarnych rzęs. Odwróciła się i odeszła swym powolnym, zmysłowym krokiem, zostawiając Linwoda spowitego we wspomnienie jej zapachu.

Zegar wybił jedenastą. Venetia nalewała właśnie Alice pierwszą filiżankę kawy, następnie naląła sobie.

- Odpowiedź brzmi: tak, wieczór udał się świetnie. Razeby zaproponował mi tysiąc funtów rocznie, jeśli zostanę jego kochanką. Do tego dom przy Hart Street, tuż za rogiem. Wyobrażasz sobie? Byłybyśmy prawie sąsiadkami! Zadba o doskonałe urządzenie. Tak mówił. Hawick na pewno dałby ci dużo więcej, ale ja większej sumy raczej nie zobaczę.

- Nie zachwycaj się tak jego ofertą, Alice.

- Słyszałam, że tobie proponował dziesięć.

- I nie wierz plotkom.

- Ale na pewno niemało.

- Hojnie, ale nie aż tak - skłamała Venetia, dumając nad astronomiczną kwotą, jaką chciał zapłacić za jej wdzięki książę Hawick. Niektórzy sądzą, że wszystko można kupić... że zależy to tylko od ceny. Przywołała te myśli, aby powstrzymać uśmiech.

- A i tak go odprawiłaś.

Venetia popijała kawę, ostrożnie dobierając słowa. Rozumiała podejście Alice. Venetia z osobistych pobudek nie zachowywała się jak typowa aktorka.

- Jaką odpowiedź dałaś Razeby'emu? - zapytała.

- Powiedziałam, że potrzebuję czasu na rozważenie propozycji. Chciałam najpierw porozmawiać z tobą.

- A nad czym się zastanawiasz?

- Czy poczekać na lepszą ofertę. Venetia spojrzała przyjaciółce w oczy.

- Nie patrz tak na mnie, proszę. - Alice odwróciła wzrok. - Wiem, co myślisz o takich, co sprzedają się mężczyznom. Ale tysiąc funtów rocznie? To tak dużo pieniędzy.

- Masz rację. Ale po twoim sukcesie w spektaklu pan Kemble podniesie ci honorarium. Musi, bo inne teatry dałyby ci więcej. Wiem, że posyłasz pieniądze matce. Jeśli potrzebujesz pomocy finansowej...

Alice pokręciła głową.

- Nie mogłabym nic od ciebie przyjąć. Tyle już dla mnie zrobiłaś. Poza tym tu nie chodzi tylko o pieniądze. Razeby jest markizem, jest młody i przystojny i... lubię go. Mogłabym być jego kochanką.

- Alice, może być taki, jak powiedziałaś, ale nie daj się zwieść jego urokowi. Jest rozpustnikiem, dżentelmenem cieszącym się złą sławą, jak oni wszyscy. Musisz być tego świadoma.

- Nie łudzę się, Venetio. Z moim życiorysem wiem dobrze, jak to działa. Nie jestem głupia, tylko praktyczna. Mogę więc postarać się o jak najlepszą propozycję.

- Skoro tak - odparła Venetia z westchnieniem - to zaczekaj na więcej. Nie wymieniaj swojej ceny. Nie sprawiaj wrażenia przekonanej ani zdecydowanej. Kuś go jak najsubtelniej. A co najważniejsze nie daj się nawet dotknąć, póki nie spieszysz z nim wiążącej umowy, nie podpiszecie jej i dopóki nie będziesz miała w ręku własnej kopii.

- Tak jest, proszę pani. - Alice uśmiechnęła się szeroko. Zaraz jednak uśmiech zbladł, ustępując miejsca trosce. - Razeby powiedział coś o tobie i wicehrabim Linwood. Widziałam go wtedy za kulisami, ale nie miałam pojęcia, że byłaś z nim sama na balkonie!

Venetia nie zaprzeczyła. Nie mogła też wyjaśnić, w co jest zamieszana, nawet swojej przyjaciółce. Wzruszyła lekko ramionami, jakby to nic nie znaczyło.

- Nie bywasz z mężczyznami na osobności, Venetio. Mnie też zawsze przed tym ostrzegałaś.

- Dla Linwooda odstąpiłam od tej zasady. Alice zmarszczyła brwi.

- Powinnaś być z nim ostrożniejsza.

- Dlaczego? Wiesz coś o nim?

Milczenie Alice trwało okamgnienie zbyt długo.

- Nic szczególnego - odparła, kręcąc głową, i przygryzła wargę. - Nie jesteś nim... zainteresowana, prawda?

Venetia uśmiechnęła się uspokajająco.

- Tylko na tyle, na ile Hawickiem, Devlinem czy którymkolwiek z nich. Czyli wcale.

Kłamała, oczywiście. Linwood bardzo ją interesował, choć nie w sposób, jaki sugerowała Alice. Woląla nie myśleć o swojej niezwykłej reakcji na jego przenikliwe spojrzenie czy bliskość mimo tak krótkiej znajomości.

- Co słyszałaś?

- Nic konkretnego. - Alice unikała jej wzroku. - Tyle tylko że niebezpiecznie się z nim wiązać. Mówi się, że nie ma dymu bez ognia, Venetio.

- W istocie. - Słyszała już podejrzenia Roberta co do Linwooda i pożaru, jaki strawił budynek od dachu po fundamenty wraz z dorobkiem czyjegoś życia.

Nie spotkała się następnego wieczoru z Linwoodem. Zostawiła Alice Razeby'emu w pokoju dla aktorów i wymknęła się z teatru na Hart Street. Jak zawsze czekał na nią powóz, by zabrać ją do domu. Stangret otworzył drzwiczki, Venetia skinęła mu głową i owijając się szczelniej czarnym płaszczem, wspięła do wnętrza pojazdu. Drzwiczki zamknęły się za nią z cichym szcęknięciem zamka. Powóz jechał już ulicą, kiedy dostrzegła mężczyznę w rogu przeciwległego siedzenia. Zdało się jej, że to Linwood, i krzyknęła cicho, nim zrozumiała, kogo widzi.

- Robercie! - upomniała go, przyciskając rękę do piersi. - Przestraszyłeś mnie!

- Nie wiedziałem, że jesteś taka załęczniona, siostrzyczko. Nie jestem Linwoodem.

- Powinieneś był się zapowiedzieć.

- To raczej niemożliwe, prawda?

Westchnęła, przyznając w duchu rację przyrodniemu bratu.

- Jak postępują sprawy z wicehrabią? - zapytał.

- Obudziłam w nim zainteresowanie.

- Nie wątpię, że ci się uda. Masz niezrównany talent. Któż inny mógłby równie przekonująco udać fascynację?

Venetia odwróciła oczy, by nie dojrzał w nich prawdy. Nie powiedziała, że Linwood mógłby przebierać w kobietach. Nie dlatego, że był przystojny, ale ze względu na aurę niebezpieczeństwa i tajemnicy, która go otaczała. Miał to, czego brakło innym. Udawanie pociągu do niego, mimo że znała jego grzechy, było dla Venetii krępująco łatwe.

- Nie lubię grać tej roli, Robercie.

- To zrozumiałe. Ale nie ma lepszego sposobu.

- Masz rację.

- Niechętnie cię o to proszę, Venetio - rzekł Robert ponuro. - Może powinienem wyzwać tego łotra i mieć to z głowy.

- Zabiłby cię.

- Jak ty we mnie wierzysz! - odparł cierpko.

- Wiemy, do czego jest zdolny. Nie chcę, żebyś ryzykował życie.

- Wiem i dziękuję ci za troskę. - Wziął siostrę za rękę i ścisnął, by dodać jej otuchy. - Musimy działać według planu. Tylko tak wymierzimy Linwoodowi sprawiedliwość.

Venetia przytaknęła.

- Dowiedziałaś się już czegoś użytecznego?

- Jak dotąd nie, chociaż na pewno dręczą go ponure myśli.

- Morderstwo na sumieniu wywiera czasem taki efekt - odrzekł poważnie. - Ale piękna kobieta potrafi zawsze uspokoić i pociągnąć mężczyznę za język. Nawet kogoś tak ostrożnego, jak Linwood.

Nie odpowiedziała, koncentrując się na powodach, dla których to robili.

- Kiedy się z nim znowu widzisz?

- W poniedziałek wieczorem, na przyjęciu u Razeby'ego. Choć jeszcze o tym nie wie.

- Doskonale. - Robert zastukał laską w dach pudła i powóz zaczął zwalniać. Popatrzył na siostrę. - Będziesz ostrożna, prawda?

- Jak zawsze.

Roześmiał się cicho, pocałował ją w policzek i zniknął jak cień w ciemności nocy. W dalszej drodze Venetia myślała o Linwoodzie. Mordercy. Jedynym mężczyźnie, przy którym budziło się w niej pożądanie. Otuliła się płaszczem obszytym futrem, ale nie mogło to wygnać chłodu, który zakradł się do jej serca.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Stojąc samotnie wśród tłumu wypełniającego bawialnię Razeby'ego, Linwood zastanawiał się, czy skłamał gospodarz, czy też Venetia Fox. Słowa Razeby'ego z tego popołudnia rozbrzmiały raz jeszcze w jego głowie.

- Nie łżę, mówię ci! Nie minęły dwie godziny, odkąd dostałem wiadomość od panny Fox, że przyjdzie na przyjęcie tylko pod warunkiem, że usadzę ją obok ciebie. - Razeby zdradzał oznaki wielkiego podniecenia, przemierzając w tę i w tę salon Linwooda. - To tyle co do twoich zapewnień, że do niczego na balkonie nie doszło, szczwany lisie!

- Prowadziliśmy nienaganną konwersację, nic więcej.

- Nie wiem, co jej powiedziałaś, ale najwyraźniej się spodobałaś. Nigdy wcześniej nie była u mnie na żadnej kolacji. Nie była na kolacji u nikogo! - Uśmiechnął się kpiarsko. - Bóg jeden wie dlaczego, ale najwyraźniej zachwycająca Venetia Fox się tobą interesuje.

Linwood pokręcił przecząco głową, ale słowa Razeby'ego roznieciły coś w jego duszy. Od tamtej chwili pożądał panny Fox jeszcze bardziej. Jaki mężczyzna mógłby się oprzeć takiej kobiecie?

- Oczywiście odpowiedziałem, że miejsca zostaną ustalone wedle jej życzenia i cieszę się na jej wizytę.

Popatrzyli po sobie.

- Nie zawieźdź mnie, Linwood. Nie może cię zabraknąć. - Uśmiechnął się. - Uświetnienie wieczorku obecnością Venetii Fox to nie lada wyczyn. A ty jesteś mi coś winien.

Oto więc czekał teraz na nią w bawialni.

Stał sam z kieliszkiem szampana w dłoni. Bąbelki w bladozłotym płynie tańczyły szaleńczo, a wokoło rozbrzmiewał gwar głośnych rozmów. Strzępki zdań dobiegały jego uszu. Mężczyźni rozmawiali o koniach, zakładach i polityce. Kobiety o modzie, pieniądzach i mężczyznach. Brzęczały kryształ i srebra, roznoszone przez służbę w milczeniu zajęta rozdawaniem napojów. Raz po raz wybuchała egzaltowana wesołość między kobietami, wśród których nie znalazłaby się jedna przyzwoita: tylko kochanki, aktorki i kurtyzany. Te ostatnie były pięknymi istotami w bogatych i prowokujących kreacjach z dekoltami tak głębokimi, że odsłaniały sutki, które dla większego efektu kolorowały różem, i w nieskromnych, czasem wręcz przejrzystych spódnicach. Nie było wątpliwości, że wywodziły się z półświatka.

Nagle, w jednej chwili, rozmowy zacichły.

Jej pojawienie się w salonie wywołało natychmiastowy skutek. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę drzwi. Mężczyźni okazali zainteresowanie i podziw, wypinali piersi, poprawiali odzienie i postawę, a twarze wyrażały niemal drapieżną ambicję i pożądanie. Towarzyszące im kobiety nie pozostały obojętne, mrużąc w skrywanej złości oczy. Linwood nie miał wątpliwości, że w drzwiach stoi Venetia Fox. Mimo to nie pożałował, kiedy podniósł oczy.

Chwilę później pomruk rozmów rozbudził się ponownie.

Venetia dostrzegła Linwooda od razu. Stał przy przeciwległym oknie. Był sam; poważny i zatopiony w myślach sprawiał tak groźne wrażenie, jakby zamierzał odstraszyć każdego, kto chciałby choć słowo z nim zamienić. Ich spojrzenia się spotkały. W tej krótkiej chwili zdało się jej, że poza nimi dwojgiem sala całkiem opustoszała. Czuła, że jej serce odpowiada biciem na jego wezwanie; pomimo tego, co o nim wiedziała, miała wrażenie, że łączy ich złudna więź.

- Panno Fox, jestem zachwycony, mogąc panią gościć. - Głos Razeby'ego roztrząskał iluzję, przywołując ją do rzeczywistości i uwalniając od wzroku Linwooda.



Uśmiechnęła się do gospodarza z wdzięcznością.

- Cieszę się, że tu jestem - odparła.

- Najpierw kieliszek szampana. Następnie, za pani pozwoleniem przedstawię ją niektórym z moich przyjaciół. Później kolacja.

Rzucił okiem na Linwooda. Na tę milczącą aluzję Venetia odpowiedziała śmiałym spojrzeniem, wręcz zachęcając Razeby'ego do poruszenia tematu. Uśmiešek rozbawienia pojawił się na jej ustach. Nie miała wątpliwości, że Linwood już wie o jej prośbie.

Jednak Razeby inteligentnie przemilczał tę kwestię. Venetia skinęła głową z uznaniem, przyjęła kieliszek musującego wina i podniosła go do ust. Nie spiła jednak ani kropli. Pozwoliła Razeby'emu dokonać prezentacji, nie wypowiadając ani słowa ani nie patrząc w stronę Linwooda. Koncentrowała się na swojej misji: miała doprowadzić do wymierzenia sprawiedliwości mordercy. Była to winna nie tylko Robertowi, ale też mężczyźnie, którego zwała jedynie Rotherhamem, choć był kimś znacznie bliższym.

Jedwabna sukienka w kolorze leśnej zieleni kosztowała ją majątek, ale była tego warta. Dzięki niej prezentowała się olśniewająco i pewnie się czuła. Spódnica była akurat tak wąska, by od czasu do czasu ukazać zarys jej nogi, a dekolt mamił bliskością i kształtem piersi. Kreacja była dla niej jak oręż i zbroja, a w miłosnych potyczkach Venetia nie miała sobie równych.

Wymieniła uprzejmości z Fallinghamem, Bullfordem i Monteithem. Rozmawiała z Razeby i Alice, która za jej radą ubrała się w kremową, niemal dziewczęcą, jedwabną sukienkę. Gospodarz z najwyższym trudem odrywał od niej wzrok. W końcu stanął przed nią Linwood.

- Wierzę, że poznała pani już lorda Linwood? - zapytał gospodarz na pożytek otaczających ich gości. Venetia wiedziała, że każdy jej ruch jest oceniany, a jej rozmówcy i słowa mogą trafić do jutrzejszej kroniki towarzyskiej.

- Spotkaliśmy się - odparła i spojrzała Linwoodowi w oczy. Mimo wszelkich oporów poczuła znajome drżenie.

- Proszę mi wybaczyć. - Razeby się wycofał, pozostawiając ich samych pośród tłumu.

- Panno Fox - skłonił się Linwood.

- Lordzie Linwood.

Zabrział gong, a kamerdyner ogłosił, że kolację podano w pokoju stołowym.

- Proszę pozwolić się odprowadzić - zaproponował. Tembr głosu miał niski, a słowa wypowiedział uprzejmie, choć z mocą. Od jego spojrzenia przeszły ją ciarki.

- Cóż za miła propozycja - odparła, unosząc nieznacznie brew. Oboje wiedzieli, że powinna wyjść od niej. Venetia zrozumiała, że ma do czynienia z mężczyzną bardziej spostrzegawczym i domyślnym niż ci, z którymi na ogół się stykała.

- Miałem taką nadzieję. - Uśmiechnął się z lekka, dzieląc ten żart tylko z nią.

I ona się uśmiechnęła, wzięła go pod ramię i pozwoliła się zaprowadzić do stołu.

Potrawy były wyśmienite, jak zawsze u Razeby'ego. Perlice i bażanty, gęsi i placek nadziewany indykiem z szynką. Do mięs podano konfiturę z najśłodszych owoców pigwy, plastry ziemniaków duszone w sosie śmietanowym z kaparami, galaretkę z królika, pora w korzennych przyprawach i kapustę zasmażaną z imbirem. Na deser była niezwykłych gabarytów tarta, w której każdym kolejnym plastrze kryły się inne kandyzowane miodem owoce, i pudding śliwkowy. Gdyby jednak zapytać Linwooda, co jadł, nie potrafiłby odpowiedzieć. Oddał uwagę bez reszty kobiecie u swego boku.

Nie flirtowała z nim. W najmniejszym stopniu nie zachowywała się tak, jak się spodziewał. Rozmowa toczyła się w spokojnym, niewymuszonym rytmie. Poruszyli temat Bonapartego i wojny, która rozdarła kontynent, wystawy w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych i napomknęli o zakładzie kapitana Diamonda o Milтона. Mówili o wszystkim i o niczym, nie zbliżając się ani na krok do kwestii Rotherhama i zgryzot Linwooda.

Czas mijał im zbyt szybko i zbyt radośnie. Wystarczyła godzina w towarzystwie Venetii, a Linwood czuł, że część brzemienia ulatuje z jego duszy, a mrok zaczyna się rozpraszać. Pochłaniała go tak bardzo, że zapominał przy niej to, czego rodzina, przyjaciele ani codzienność nie byli w stanie oddalić. Gdy zebrano nakrycia i uprzątnięto stoły, okazało się, że chciałby zostać tam dłużej: Zostać z nią.

- Nasz wieczór dobiega chyba końca, lordzie Linwood. Nawet brzmienie jej głosu zarazem go pobudzało i kołysało.

Zatapiał się w zapachu gorzkiej pomarańczy, który zawsze ją otaczał, i przyglądał się pięknej twarzy i jasnym oczom, które dawały jedynie przeczucie tajemnic kryjących się za ich spojrzeniem.

- Nie musi tak być - odparł głosem przeznaczonym tylko dla jej uszu.

Przyglądała mu się, jakby chciała zdjąć z niego miarę. Razeby podniósł się u szczytu stołu.

- Mam dla wszystkich niespodziankę, nowość na moim stole. Ucztę dla oczu i podniebienia.

Rozwarły się podwójne drzwi jadalni i sześciu służących, trzech po każdej stronie, wniosło długą srebrną tacę, na której leżała zamaskowana, naga kobieta, artystycznie przybrana owocami. Zachodzące na siebie plastry pomarańczy, cytryn, limonek i jabłek, zielone i czerwone winogrona, czarne jagody i owoce agrestu - tęczowa kompozycja wraz z nagą skórą pokryta srebrzystym lukrem. Linwood wątpił, czy którykolwiek z pozostałych mężczyzn zastanawiał się, gdzie, u diabła, o tej porze roku Razeby znalazł takie owoce.

- Panie i panowie, przed wami panna Vert.

Najwyraźniej żaden z dżentelmenów nie miał za to trudności z rozpoznaniem kurtyzany z najbardziej luksusowego zamtuza, Domu Tęczowych Uciech panny Silver.

Służący złożyli tacę przed gośćmi na stole.

Panna Fox znieruchomiała. Linwood uchwycił wymianę spojrzeń między nią a panną Sweetly. Sweetly zaprzeczyła ledwie zauważalnym ruchem głowy i uśmiechnęła się do przyjaciółki. Zerknęła jeszcze na Linwooda i wróciła do Razeby'ego, obok którego siedziała. Spletli dłonie, nie dbając o to, czy ktokolwiek zobaczy.

Linwood i Venetia Fox siedzieli blisko szczytu stołu. Głowa panny Vert spoczywała na tacy przed nimi, tak blisko, że Linwood nie musiałby wyciągać ręki, by jej dotknąć, i widział delikatne drżenie zielonego puchu oraz lśnienie szklanych koralików, z których zrobiona była maska. W ustach trzymała wiśnię, która jak czerwona perła spoczywała między poduszczkami jej warg.

- To arcydzieło będzie umilało nam czas, podczas gdy damy udadzą się do pokoju, gdzie podano napoje. Panowie, częstujcie się porto - rzekł Razeby.

Jadalnię wypełniły lubieżne żarty i sprośności, mimo że kobiety nie opuściły jeszcze pomieszczenia. Należały jednak do półświatka, co nie dawało im prawa żądać równego traktowania z szanowanymi damami.

Twarz Venetii Fox pozostała nieporuszona, opanowana i nieprzenikniona. Linwood wyczuwał przy tym, że ma do czynienia z maską podobną do zielonych piór, w które przystroiła się leżąca na stole kurtyzana. Przez krótką chwilę, gdy ich spojrzenia się spotkały, Venetia opuściła gardę i Linwood dostrzegł w jej oczach oburzenie, gniew i siłę tak przemożną, że niemal stracił rezon. Nie wyrzekła ani słowa, jeden nerw nie zadrgał na jej obliczu, mimo to emanowało z niej prawie namacalne napięcie. Dziwiło go, że nikt inny tego nie dostrzegł. Wrota jej duszy zamknęły się równie nagle, jak raptownie ich podwoje się rozwarły. Nic więcej nie zdradzało, że Venetia Fox przeżywała jakiegokolwiek silniejsze emocje.

- Proszę o wybaczenie, lordzie Linwood - rzekła spokojnym głosem, który zadawał kłam jej chwilowemu wzburzeniu i kazał mu wątpić, że istotnie je dojrzał. W następnej chwili już jej przy nim nie było.

Venetia kazała przynieść sobie płaszcz i wzięła dyskretnie Alice na stronę. Reszta kobiet wróciła do bawialni.

- Chodź ze mną. Nie możesz tu zostać - ponagliła ją Venetia cicho. Alice pokręciła głową.

- Myślę, że Razeby chce podnieść swoją ofertę. Wiem, jak sobie z nim radzić. - Dotknęła ramienia przyjaciółki. - Nie powinnaś tak się przejmować Ellen.

Jej wzrok powędrował w stronę jadalni.

- To znaczy panną Vert. Razeby nie da jej zrobić krzywdy, a płaci sownie,

- Ta kobieta, Ellen... była twoją przyjaciółką?

Alice przytaknęła.

- Dalej nią jest. Wszystkie dziewczyny pani Silver dbają o siebie nawzajem.

- Przekaż jej, że może do mnie przyjść. Pomogę jej się stamtąd wydostać, tak jak pomogłam tobie.

- Ale ona nie chce uciekać. Zarabia lepiej ode mnie. I lubi swoją pracę.

- Podoba się jej, że jest w jadalni na łasce mężczyzn? Alice niespokojnie odwróciła wzrok.

- Tak już ten świat wygląda - odparła cicho.

- Zaproponuj jej to, Alice. Proszę.

- Dobrze - zgodziła się. - Ale i tak wiem, co odpowie.

Zapadło milczenie.

- Do zobaczenia w domu - pożegnała się Venetia.

- Może.

Venetia wiedziała, że nie ma sensu się spierać z Alice.

- Pamiętaj, co ci mówiłam o zachowywaniu dystansu. Nie daj się mu przekonać.

- Dobrze. - Alice skinęła głową.

Nadszedł służący z obrętionym futrem płaszczem i pomógł Venetii go przywdziać. Podziękowała mu, nim się oddalił.

- Przekażę też twoje przeprosiny Razeby'emu - dodała Alice.

- Ze szczerym żalem, proszę. - Venetia uśmiechnęła się i patrzyła za przyjaciółką, która udała się do salonu.

- Czy przybył mój powóz? - zapytała tego samego służącego.

- Tak, proszę pani, ale na skrzyżowaniu doszło do kolizji. Nie ma przejazdu. Mówią, że uprzątnięcie drogi zajmie godzinę. Czy poczeka pani z pozostałymi damami?

Z jadalni dobiegł pełen wyuzdania śmiech mężczyzn, budząc w Venetii gniew i obrzydzenie.

- Nie - odparła. Nie chciała pozostawać w tym domu ani chwili dłużej. - Mieszkam niedaleko. Pójdę pieszo.

- Pieszko? Sama, proszę pani?

- Absolutnie skandaliczne, prawda? - Uśmiechnęła się do służącego, który wlepił w nią oczy, jakby wyrosła jej druga głowa. Wymknęła się przez drzwi, które uchylił.

Chłód nocnego powietrza na twarzy i w płucach przyniósł Venetii ukojenie. Jeszcze większą ulgę poczuła, gdy zamknęły się za nią drzwi. Nakazała stangretowi czekać na wypadek, gdyby Alice chciała skorzystać z powozu. Szła chodnikiem, stawiając kroki

bezglównie w miękkich pantoflach, mijając nieliczne oczekujące pojazdy. Obeszła miejsce wypadku.

Wyobraźnia podsunęła jej budzący litość obraz panny Vert leżącej przed mężczyznami na srebrnej tacy. Wyobraziła sobie Linwooda, który wraz z innymi ucztuje na jej ciele, i zatrzęsała się z obrzydzenia.

Skręciła w Bear Street, kierując się w stronę Cecil Court. Nasłuchiwała i rozglądała się ukradkiem, sama wśród mrocznych i wyludnionych ulic. Ryzykowała, idąc pieszo, szczególnie że nikt jej nie towarzyszył. Wolała jednak to niż pozostanie u Razeby'ego, gdzie za zamkniętymi drzwiami działy się rzeczy budzące jej najwyższy sprzeciw. Tylko dziesięciominutowy spacer dzielił ją od bezpiecznego domu.

Weszła w odcinek ulicy, gdzie nie rozpalono lamp. Poczowała się jeszcze bardziej zagrożona i przyspieszyła kroku, ściskając kurczowo torebkę. Ciemny kształt oderwał się od cienia schodów mijanego domu, a Venetia wydała stłumiony okrzyk. Kot zamiauczał i uciekł, rozplywając się w nocy. Zaśmiała się i zganiła za niepotrzebny strach. Mówiła sobie właśnie, że zachowuje się absurdalnie, kiedy z tych samych kamiennych schodów podnieśli się dwaj mężczyźni i zbliżyli się do niej niespiesznie.

Stała w miejscu zdjeta strachem. - Nie chcieliśmy pani niepokoić. - Głos mężczyzny był równie szorstki, jak jego aparycja. Był to krępy trzydziestolatek z włosami ukrytymi pod ciemną czapką. Patrzył wzrokiem plugawym i bezczelnym, kontrastującym z uprzejmością słów, w których się do niej zwrócił. Jego towarzysz był młodszy, miał dziobatą twarz i oczy, z których wyzierała groźba przemocy. Krew zapulsowała Venetii w tętnicach.

Przez chwilę przyglądali się jej ciężkiemu, eleganckiemu płaszczowi i błyszczącej torebeczce z paskiem owiniętym wokół nadgarstka, na którym iskrzyła się brylantowa bransoletka.

- Samotna dama nie jest tu bezpieczna o tej porze - podjął krępy. - Szczególnie jeśli tak wygląda.

Venetia milczała.

- Ale może nie jesteś wcale damą. - Bezczelnie zlustrował ją znów od stóp do głów, jakby potrafił przenikać wzrokiem okrycie. - Nie jesteś czasem tą aktorką?



Poczuła suchość w ustach i ukryła dłonie wraz z torebką w połach płaszcza.

- To ci nie pomoże, skarbie - rzucił ze śmiechem opryszek.

- Może nie - odparła. - A może tak.

Wyciągnęła z zanadru damski pistolet z rękojeścią z masy perłowej, mierząc w łotra.

Rzezimieszek uśmiechnął się bez cienia wesołości.

- Tak chcesz pogrywać?

Venetia też wykrzywiła usta na podobieństwo uśmiechu.

- Odejdźcie, a nie będę strzelała.

- Raczej nie, paniusiu. Pewnie nie umiesz się tym nawet...

- Zapewniam... - zacisnęła palec na spuście - ...że potrafię.

Huk był niezwykle głośny jak na tak drobną broń.

- Strzeliłaś do mnie! - Gapił się na broczące krwią udo, jakby nie był w stanie uwierzyć.

Rzuciła się do ucieczki, ale młodszy opryszek zdążył ją chwycić w żelazny uścisk.

- Musimy pryskać, Spike. Hałas na pewno zwabi strażę. Co z nią robimy?

- Bierzemy. Mam z suką rachunek do wyrównania. Walczyła, by nie poddać się panice.

- Nie sądzę - zabrzmiał głos nieopodal, cichy, ale tak groźny i śmiały, że przeciął nocne powietrze jak strzała. Serce Venetii zabiło w odpowiedzi. Rozpoznała Linwooda.

- Ktoś ty, u licha? - zapytał Spike.

- To nieistotne. Zostawcie tę kobietę.

Linwood nie okazywał emocji, zdawał się niemal obojętny, lecz nie odrywał od nędzników wzroku. Pozorny bezruch emanował śmiertelną groźbą bardziej niż jakakolwiek buta czy brawura. Jedynie ostatni głupiec nie zrozumiałby znaczenia wiszącego w powietrzu napięcia.

Nikt się nie poruszył, nie padło jedno słowo. Tylko palce opryszka zacisnęły się silniej na jej ramieniu.

Choć się spodziewała i wstrzymywała dech w oczekiwaniu, ruch Linwooda zaskoczył ją. Szybki jak atak żmii cios laski z głową wilka zasrebrzył się w blasku księżyca,

trafiając w głowę trzymającego ją rzezimieszka. Kolana się pod nim ugięły, a uścisk zwiotczał. Linwood kopnął drugiego w udo tam, gdzie tkwiła kula, powalając go wrzeszczącego na chodnik, obok kamrata.

Więcej na nich nie spojrział. Podeszedł do Venetii, wziął ją pod ramię i pospiesznie odprowadził z miejsca zdarzenia. Nim pootwierały się drzwi okolicznych domów i rozbrłyśły trzymane nad głowami latarnie, Venetia i Linwood oddalili się stamtąd i rozplnęli w ciemności. Dopiero na rogu następnej ulicy, przy której mieszkała, Venetia podniosła wzrok na swojego wybawcę.

- Co ty tu robisz? Myślałam, że jesteś u Razeby'ego. Myślałam...

...że jak pozostali rozpustni dżentelmeni w jadalni markiza je owoce z nagiego ciała kurtyzany, dokończyła w milczeniu.

- Deser nie przypadł mi do gustu.

Patrzyła mu w oczy, ale nie ujrzała w nich kłamstwa.

- A potem dowiedziałem się, że postanowiłaś wracać pieszo do domu. Sama. - Nie wydawał się w najmniejszym stopniu rozbawiony. Twarz miał równie zaciętą jak wtedy, gdy stał naprzeciwko opryszków. - To lekkomyślność. Nie sądziłem, że jest pani do tego zdolna, panno Fox.

Zarumieniła się pod słowami krytyki, gdyż w głębi duszy przyznawała mu rację.

- Nie mogłam tam zostać ani chwili dłużej. I nie byłam całkiem bezbronna.

- Tak, widziałem. - Venetia nie była pewna, czy mówił szczerze, czy ironicznie. Policzki ją piekły. Oboje wiedzieli, jaki byłby dalszy rozwój wypadków, gdyby nie zjawienie się Linwooda.

- Następnym razem proszę na mnie poczekać.

- Następnym razem? - powtórzyła oburzona, dając upust urażonej dumie. - Jesteś nazbyt śmiały, panie.

Milczał. Nie reagował. Pod samym naporem jego spojrzenia Venetia zawstydziała się swej małostkowości.

- Proszę mi wybaczyć - przeprosiła cicho. - Jestem wdzięczna za pomoc.

Powinna była odczuwać podobny lęk, jaki ogarnął tych dwóch niefortunnych łotrów. Zamiast tego ogarnęło ją zaciekawienie, a nawet pragnienie.

- Odprowadzę panią bezpiecznie do domu, panno Fox.

Nie podał jej ramienia ani się nie uśmiechnął. Venetia skinęła głową. Czuła, że jest bliska zniweczeniu skutków swoich dotychczasowych zabiegów. Pragnęła ocalić pozory, ale nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Była niespokojna i wstrząśnięta bardziej, niż chciała przed sobą przyznać. Nie opryszkowie wytrącili ją z równowagi, ale Linwood.

Szli obok siebie w niezręcznej ciszy, która nie zapanowała między nimi nigdy dotąd. Zatrzymali się dopiero przed drzwiami jej domu.

- Dobranoc, panno Fox. - Venetia miała wrażenie, że dzieli ich setka mil, a ich świetne relacje z wieczoru rozsypały się jak domek z kart. Wiedziała, że może przegrać, nim rozgrywka na dobre się rozpoczęła.

Zakołatał do drzwi i odszedł.

- Linwood! - zawołała bez zastanowienia.

Zatrzymał się przy barierce, odwrócił i spojrzał na nią: sylwetka wyjęta z ciemności ciepłym światłem nieodległej latarni. Podeszła do niego z wolna, niepomna skrzypienia otwieranych drzwi, i nie odrywając wzroku od jego oczu, musnęła wargami jego usta.

- Następnym razem zaczekam - rzekła łagodnie.

Błysk rozświetlił jego oczy i w następnej chwili Venetia znalazła się w jego ramionach.

Całował ją z niezwykłą wprawą i wyczuciem. Nie знаła dotąd takich pocałunków. Serce tłukło się jej w piersi jak oszalałe, a powierzchnia całego ciała drżała z tęsknoty za dotykiem. Przeżywała potężne i pierwotne pożądanie. Zaplotła ręce na jego karku i w ogniu żądz, który huczał w uszach i płynął żyłami, stopiła się z nim w jedność. Językiem muskał, badał, drażnił i nęcił, a ona poddawała mu się i odwzajemniała pieśczętę. Prócz pocałunku nic dla niej nie istniało, prócz dotyku i żaru, i jej prymitywnego w swej nieposkromionej mocy pragnienia.

Oderwała się od niego, by spojrzeć mu w oczy, które w smolistej ciemności źrenic kryły tyle tajemnic. Była przerażona utratą panowania, nieokiełznanym uczuciem i gwałtownym pożądaniem, które opanowały jej duszę i ciało. Żar rozchodził się od delikatnej skóry jej ud. Cofnęła się o krok, zarazem rozwierając nogi i odgrywając opanowanie, którego jej brakło.

Spoglądali na siebie przez mrok, a ich nierówne oddechy wypełniały ciszę nocy. Powietrze pomiędzy nimi zdawało się falować od napięcia. Venetia nie ufała swoim słowom, zdołała tylko odwrócić się i odejść w rozświetlony przedpokój. Dopiero z wnętrza odważyła się spojrzeć przez ramię. Linwood się nie ruszył. Patrzył za nią. Ich spojrzenia spotkały się po raz ostatni, nim drzwi się za nią zamknęły i kamerdyner przekręcił klucz w zamku.

Od razu oparła się o solidną podporę dębowej balustrady, zastanawiając się, czy on wciąż stoi na zewnątrz. Nogi miała jak z waty. Dotknęła palcami nabrzmiałych od pocałunku ust.

- Dobrze się pani czuje? - Albert, starszawy kamerdyner, przyglądał się jej z troską. Przytaknęła.

- Doskonale. - Zmusiła się do uśmiechu, by odegnać jego niepokój. Kłamała. Nie czuła się doskonale. Była rozgorączkowana, podniecona i wstrząśnięta swoją reakcją.

- Nie ma potrzeby zatrzymywać portiera na noc. Panna Sweetly wróci jutro - dodała i skierowała się ku szerokim schodom.

- Bardzo dobrze, proszę pani. Poślę na górę Daisy, by pomogła pani w wieczornej toalecie.

- Dziękuję.

Choć przebrana w koszulę nocną i otulona w pierzynę, Venetia nie mogła zasnąć. Nie mogła nawet leżeć nieruchomo, a co dopiero zamknąć oczy. Czuła pulsowanie napięcia, jakiego wcześniej nie знаła. Jej ciało było niespokojne, a umysł mełł tysiące myśli.

„Deser nie przypadł mi do gustu”. Słowa Linwooda trwały w jej pamięci jak wytrawione. Nie powinny nic dla niej znaczyć. Choćby dosiadł panny Vert na oczach wszystkich na jadalnym stole, i tak byłoby to nic w porównaniu do jego wcześniejszych przewin. Mimo to trzymała się tego zdania kurczowo. Nie został, by z pozostałymi oddawać się swej rozwiązłości, lecz poszedł za nią i tylko dzięki niemu leżała teraz bezpieczna we własnej sypialni. Venetia widziała w tym ironię losu, której ich wzajemny do siebie pociąg przydawał jeszcze ciężaru. Zacisnęła oczy, wiedząc, że zadanie staje się przez to tym trudniejsze, choć i łatwiejsze zarazem. Im prędzej dobrze go pozna, tym

szybciej zakończy ten rozdział swojego życia. Musiała postępować bardzo ostrożnie, bo tego scenariusza nie wzięła z bratem pod uwagę. Nie Linwooda przyszło się jej strzec, ale samej siebie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Linwood stał samotnie w swojej rezydencji, wpatrując się w gasnące na palenisku węgle. Na stole za jego plecami leżała otwarta gazeta, „London Messenger”, której wydawnictwo należało do niego. Porzucił ją tam we wcześniejszych godzinach. Odblaski ostatnich pełgających płomyków tańczyły w kieliszku brandy, barwiąc trunek głęboko kasztanowym odcieniem. Zaczerpnął łyk, który rozlał swoją palącą moc na języku i w gardle. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie poświęcił swoich myśli Rotherhamowi.

Nie mógł się pozbyć jej obrazu. Niemal czuł jeszcze zapach perfum i smak ust. Samo wspomnienie pocałunku, dotyku jej ciała i targających nimi emocji wystarczyło, by pożądanie odżyło z pełną mocą. Pragnął Venetii Fox od chwili, kiedy poznał ją na teatralnym balkonie. Miał już niejedną kobietę, ale żadna nie mogła się z nią równać. Była oszałamiająca i intrygująca. Nie potrafił się jej oprzeć i czuł, że jego fascynacja jest odwzajemniona. Nie miał wątpliwości, że łączy ich jakaś więź. Może Razeby miał rację i naprawdę potrzebował rozrywki? Być może pozwoli mu to zasnąć bez konieczności opróżniania do połowy butelki brandy.

Odłożył kieliszek na stół i jego wzrok padł na nagłówek artykułu, który czytał już wielokrotnie. „Lord Dawson z Bow Street obwieszcza, że księżę Rotherham został zamordowany”. Podniecenie natychmiast go opuściło. Wiedział, że problem sam się nie rozwiąże. Miał straszne przeczucie, że śmierć Rotherhama, zamiast coś zakończyć, nadała bieg wydarzeniom, które przyczynią się do zguby ich wszystkich. Nie mógł sobie pozwolić na rozrywki, nawet tak pociągające jak Venetia Fox, kiedy musiał zatuszować morderstwo. Podniósł butelkę i napełnił kieliszek.

Jeszcze następnego popołudnia Venetia nie zdążyła dojść do siebie z powodu tego, co się wydarzyło poprzedniej nocy z Linwoodem. A to dlatego że od tamtej pory jej nie

odwiedził, choć gdyby przyszedł niezapowiedziany, nie przyjęłaby go. Ze względu na to, co mówiła właśnie siedząca naprzeciwko niej w salonie Alice.

Twarz przyjaciółki zdradzała nieprzespaną noc, a emanowały z niej podniecenie i duma.

Nastąpiła cisza, w której Alice miała tyle przyzwoitości, żeby się zarumienić.

- Przyjąłeś ofertę Razeby'ego - orzekła bez wahania Venetia, nie umiając ukryć rozczarowania.

- Zaproponował dwa tysiące funtów rocznie i dom przy Hart Street. Jak mogłabym odmówić? - Zamilkła. - Zrozum, proszę.

- Zdajesz się na jego łaskę, Alice. Co będzie, kiedy się tobą znudzi i znajdzie inną kochankę?

Alice wzruszyła ramionami.

- Jeśli tak się stanie, znajdę innego opiekuna.

- Nie jeśli, tylko kiedy.

- Wiem, na co się decyduję, Venetio. Podjęłam decyzję.

- Flirtuj i drocz się z nim. Sypiaj, jeśli naprawdę tego pragniesz, ale nie oddawaj się w jego ręce.

- Za późno. Już się zgodziłam.

- Nigdy nie jest za późno.

- Jest. - Alice spojrzała Venetii w oczy. Nastąpiła chwila ciszy.

- Pragnę go - dodała po prostu, jakby było to panaceum na wszelkie wątpliwości. - Chcę tego. Ciesz się ze mną, proszę.

Venetia westchnęła i uśmiechnęła się zrezygnowana.

- Jeśli jesteś szczęśliwa, ciesz się. Alice też się uśmiechnęła.

- A co się stało z tobą? Linwood poszedł cię szukać. Znalazł?

- Tak.

- I co? - dopytywała się Alice.

- Odprowadził mnie do domu.

- Naprawdę go lubisz, co? - Przyjaciółka wyglądała na zatroskaną.



Venetia nie mogła go lubić, bowiem znała jego tajemnicę. Mimo to nie zapomniała, że nie chciał ucztować na pannie Vert i pospieszył jej na ratunek. Nie zapomniała też zmysłowego uniesienia, które dzielili.

- Jest inny od wszystkich mężczyzn, jakich znałam - przyznała.

- Venetio... - Alice przygryzła wargę. - Musisz z nim uważać. To nie jest dobry człowiek.

Chłód przebiegł Venetii po plecach. Spojrzała na przyjaciółkę uważnie.

- Już drugi raz mnie przed nim ostrzegasz, Alice. Czy powinnam o czymś wiedzieć?

Przyjaciółka znowu przygryzła dolną wargę, jak zawsze, kiedy była niepewna lub zmartwiona.

- Przyznaję, że jestem nim zainteresowana, jeśli dzięki temu przemówisz.

- Przysięgałam, że nie powiem... - Alice się wahała.

- Ale chyba musisz to wiedzieć. W każdym razie to, co dotyczy Linwooda.

Kiwnęła głową. Serce zabiło jej szybciej.

- Kiedy pracowałam dla pani Silver, Linwood przyszedł do Domu Tęczowych Uciech.

- Linwood był twoim klientem? - wykrzyknęła Venetia, zdjeta grozą.

- Nie! - Alice była równie wstrząśnięta tą sugestią. - Ani moim, ani żadnej z dziewcząt. Nie - powtórzyła i zmarszczyła brwi, jakby wspomnienie było wyjątkowo przykre. - Przyszedł po informację. Proponował majątek, byśmy zdradziły jedną z nas.

- Zdradziły? Nie rozumiem.

- Tożsamość jednej z dziewcząt pani Silver. Jak wiesz, nigdy nie pokazujemy twarzy ani nie podajemy prawdziwego nazwiska. Ale z nią to było coś więcej. Musiałyśmy poprzysiąc dochowania ścisłej tajemnicy. Dostałyśmy za to dużo pieniędzy. Nie mogę więc mówić o niej, ale mogę powiedzieć, że Linwood chciał zapłacić bardzo dużo za choćby strzęp informacji.

- Pragnął jej? - zapytała cicho Venetia.

- Nie tak, jak myślisz. Był z nią związany wielki skandal. I z pewnym znaczącym szlachcicem. Linwood poszukiwał informacji dla siebie, swojego ojca i ich gazety. Jest w końcu właścicielem „London Messenger”.

- Nie wiedziałam - rzekła Venetia, zapamiętując ten fakt na potrzeby rozmowy z Robertem.

- Jest niebezpieczny.

- Groził ci?

- Nie, nic z tych rzeczy. Ale mają z ojcem złą reputację. Jest przystojny, Venetio, diabelnie przystojny, i tak jak diabeł mroczny. Wolałabym, żebyś przyjęła Devlina albo Hawicka.

- Nie chcę ich.

- Bądź ostrożna przy Linwoodzie, Venetio - dodała po chwili Alice. - Jest bezwzględny. Nic go nie porusza. Może być ekscytującym kochankiem, ale jest... niebezpieczny.

Venetia jednak już postanowiła sprawdzić, jak bardzo.

Linwood siedział w swojej łoży w Theatre Royal i patrzył na Venetię Fox. Wciągnęła go fabuła sztuki, którą już widział, co świadczyło o jej talencie. Zmusił się do spojrzenia na matkę, a potem na siostrę, która siedziała obok niego. Marianne skupiła się na sztuce i zdradzała silne przywiązanie do przeżyć postaci odgrywanej przez Venetię. Siostra Linwooda była ostatnio bardziej pewna siebie i zadowolona, co go cieszyło. Przeniósł wzrok na jej męża, który wpłynął na tę zmianę, Rafea Knighta.

Podczas antraktu udał się wraz z Knightem po napoje dla dam.

- Czytałeś wczorajszego „Messengera”?

- Oczywiście. - Knight zacisnął zęby. - Przy Bow Street odkryto, że Rotherham nie zginął z własnej ręki.

Linwood przypomniał sobie pogłoski o samobójstwie, które rozpuściła jego gazeta.

- Morderstwo czy samobójstwo, tak czy inaczej sprawa zamknięta - dokończył Knight.

Linwood pokręcił głową.

- Pojawią się pytania, zaczniesz grzebanie w przeszłości. Dochodzenie może ujawnić to, co nie powinno ujrzeć dziennego światła.

- Łajdak nawet zza grobu zatruwa życie.

- Może powinniście wyjechać. Zabierz Marianne na zimę za miasto.

- Bezpieczniej będziemy tutaj, na bieżąco z wydarzeniami. Jeśli prawda wyjdzie na jaw...

- Nie wyjdzie. Dopilnuję tego.

Popatrzyli na siebie z wzajemnym szacunkiem. Nie lubili się, ale walczyli w tej samej sprawie.

- O nic mnie nie proszę.

- Ani ty mnie - odparł Linwood. - Lepiej niech tak zostanie. Dla dobra Marianne.

Knight skinął ponuro głową na znak zgody.

Następnego dnia po wizycie Linwooda z rodziną w teatrze Venetia miała wolny wieczór. Choć nie nazwałaby tak wizyty na balu u Fallinghama. Z taką uwagą śledziła na sali Linwooda, że nie zauważyła zbliżającego się Hawicka.

- Venetio... - rzekł głosem cichym i zaborczym. Odwróciła się, tracąc cały entuzjazm.

- Wasza miłość - odrzekła z ceremoniałem.

Spojrzenie Hawicka musnęło jej piersi.

- Nie musimy zachowywać tak sztywnych konwenansów.

- Nie chciałabym was urazić.

- Nie udałoby ci się to. Czyż nie jesteśmy przyjaciółmi?

- Na tyle, na ile to możliwe między mężczyzną a kobietą.

Roześmiał się.

Venetia uśmiechnęła się swoim wystudiowanym uśmiechem stanowiącym delikatną aluzję do uwodzicielskiej kokieterii.

- Dobrze się bawisz?

- W istocie. To wspaniałe przyjęcie, wasza miłość.

- Mam na imię Anthony. Wolałbym, żebyś tak się do mnie zwracała, Venetio.

Uśmiechnęła się jakby na zgodę, ale imienia nie wypowiedziała.

- Lord Fallingham zadał sobie wiele trudu.
- Zblednie przy balu, jaki wyprawię na twoją cześć.
- Już o tym mówiliśmy.
- Spraw mi tę przyjemność - szepnął. Spojrzała mu z uśmiechem w oczy.
- Wiesz, że sprawiam przyjemność tylko sobie, panie.
- Okrutna z ciebie kobieta, Venetio.
- Za to szczerą. Roześmiał się ponownie.
- Przyjmij moje ramię. Przejdźmy się po sali.

Mimo niechęci do Hawicka i jego arogancji Venetia nie odmówiła. Pozwoliła się oprowadzić wokół sali balowej. Ufała w swoją umiejętność kontrolowania sytuacji. Kiedy jednak zbliżyli się do salki wystawowej, gdzie Fallingham prezentował swoją kolekcję antyków, Hawick popchnął ją nagle do środka.

- Wasza miłość, muszę zaprotestować! - Venetia całe życie unikała podobnych sytuacji. Flirtowanie z dżentelmenami w towarzystwie było bezpieczne, na osobności - wręcz przeciwnie.

Hawick wystroił się dużo pyszniej niż jakikolwiek mężczyzna, a nawet kobieta na przyjęciu. Posiadał tytuł, bogactwo i klasyczną urodę. Stanowiłby ideał dla niemal każdej. Venetia nie zamierzała jednak być niczyją kochanką. Prędzej by piekło zamarzło, niż sprzedałaby się jakiemukolwiek bogaczowi i pozwoliła odebrać sobie całą godność, by w końcu zostać porzuconą jak bezużyteczny śmieć. Dziecięce wspomnienia przebiegły jej szeptem przez głowę, napełniając jej serce determinacją i wstrętem.

- Z pewnością zgodzisz się, że już najwyższy czas, abyśmy porozmawiali bardziej prywatnie, Venetio. - Zapukał swoje błękitne spojrzenie w jej oczy. - Dostatecznie wiele wymieniliśmy już publicznie listów i notek.

Srebrzysty poblask miesiąca obdarzał cienie marmurowych posągów pozornym życiem.

- Proszę cieszyć się do woli kolekcją. Ja muszę się za pańskim pozwoleniem oddalić. Mam do odtąnczenia jeszcze inne tańce.

Odwróciła się, lecz Hawick pochwycił jej nadgarstek i przyciągnął do siebie.

- Najpierw porozmawiamy.

Znacząco opuściła na moment wzrok na trzymającą ją dłoń. Kiedy popatrzyła mu na powrót w twarz, nie kusila już. Ogarnęła ją zimna wściekłość.

- Proszę, Venetio - błagał Hawick, ale nie zwolnił uścisku.

- Dobrze - odparła, trzymając w ryzach gniew wraz z tkwiącym w nim ziarenkiem przerażenia. - Skoro jesteś, panie, tak nieuprzejmie natarczywy.

- Nie owijajmy dłużej w bawełnę. Wiesz, że pragnę cię całymi miesiącami. Proponowałem ci więcej niż jakiegokolwiek kobiecie, a i tak nie uznałaś sumy za wystarczającą.

- To nieporozumienie, wasza miłość... Hawick ujął ją za drugą rękę.

- A teraz pojawił się Devlin i próbuje mnie przebić.

- Mylisz się, panie.

- Nie sądzę, Venetio. Twój wybieg się udał.

- Wybieg?

- Wykorzystanie Devlina do podbicia stawki. - Uśmiechnął się. - Znam tę grę równie dobrze jak ty i, przyznaję, doceniam wirtuozerię twojej rozgrywki. Chylę czoła przed niezwykłym sprytem.

Blond włosy załśniły, gdy rzeczywiście się przed nią ukłonił.

- Wygrałaś. Dostaniesz wszystko, czegokolwiek sobie zażyczysz. Masz carte blanche. Rozkazuj. Wymień cenę, a ja zapłacę.

- Jak mówiłam, to nieporozumienie, wasza miłość.

- Przeciwnie, Venetio. Myślę, że doskonale cię rozumiem.

- Nie jestem na sprzedaż. - Mówiła powoli, lodowatym tonem, nie spuszczać nieugiętego wzroku. - Proszę więc uwolnić moją rękę, nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

- To nowa taktyka? - zapytał, nie dowierzając.

- Nie. To prawda.

- Od miesiący prowadzimy negocjacje.

- Nic podobnego. Wysyłałaś mi, panie, listy z propozycjami. Na żaden nie odpowiedziałam.

W milczeniu, które nastąpiło, wyraz jego twarzy uległ zmianie.

- Pozwoliłaś mi wierzyć...

- Przepraszam, jeśli tak się stało. Nie było to moim zamiarem.

- Nie było? - Nadal nie wierzył, ale tym razem dało się wyczuć w jego głosie gniew. - Proszę zmienić zdanie, madame. Drażniła się pani ze mną, rozbudzała ciekawość...

- Wyraziłam już swoje zdanie. Zmrużył oczy.

- Masz już układ z Devlinem?

- Nie - odparła ze spokojem mimo ostrogi strachu, która bezlitośnie popędzała jej serce do galopu. - Ale nawet w przeciwnym razie nie byłaby to twoja sprawa, panie.

- Chcesz mnie ośmieszyć przed całym Londynem? Zabawiać się mną jak kukiełką dla swojej i towarzystwa uciechy?

- Ta rozmowa się zakończyła, panie. - Spróbowała uwolnić nadgarstek, ale jego uścisk tylko się wzmocnił.

- Jeszcze nie, Venetio.

Zaczęło w niej kiełkować przerażenie. Siłą woli odgrodziła się od niego stalową ścianą.

- Za dużo sobie pozwalasz, panie.

- Może raczej za mało. - Zbliżył się do niej, owiewając ją oparami brandy i wpatrując się w nią wzrokiem pełnym wściekłości i pożądania.

- Proszę mnie puścić!

- Nie lubię, kiedy robi się ze mnie głupca.

- Obok jest sala pełna ludzi - zagroziła.

- Lecz tutaj jesteśmy tylko my, panno Fox. - Przeciągnął wolną ręką po jej biodrze i pośladku, przyciskając ją do siebie w podnieceniu. - Poza tym wszyscy wiedzą, co nas łączy.

- Nie! - syknęła. Myśli kłębiły się jej w głowie. Wiedziała, że nie może krzyżeć jak panienczka. Hawick miał zresztą rację - nikt by jej nie uwierzył.

Zbladła.

- Puść mnie - powtórzyła ostrzej i zaczęła się szamotać, ale jego usta już się zbliżyły do pocałunku.



- Pani najwyraźniej nie życzy sobie twoich awansów, Hawick - doszedł ich z mroku znajomy głos, który, choć cichy, tym bardziej wydawał się złowrogi.

Hawick potoczył wzrokiem po komnacie, a z cienia wyłonił się Linwood. W księżycowym świetle jego włosy zdawały się jeszcze ciemniejsze, a oczy czarniejsze niż ślepią diabła. Sylwetką nie ustępował otaczającym ich posągom ani w harmonii ciała, ani w bijącym od postawy chłodzie. Przystojny i elegancki, poruszał się spokojnie. Czujność w jego spojrzeniu nie wyrażała jednak wahania. Poparta niezłomną determinacją była oznaką śmiertelnej groźby.

- To sprawa pomiędzy mną a panną Fox - rzucił Hawick. - Nie jesteś głupi, Linwood. Wiesz, że mam nieprzebrane środki i liczne kontakty. Lepiej będzie dla ciebie, jeśli odejdziesz.

- To brzmiało jak ultimatum.

- Skoro tak to zrozumiałeś.

Napięcie w małej galerii rosło. Od szaleńczego tętna Venetii kręciło się w głowie. Ze wstrzymanym oddechem czekała, aż Linwood odwróci się, odejdzie i zostawi ją w szponach Hawicka.

- Nigdzie się nie wybieram - odrzekł groźnym tonem.

Dwaj mężczyźni przyglądali się sobie w ciszy jak dwa zjeżone psy.

- Więc to tak - rzucił Hawick, jakby dokonał ważnego odkrycia. - Nie Devlin, tylko ty próbujesz mnie przelicytować. Prawda?

- Odsuń się od panny Fox.

- A jeśli nie?

Spojrzenie Linwoda wyrażało gotowość do ostatecznej konfrontacji, użycia bezgranicznej przemocy - obietnicę śmierci. Sam widok zmroził Venetii krew w żyłach. Hawick najwyraźniej zobaczył to samo, bo zaszła w nim wyczuwalna zmiana.

- Wynoś się - rzucił do niej, puszczając nadgarstek i popychając ją w stronę drzwi.

- Wróćmy do tego, Venetio.

- Nic podobnego, Hawick - odrzekł Linwood złowrogo.

- Jeszcze zobaczymy - wygrażał się Hawick.

- Proszę zamknąć za sobą drzwi, panno Fox - zwrócił się do niej Linwood.

Zwlekała w obawie przed tym, co miało nastąpić między mężczyznami Hawick był wyższy i cięższy od Linwooda, ale ten szczuplejszy i bardziej zwinny, do tego sprawiał wrażenie gotowego na wszystko.

Linwood popatrzył jej w oczy po raz pierwszy, odkąd przerwał Hawickowi. Skinęła głową. Odwróciła się i wybiegła z pokoju, zostawiając dwóch mężczyzn samych.

Venetia spacerowała po sali balowej niby najspokojniej w świecie, choć była od spokoju jak najdalsza. W końcu napotkała Alice.

- Dobrze się bawisz? - zapytała przyjaciółka niefrasobliwie. Wydawała się szczęśliwa.

- Jak nigdy.

- Psiakrew! - wyrwało się Alice. Nie patrzyła już na Venetię. Spoglądała przez jej ramię z wyrazem fascynacji i grozy.

Wszyscy wokół również wpatrywali się w zjawisko, które tak Alice poraziło. Muzyka ucichła, ustępując miejsca przytłumionemu pomrukowi, jakby do sali wdarł się morski bałwan.

Venetia poczuła u nasady włosów dreszcz, który spłynął w dół jej kręgosłupa. Nie chciała patrzeć, ale już się odwracała za spojrzeniami pozostałych gości.

Hawick przedzierał się przez tłum w stronę drzwi. Jego biała koszula i fular zbryzgane były szkarłatem, a do nosa przyciskał skrwawioną chustkę.

- Co mu się, u licha, stało? - szepnęła Alice.

Choć Venetia знаła odpowiedź, milczała. Patrzyła na Hawicka tak jak wszyscy.

- Devlin? - mruknęła Alice pod nosem. Najwyraźniej nie była w tej myśli osamotniona, bo kiedy Hawick zniknął za drzwiami, wszystkie oczy zwróciły się na Devlina. On jednak stał po przeciwnej stronie sali i wyglądał na równie zaskoczonego, co pozostali goście Fallinghama.

Venetia wzięła głęboki oddech i przejęła kieliszek szampana od przechodzącego lokaja. Jej ciało jeszcze drżało, a umysł nie uwolnił się od wstrząsu. Mogła myśleć tylko o tym, jak niewiele dzieliło ją od upadku, i o mężczyźnie, od którego nigdy by się nie spodziewała otrzymać pomocy. Zastrzelenie bezbronny i rannego człowieka siedzące-

go za własnym biurkiem wymagało szczególnego charakteru. Ujrzała Linwooda pogrążonego w rozmowie z Razebyem.

Rzucił jej ponure spojrzenie. Nie odwrócił wzroku, póki nie rozdzieliły ich tańczące pary. Kiedy taniec dobiegł końca, Linwooda już nie było.

Krew szumiała jej w uszach i pulsowała w skroniach. Opuściła wzrok, by się opanować. Panna Fox musiała zachować swój chłodny dystans. Wyprostowała się i kiwała głową, jakby słuchała szczebiotu Alice. Muzyka płynęła słodka lub żywa, ale Venetia słyszała tylko raz za razem słowa Linwooda. „Nigdzie się nie wybieram”.

Ponownie ją ocalił. Zastanawiała się, czy to, czego się o nim dowiedziała, zaniepokoi jej brata tak samo, jak ją.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego ranka Venetia otrzymała bilecik od Linwooda:

*Pragnę zaproponować Pani swoje towarzystwo oraz przejażdżkę po Hyde Parku. Mam nadzieję, że nie jestem nazbyt śmiały.*

*Uniżony sługa,*

*L.*

Zdania skreślone były cennym, opalizującym atramentem na kosztownym papierze. Linwood miał ostry i odważny charakter pisma, a czytając notkę, Venetia niemal słyszała jego dźwięczny, łagodny głos, który z ironią zaakcentował słowo „śmiały”. Nawiązywał do nocy, gdy ocalił ją od zbirów. Wspomniała jego chmurną i przystojną twarz, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i usta, które mogły pozbawić rozsądku każdą kobietę.

Zgniotła karteczkę i ścisnęła w pięści. Miała pokusę, by rzucić ją w ogień i patrzeć, jak obraca się wniwecz. Nie chciała się z nim spotykać, bo i ona traciła przy nim całą rozwagę. Pociągał ją i podniecał. Pozbawiał kontroli. Zacisnęła powieki, gdyż wiedziała, że nie może mu odmówić.

Był to dalszy element rozgrywki, którą z własnej woli rozpoczęła.

Westchnęła i uważnie rozprostowała każde, uczynione własną ręką, zagięcie skrawka papieru. Wpatrywała się w niego przy oknie w chłodnym, jesiennym świetle dnia. Myślała o autorze bileciku i tym, kogo z zimną krwią zamordował. Westchnęła raz jeszcze głęboko i usiadła przy sekretarzyku w salonie. Schowała liścik w szufladzie i wyciągnęła czystą kartkę. Podniosła pióro i zanurzwszy je w kałamarzu, poczęła pisać.

Gdy Albert oznajmił, że Linwood czeka w bawialni, Venetia poczuła strach. Był on jednak, mimo że nigdy by się do tego nie przyznała, podszyty zadowoleniem. Chciałaby go odesłać, zarazem pragnęła się z nim widzieć. Była roztrzęsiona. Powtarzała w duchu podjęte zobowiązanie, przekonując samą siebie, że nic więcej go z nim nie łączy. Nieświadczym wzrokiem wpatrywała się w owalne zwierciadło toaletki. Rozmyślnie opieszale przewlekła perłowe kolczyki przez płatki uszu, wygładziła królicze futerko na kapeluszu i sprawdziła, czy szpilki dobrze je trzymają.

Miała na sobie jedwabną suknię i pelisę w bladym odcieniu błękitu, równie chłodnym i przejrzystym jak jej oczy. Zwlekała, pozwalając mu czekać i uspokajając się, jak zwykła czynić przed każdym występem. Przed żadnym nie czuła dotąd takiej tremy.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła odegrać swoją rolę.

- Lordzie Linwood.

Stał przed kominkiem w ciemnogrnatowym fraku, płowych bryczesach i czarnych, lśniących butach jeździeckich.

Wyglądało, jakby znał barwy jej stroju i ubrał się odpowiednio dla ich dopełnienia. Za każdym razem, gdy na niego spoglądała, była wstrząśnięta niezwykłą reakcją, jaką wywoływała w niej jego mroczna uroda. Dojrzała, że wciąż trzymał w lewej ręce kapelusz, laskę z wilczą głową i rękawiczki, choć Albert z pewnością proponował, że je przechowuje.

Spojrzał na nią, a słynna z opanowania, dystansu i chłodu panna Fox poczuła na twarzy rumieniec. Właśnie ta zdrada ze strony własnego ciała rozjuszyła ją, dając potrzebną do zmierzenia się z nim broń.

Objął ją wzrokiem.

- Jesteś piękna.

- Pochlebiasz mi.

- Wiesz, że nie.

Gdy tak na siebie patrzyli, Venetia czuła, że przebiega ją dreszcz wspomnienia ich wspólnego pocałunku.

- Hyde Park? - zapytała.

- Chyba że wolisz inne miejsce. - W oczach Linwooda dostrzegła ten sam wyraz, który poprzedził pocałunek. Oddychała z trudem. Powietrze wokół wypełniło się nagle zmysłowymi rojeniami. Obrazy przemykały jeden za drugim w jej myślach. Prawie rzeczywiste i ogromnie sugestywne. Dotyk jego ust, taniec języków, jego smak, dotyk muskularnego ciała pod palcami. Jego zapach zamieniał tęsknotę w piekło żądz. Venetia zrobiła krok w tył, odsuwając się od pokusy i niebezpieczeństwa.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się leniwie, ukrywając gonitwę myśli i szal emocji.

- Wszystko w swoim czasie, panie.

Skinął głową, jakby uzgodnili właśnie przyszłe wydarzenia. Lęk pospieszał wciąż bicie jej serca, lecz Venetia już wychodziła ze swojego domu, kierując się do powozu.

Linwood siedział plecami do stangreta, oddając Venetii kierunek jazdy. Przyglądał się jej, rozparty w poduszkach. Czuł, że mógłby patrzeć na nią całe życie, a i tak widok nigdy by go nie znużył. Wydawała się jak zawsze odprężona, spokojna i pewna siebie. Kiedy jednak zaglądał w jej jasnoblękitne oczy, miał wrażenie, że Venetia ukrywa się przed nim za kurtyną.

- Nowe lando - zauważyła, gładząc skórzane siedzenie i oparcie jasnobeżową rękawiczką, która rysowała się wyraźnym konturem na czarnym tle wnętrza powozu.

- Należy do mojego ojca.

Dotknęła niewielkiej tarczy herbowej, wyszytej na zagłówku.

- Czy hrabia Misbourne wie, że korzystasz z jego pojazdu do wożenia aktorek po Londynie?

- Tylko jednej aktorki - odparł, z rozmysłem nie odpowiadając na pytanie.

- Mimo to wynająłeś apartament przy St. James's Place, choć ojciec ma nieopodal rezydencję.

- Dowiadywałaś się o mnie. - Połechtaby to mile próżność każdego mężczyzny. Linwood nie był wyjątkiem.

- Nie bardziej niż ty o mnie. Znałeś tamtej nocy drogę do mojego domu, choć ci jej nie wskazywałam.

- No to chyba przyłapaliśmy się nawzajem. Odwróciła wzrok, jakby nie chciała się do tego przyznać.

- Przy tym nie szukasz protektora - podjął cicho.

- Ani ty kochanki - odparła aksamitnym głosem.

Spojrzała mu w oczy hardo. Linwood poczuł, niby dźgnięcie szpadą, uderzenie pożądaniami.

Uśmiechnęła się kusząco, choć jej oczy pozostały chłodne. Chwilę później patrzyła już na mijane widoki.

Do parku wjechali przez Hyde Park Corner i skierowali się na modną trasę wzdłuż Rotten Row, choć późna pora roku i chłód wygnały już z alei większość regularnych bywalców. Minęli tylko dwa powozy: w pierwszym zasiadały stateczne matrony, które oceniwszy pasażerów landa, odwróciły wzrok zgodnie z nakazem przyzwoitości; drugi wioził księcia Arlesford z żoną. Książę wymienił z Linwoodem spojrzenia zdradzające wzajemną niechęć, co jednak nie zepsuło wicehrabiemu humoru.

Jasne, szafirowe niebo i niskie, blade słońce zmuszały Linwooda do mrużenia oczu. Chłodne powietrze niosło wilgotne zapachy jesieni, a liście trwające jeszcze na gałęziach i te pokrywające trawniki płonęły jaskrawymi kolorami. Widoki te blakły jednak przy urodzie siedzącej naprzeciwko kobiety.

- Podziwiałem niedawno twój występ.

Venetia zamarła i przez chwilę sprawiała wrażenie zmieszanej.

- Występ?

- Udałem się do teatru z matką, siostrą i jej mężem. Zamknęła oczy i rozluźniła się z ulgą. Nie rozumiał jej

reakcji, ale kiedy podniosła powieki, wyraźnie wróciła do siebie.

- Widziałam was w loży twojego ojca. Jak się podobało twoim bliskim przedstawienie?

- Niezwykłe.

- Ale twój ojciec z wami nie przyszedł?



- Nie - uciał Linwood.

Powiew poruszył włosiem białej skórki, zdobiącej jej kapelusz. Dalsza część przejażdżki upłynęła im pod znakiem niezobowiązującej pogawędki i niekrępującego milczenia. Linwood nie znał dotąd kobiety, która potrafiłaby cieszyć się ciszą.

W końcu powóz dotarł do Cumberland Gate. Venetia objęła wzrokiem mieniący się park, jasne niebo i słońce. Odetchnęła głęboko.

- Taki piękny dzień - rzekła cicho, jakby do siebie. - Zbyt dużo widuję samych tylko wieczorów i nocy.

Uśmiechnęła się promiennie i serdecznie.

- Dziękuję ci, że przypomniałam sobie światło dnia.

- Bardzo proszę.

Linwood mimowolnie odpowiedział uśmiechem na jej niekłamana radość.

- Może skuszę cię na gorącą czekoladę u Guntera? - zapytał, kiedy opuścili park. Gotów był na wiele, byle tylko przedłużyć wspólnie spędzony czas.

- Naprawdę dowiedziałeś się o wszystkich moich słabostkach, lordzie Linwood.

Uśmiechnęła się znowu, a i on nie pozostał jej dłużny.

Powóz podążył Park Lane. Widok, jaki tam spotkali, obrócił dla Linwooda całe światło dnia w ciemność.

Niedaleko skrzyżowania przewrócił się wózek straganiarza. Lśniące, zielone i czerwone jabłka rozsypały się po całej drodze. Dzieci uganiały się za łupami, chwytając je, przekrzykując się i kłócąc. Lando musiało zatrzymać się naprzeciwko czarnej wyrwy w szeregu domów z portlandzkiego wapienia - w ostatnim miejscu, gdzie Linwood chciałby się znaleźć.

Venetia wpatrywała się w ruiny spalonego domu i zastanawiała się, czy zaprowadziło ich tu przeznaczenie, czy machinacje Roberta.

- Dom księcia Rotherham - powiedziała cicho, a cała więź bliskości między nią a Linwoodem została zerwana, zostawiając po sobie jedynie strzępy uludy, która tylko zdawała się na tyle rzeczywista, że była w stanie ją oszukać.

Linwood milczał, ale Venetia nie musiała go widzieć, żeby wyczuć zaszłą w nim przemianę. Choć może to ona sama się przeobraziła.

- Podobno to było podpalenie - ciągnęła Venetia tonem luźnej konwersacji.
- Doprawdy? - Chłodna rezerwa i nieufność znowu udzieliły się Linwoodowi.
- Ktoś naprawdę musiał nienawidzić Rotherhama.
- Na to wygląda.

Jego twarz wyrażała opanowanie i niemal całkowity brak zainteresowania tematem.

- Znałeś go?

- Można by tak powiedzieć. Mój ojciec przestawał z nim w młodości. A ty?

Linwood nawet nie mrugnął, zaskakując ją pytaniem. Wątpiła, czy ktokolwiek inny w jego sytuacji zdobyłby się, aby je zadać.

- Bardzo słabo - odparła, nie uciekając się do kłamstwa. - Był mecenasem teatru.

Przemilczała, że dla niej był kimś znacznie bliższym.

- Co o nim sądziłaś? Venetia zastanowiła się.

- Był zimnym i pedantycznym mężczyzną. Lubił stawiać na swoim i bywał okrutny. Arogancki i bogaty, miał zbyt dużą władzę, ale nie uchylał się od swojego obowiązku.

- Obowiązku? - Linwood roześmiał się ironicznie.

- Nie łamał danego słowa - odparła. Wiedziała, że mimo braku sympatii dla Rotherhama, będzie go broniła do ostatka.

- Muszę się zgodzić. - Ostry ton Linwooda odnosił się wyraźnie do konkretnego wydarzenia. - Wygląda na to, że znałaś go nieco bliżej.

Serce Venetii zamarło. Pauza wydawała się już zbyt długa, kiedy zdobyła się wreszcie na odpowiedź.

- Prawie wcale - odrzekła leniwie, mając nadzieję, że ukryje nagły przypływ strachu. Przekonywała siebie samą, że Linwood nie mógł wiedzieć. Prawie nikt nie wiedział. Uświadomiła sobie, że nazbyt się odprężyła w prowadzonej grze.

- Lubiłaś go? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała znowu zgodnie z prawdą. - Próbowałam, ale nie umiałam się na to zdobyć.

Linwood uważnie badał wzrokiem jej twarz. Venetia wyraźnie słyszała bicie swojego serca i czuła, że dostaje gęsiej skórki. Gra nabierała tempa.

- A ty?

Pokręcił głową.

- Wątpię, czy ktokolwiek mógłby twierdzić inaczej.

Zwróciła twarz na szczątki budynku, przyglądając się zwęglonym belkom i okopconym ciężką sadzą kamieniom.

- Mimo to spalić cały dom? - Nie odwracała wzroku od ruin. - Dlaczego ktokolwiek miałby to zrobić?

Linwood wzruszył ramionami.

- Na pewno mieli swoje powody.

- Czy ktoś może zasługiwać na taką nienawiść i odrazę?

- Niektórzy zasługują na więcej.

Patrzył z zimnym gniewem.

- Na śmierć? - zapytała łagodnie.

- Bez wątpienia.

Venetia wstrzymała oddech, wstrząśnięta jego szczerością. Powietrze zdało się jej jeszcze zimniejsze. Jedwabna suknia i pelisa nie chroniły już przed jego powiewami.

- On nie żyje - zauważyła.

- Nie żyje - przyznał bez żalu Linwood.

Patrzyli sobie w oczy, głusi na zamieszanie na drodze.

- Nie wolno mówić źle o zmarłych - ostrzegła. Linwood pozostał nieporuszony.

- Wątpię, czy nawet Rotherham może powrócić z głębin Hadesu, by nas nawiedzić.

- Masz pewność, że trafił do piekła?

- Tak.

- A ten, który go tam wysłał? Co z nim?

Niemal dławiła się uderzeniami swojego serca, pobudzonego ich obopólną zuchowałością. Niezwykła szczerość nadawała rozmowie intymny charakter zwierzeń mię-

dzy kochankami. Venetia bała się, że ją przejrzał, bała się jego riposty i ich wzajemnego pożądania.

Linwood patrzył jej w oczy, a ona nie mogła odwrócić wzroku. Pochylił głowę w jej stronę. Nie wiedziała, czy chce szeptać, czy całować, ale i tak wyciągnęła do niego szyję.

Naraz stangret oznajmił, że droga jest wolna, i zakłęcie, które połączyło ich na środku ruchliwej ulicy, zostało rozproszone. Nie mogła go już pochwycić. Z szarpnięciem powóz ruszył w dalszą drogę.

Venetia rozważała, co powinna byłaby zrobić, gdyby Linwood przyznał się przed nią do winy lub pocałował za dnia w publicznym miejscu. Zadrżała.

- Marzniesz - zauważył.

- Troszkę - przyznała. Wilgotny chłód zdawał przenikać do szpiku jej kości.

Linwood sięgnął po podróżny pled ze swojego siedzenia i okrył kolana Venetii.

- Czy nie miałbyś nic przeciwko, żebyśmy przełożyli wizytę u Guntera na inny dzień, panie?

- Jak sobie życzysz. Zapadła krępująca cisza.

- Zaszokowałem cię swoją otwartością - rzekł po chwili.

- Nie tak łatwo mnie zaszokować.

Mimo to była wstrząśnięta mocą jego nienawiści do Rotherhama, a także swoimi emocjami. Z trudem ich nie okazywała pomimo kunsztu profesji. Ledwie udało się jej ponownie założyć maskę zimnej, nieporuszonej aktorki. Przez chwilę Venetia miała wrażenie, że szmaragdowe, wilcze oczy patrzyły na nią z głowicy laski Linwooda i widziały prawdę przez wszystkie zasłony kamuflażu. Odwróciła głowę, otrząsając się z obłąkańczych wizji.

- Pracujesz dzisiaj? - zapytał Linwood.

- Tak.

- A jutrzejszego wieczoru?

- Również. Milczenie.

- W niedzielę mam wolny wieczór - zaproponowała.

- Ja mam w niedzielę inne zobowiązania - odrzekł. - Nie mogę tego spotkania przełożyć ani opuścić.

- Musi ci to doskwierać - zauważyła oschle.

Uśmiechnął się.

- Moglibyśmy się spotkać w piątek na herbatę u Guntera.

- Moglibyśmy - odrzekła beznamiętnie.

Powóz zatrzymał się pod jej domem. Linwood wysiadł i pomógł Venetii opuścić pojazd. Pomimo rękawiczek czuła ciepło jego dotyku, który trwał nieco dłużej, niż nakazywało dobre wychowanie.

Tym razem w świetle dnia przyjrzała się jego oczom i zauważyła, że były raczej czarne niż ciemnobrązowe, niczym oczy diabła.

- Druga godzina - powiedziała i odeszła w stronę czekających na nią otwartych drzwi. Nie oglądając się za siebie, minęła Alberta, który zamknął je za nią, weszła do sypialni i zdejmując rękawiczki, zatrzymała się dopiero pod samym oknem. Linwood był już w swoim landzie, ale nie odjeżdżał.

Nawet z tej odległości Venetia odczuwała lęk przemieszany ze skłonnością do niego. Linwood jakby wyczuł na sobie jej spojrzenie i podniósł wzrok. Choć Venetia nie mogła być z dołu dostrzeżona, zdawał się patrzeć jej prosto w oczy. Z bijącym sercem wstrzymywała oddech, póki nie dał stangretowi sygnału do odjazdu.

Venetia patrzyła za powozem i mroczną postacią w jego wnętrzu, dopóki nie zniknął jej z oczu. Zastanawiała się, ile Linwood mógł wywnioskować z jej słów. Nigdy wcześniej nie miała podobnych inklinacji do prawdomówności. Gra okazała się różna od tych, w jakie zwykła grać. Stawka była wyższa, a na szali musiały się znaleźć nie tylko pozory. Aby przebić się przez obronę przeciwnika, sama zmuszona była opuścić nieco gardę. W tej najniebezpieczniejszej z gier nie miała innego wyjścia, jak zwyciężyć.

Tej nocy Linwood widział we śnie spalone szczątki domu Rotherhama. Śnił o płomieniach, które przeobraziły piękną rezydencję w dymiące zgliszcza. Łuna rozjaśniała londyńskie niebo na wiele mil wokół, a popioły nie dogasały przez tydzień. Podobny sen nawiedzał go często, ten jednak różnił się od pozostałych. Tym razem ciemna postać w oknie, w której zawsze pragnął widzieć Rotherhama, przeobraziła się wśród szalejącej

pożogi. Linwood wypatrywał piekące od żaru i dymu oczy, by ujrzeć, jak Rotherham płonie. Lecz w oknie stał już nie książę, ale ciemnowłosa piękność o łabędziej szyi, której usta tak często drwiły i kusily, a jasne migdałowe oczy nieomal tały prawdę o kobiecie kryjącej się za ich spojrzeniem. Była to Venetia Fox.

Patrzyła z okna w spokojnym bezruchu, jakby zgadzała się na zgotowany jej straszny los, lecz w spojrzeniu czaił się lęk. Biegł jej na ratunek aż do rozpuku płuc, aż czuł w ustach i gardle metaliczny posmak krwi. Było jednak za późno; na jego oczach płomienie wybuchły z nową siłą i strawiły wszystko wokoło. Zrozumiał ze zgrozą, że zginęła. W jego piersi odżyły z nową mocą znajome uczucia gniewu i żalu z powodu niepowetowanej straty.

Gwałtownie się przebudził. Pościel owinęła mu się wokół nóg, a skóra zroszona była potem mimo panującego w sypialni chłodu. Oddychał ciężko, a żołądek miał ściśnięty od strachu. Ta senna mara była bardziej rzeczywista i niepokojąca od koszmarów, które zazwyczaj go nawiedzały. Linwood odrzucił kołdrę, podniósł się z posłania i podszedł do okna. Odsunął zasłony i wyjrzał na spowite mrokiem ulice. Lampy już pogasły, księżyc dawno zaszedł. Czekał, póki serce nie zwolniło uderzeń, a pot nie pozostawił na skórze jedynie suchego chłodu. Pojawienie się we śnie Venetii przypisywał postojowi przy zgliszczach domu Rotherhama i wynikłej z tego rozmowie. Podejrzewał, że jej zainteresowanie sprawą wynikało ze zwykłej ciekawości, ale to wcale go nie uspokajało. Nie wrócił do łóżka, lecz usiadł w fotelu z kieliszkiem brandy, którą sączył, aż zaranne światło rozjaśniło nieboskłon.

Gdy następnego wieczoru Venetia zeszła za kulisy, w garderobie czekała na nią powódź kwiatów. Królował bukiet wielkich, trąbkowych lilii z ciężkimi od pomarańczowego pyłku pręcikami, wypełniający ciężką wonią całe pomieszczenie. Liścik dołączony do kwiatów zawierał rozwlekły wiersz miłosny autorstwa Devlina. Venetia wiedziała, że autora interesuje miłość wyłącznie w aspekcie fizycznym i gotów był ją kupić. Złożyła karteczkę i wypuściła z dłoni bez czytania poematu. Oprócz lilii znalazła cztery bukiety róż i dwa chryzantem, każdy od innego adoratora. Osobno leżał pęk drobnych, kremowych, nieznanych jej kwiatów pośród lśniących zielonych liści. Liścik zawierał



tylko jedną literę: „L”. Bukiet wyróżniał się skromnością. Pochyliła głowę i zanurzyła twarz w ich aromacie.

- Uśmiechasz się, więc pewnie są od Linwoda - zgadła Alice.

- Masz rację.

- Ale takimi kwiatami nie zdobywa się wzglądów kobiety.

- Przeciwnie - odrzekła cicho Venetia.

- Jaki to gatunek? - spytała przyjaciółka zdumiona.

- To kwiaty gorzkiej pomarańczy. - Venetia podała bukiet przyjaciółce, która powąchała ostrożnie.

- Och! Pachną tak samo jak ty!

- To z nich robi się moje perfumy.

- Bystry mężczyzna.

Venetia miała nadzieję, że nie dość, aby ją przejrzeć. Owiana subtelnym, słodko-gorzkiem zapachem nie mogła jednak odpędzić od siebie złych przeczuć.

Tego wieczoru Linwood nie przyszedł do kularów. Venetia uspokoiła się nieco. Miał na nią czekać Robert, rozgrywka przybrała bowiem całkiem nieprzewidziany obrót.

Zatrzymała się na moment we drzwiach, szukając wzrokiem w ciemności przybranego brata.

- Tu jestem, Venetio.

- Robercie!

Zaczekał, aż siostra wejdzie do powozu, i wspiął się do wnętrza za nią. Zatrzasnął drzwiczki, a konie ruszyły z miejsca.

Powóz dawno zniknął w ciemnościach, kiedy zarys ciemnej postaci wyłonił się spod kamiennej ściany przy Hart Street, gdzie znajdowało się tylne wyjście z teatru Covent Garden. Mężczyzna jeszcze przez chwilę patrzył w ślad za powozem, nim wrócił na ruchliwą Bow Street. Nikt go nie widział, a choćby i tak, jego twarz pozostawała spowita w mrok bezksiężycowej nocy. Wmieszał się w tłum jako jeden z licznych gości teatru, którzy dla rozmowy lub z bardziej rozpustnego powodu pozostali na miejscu po zakończeniu przedstawienia. W świetle ulicznych lamp w głowicy jego laski jarzyły się dwa zielone ogniki.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Cieszę się, że wstałeś na poranną przejażdżkę, Linwood. - Uśmiechnął się Razeby, który dosiadał swojego wierzchowca swobodnie, prowadząc go stępą obok konia wicehrabiiego. - Mówiłem, że odrobina rozrywki dobrze ci zrobi.

- Nawet bardzo dobrze. - Linwood odpowiedział cynicznym uśmiechem.

- Jak się miewa tajemnicza panna Fox?

- Nadal pozostaje tajemnicza - odparł, wspominając noc w zaułku za teatrem. Chciał zrobić jej niespodziankę, a sam zobaczył coś niespodzianego. Venetia spotkała się potajemnie z bękartem Rotherhama, Robertem Clandonem. Zastanawiał się, czy był świadkiem schadzki kochanków. Niezależnie od tego zamierzał dowiedzieć się znacznie więcej.

Razeby zaśmiał się.

W porannym powietrzu unosiła się rzadka mgła, gdzieniegdzie rozświetlona wiązkami słonecznych promieni. Konie parskały, wyrzucając z pysków kłęby pary, niczym lokomotywa Trevithicka podczas pokazu.

- Największą tajemnicą pozostaje, jak, u diaska, udało ci się zwrócić na siebie jej uwagę, gdy nikomu innemu to nie wyszło. Odrzuciła Hawicka, a wieść niesie, że proponował jej dwadzieścia tysięcy rocznie. I Devlina, który bez wątplenia oferował dziesięć. Wiem, że nie masz dość floty, żeby ich przebić.

- Może panna Fox nie jest na sprzedaż. - Dotąd Linwood wierzył w prawdziwość słów, które padły w galerii Fallinghama. Teraz nie mógł jednak w rachubie pominąć Clandona. Wicehrabia nie był już pewien niczego w Venetii Fox.

- Ta przepychanka z Hawickiem to była twoja sprawka, nie mylę się?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Linwood nigdy nie zdradzał sekretów, ani swoich, ani cudzych.

Przyjaciel nie dał się jednak zwieść.

- Jesteś tajemniczy jak ona. Można powiedzieć, że pasujecie do siebie.

- Być może - odparł z uśmiechem Linwood.

- Byłem pewien, że ci się spodobała.

- A ja nigdy nie zaprzeczyłem.

Nawet teraz tego nie zrobił. Rzeczywiście go pociągała i jej machinacje tego nie zmieniły. Stał się tylko ostrożniejszy i bardziej uważny. Pokrewieństwo Clandona z Rotherhamem i pytania Venetii zobowiązywały go do odkrycia tajemnic.

Razeby pokręcił z rozbawieniem głową.

- Co o niej wiesz? - Linwood za dał jedyne pytanie, dla którego wybrał się na tę przejażdżkę.

- Czyli to coś poważnego?

- Bardzo prawdopodobne. - Linwood był przekonany, że ich rozumienie powagi sytuacji w pewnym stopniu się różni.

Razeby wydawał się zdziwiony wyznaniem przyjaciela.

- Skoro tak... - Poglądził po grzywie wierzchowca, który zarżał cicho. - Liczne nazwiska znaczących dżentelmenów z towarzystwa przewinęły się przez jej przeszłość. Hawick i Devlin to tylko dwaj ostatni adoratorzy. Słyszałem, że nikogo do siebie nie zaprosiła.

- A pozostałe nazwiska?

Arlesford, Hunter, Monteith, nawet sam York.

- Robert Clandon?

- Nie. - Razeby zmarszczył brwi w konsternacji. - Albo wiesz więcej ode mnie.

Zaprzeczył milcząco.

- Musiałem się pomylić - wytłumaczył.

- Poza tym Clandon nie wydaje się w jej guście.

- A kto się jej podoba?

- Ty, jak się okazuje.

Linwood przemilczał tę uwagę. Zdawał sobie sprawę, że jej zainteresowanie może wynikać z całkiem odmiennych pobudek.

- A czyją była kochanką?

- Cóż, nie wiadomo: Trzyma karty przy orderach, ta nasza panna Fox. A ma się czym pochwalić. - Razeby uśmiechnął się do własnego dowcipu. - Tego samego wymaga

od zalotników. Najdrobniejsze uchybienie i żegnaj, wszelka nadziejo. Może dlatego właśnie tak cię lubi.

Zignorował tę uwagę.

- A jej pochodzenie?

- Po prawdzie nikt nie wie za dużo o Venetii Fox z czasów, nim została sławna. Wyrosła pod skrzydłem Kemble'a w Theatre Royal w Covent Garden i pozostała jemu i teatrowi lojalna do dziś. Mówi się, że ma szlacheckie korzenie - jej ojcem ponoć był młodszy syn, który poszedł na pastora, a ona sama jest jedynaczką. Trzeba przyznać, że dodaje jej to jeszcze charakteru: jest coś podniecającego w corani duchownego, która powinna stać się aniołkiem, a jest małą diabolicą. Ale czy jest w tym ziarno prawdy? - Razeby wzruszył ramionami. - Ja też mogę tylko zgadywać. Zamilkł.

- Ale skoro jesteś tak ciekawy - podjął - Bractwo Wilka zapewne może się dla ciebie wszystkiego dowiedzieć.

- Bractwo ma ważniejsze sprawy.

Nie należało obarczać takimi rzeczami tajemnego stowarzyszenia, do którego obaj należeli. Organizacja miała dużo istotniejsze cele, dbała o powszechne dobro i sprawiedliwość. Należeli do niej najpotężniejsi i najbardziej wpływowi mężczyźni w kraju. Linwood nie zamierzał zajmować ich śmiercią Rotherhama.

- Prawda - zgodził się Razeby - ale wystarczy, że szepniesz słowo właściwej osobie...

Linwood pokręcił głową.

- Sam się tym zajmę.

- Jak chcesz. Na twoim miejscu nie przejmowałbym się tym za bardzo. To aktorka. Żadna z nich nie zyskuje sławy, zachowując dziewiczą niewinność. Nie będziesz się przecież z nią żenił. A w alkowie doświadczenie się przydaje.

- Nie wątpię - odparł Linwood bez przekonania.

- Dość już o pannie Fox. Mgła się podnosi, a Monty niecierpliwi. - Koń Razeby'ego potrząsnął grzywą na potwierdzenie tych słów. - Zakład, że prześcignę cię do Hyde Park Corner?

Linwood skinął głową, przyjmując wyzwanie, i obaj ruszyli z kopyta przez park.

Zgodnie z zapowiedzią Linwood przybył po Venetię o drugiej po południu. Mimo ładnej pogody korzystał z zamkniętego powozu. Choć zasłony były rozsunięte, a słońce przeświecało na przestrzał przez okna, atmosfera wnętrza sprawiała wrażenie bardzo prywatnej.

Na wypadek gdyby zziębła, przygotował dla niej owcze runo i gorący kamień pod stopy. Jesienny chłód nie doskwierał jej. Siedząc tuż obok Linwooda, czuła bijące od niego ciepło. Przeszywał ją dreszczyk przy każdym jego dotknięciu. Miała grać kobietę ogarniętą żądzą, ale wcale nie musiała grać.

Mówili niewiele. Nie podtrzymywali grzecznościowej pogawędki. Nie próbowali przełamywać milczenia, trwając w chwiejnej równowadze emocji. Gdy podjechali do Guntera, Linwood pomógł Venetii wsiąść. Przyjęła jego ramię i pozwoliła się zaprowadzić do herbaciarni. W drzwiach minęli starszego, eleganckiego dżentelmena podpierającego się laską u prawego boku. Miał szpakowate włosy, a posiwiała broda nie była w stanie ukryć mizernej i wyniszczonej, pobrużdżonej twarzy. Cierpienie w jego ciemnych oczach wydało się Venetii bardzo znajome.

Linwood zawahał się i wyprostował bezwiednie.

- Francis - rzekł cicho napotkany.

Venetia natychmiast pojęła, kim jest. Lata nie obeszły się łaskawie z hrabią Misbourne, choć w młodości musiał być bardzo podobny do syna.

- Sir. - Chłodny i formalny ton Linwooda nie zdradzał ani odrobiny uczucia czy szacunku, jakich spodziewałaby się u niego wobec ojca.

Venetia nie widziała jeszcze tak surowego wyrazu na jego twarzy.

- Dawno się nie widzieliśmy - rzekł hrabia.

- Byłem zajęty - odparł.

Po chwili krępującego milczenia Misbourne zwrócił spojrzenie na Venetię.

- Pozwól, że ci przedstawię pannę Fox - pośpieszył z wyjaśnieniem Linwood. - Panno Fox, hrabia Misbourne... mój ojciec.

Ostatnie słowo wypowiedział z wyraźną goryczą. Misbourne i Venetia wymienili grzeczności, po czym hrabia zwrócił się ponownie do syna.

- Odwiedzisz nas w niedzielę w porze lunchu?

- W niedzielę jestem zajęty.

- To może choć krótka wizyta w dogodnej dla ciebie chwili... przez wzgląd na twoją matkę. Wiesz, jak bardzo się o ciebie martwi.

Linwood skinął sztywno głową.

- Proszę mi wybaczyć, sir.

- Oczywiście. - Przez oczy Misbourne'a przemknął wyraz bólu.

Venetia skłoniła się i niezręczna chwila odeszła do przeszłości. W herbaciarni wskazano im zarezerwowany stolik. Wzrok Linwoda podążał jeszcze za postacią, która po chwili zniknęła w alejce. Venetia miała wrażenie, że wniknęła na moment w bardzo osobistą część jego życia i poznała jego gniew i słabość, które za wszelką cenę chciał ukryć przed światem.

Pochwycił jej wzrok i zamarł w oczekiwaniu. Pojawienie się kelnera przerwało wymianę spojrzeń. Venetia popatrzyła na niego z uśmiechem i poprosiła o kartę ciast. Nie była głodna, a echa sytuacji sprzed drzwi wciąż pobrzmiwały między nimi.

- Zatem... - rzekła cicho, kiedy kelner odszedł.

Linwood zastygł na okamgnienie.

- Zamierzasz iść dzisiaj do teatru? - zapytała.

- Tak - odparł, a w jego oczach mignął wyraz szczególnego uczucia. Venetia nie była pewna, czy była to ulga, czy wdzięczność. - Chcę ujrzeć pewną aktorkę.

- Nie wiedziałam, że jesteś wielbicielem panny Sweetly.

Uśmiechnął się i oparł rękę na blacie stołu, prawie dotykając jej w publicznym i szanowanym lokalu. Czują, jakby pogładził ją po skórze. Odwróciła dłoń wnętrzem ku górze, a jego spojrzenie padło tam, gdzie guziki rękawiczki odsłaniały mleczną skórę nadgarstka. Kiedy popatrzyli sobie w oczy, doszło między nimi do rodzaju porozumienia, które jednak Venetia nie całkiem rozumiała.

- Wiesz, że nie interesuje mnie panna Sweetly - rzekł aksamitnym półszeptem.

- Ale pamiętasz ją z czasów, gdy nie pracowała jeszcze w teatrze - odparła równie cicho.

- Tak. - Linwood nawet nie udawał niezrozumienia.

- Odwiedzałeś ją? - Słyszała to już od Alice, ale chciała potwierdzenia z jego ust.



Linwood zdziwił się obcesowością, ale zaraz odpowiedział w podobnym tonie.

- Nie muszę uczęszczać do burdeli, panno Fox.

- Nie o to pytałam. - Jej dociekliwość nie miała nic wspólnego ze sprawą Rotherhama. Nie tego miała się dowiedzieć i nie powinno jej to w najmniejszym stopniu interesować. Nie mogła się jednak powstrzymać. Z zapartym tchem czekała na odpowiedź.

- Nie odwiedzałem ani jej, ani też żadnej innej kurtyzany.

- Ale proponowałeś jej zapłatę.

- To prawda. - Linwood nie odwrócił wzroku.

Ich rozmowa była niezwykle emocjonalna, niebezpieczna i osobista, choć popijali herbatę i zajadali babeczki ze śmietaną pośród szanowanego londyńskiego towarzystwa.

Venetia pochyliła się i rzuciła ciszej:

- Za usługi erotyczne? Omal się nie roześmiał.

- Czy już nie mówiłem, że nie płacę za takie usługi?

- Lordzie Linwood, znowu nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Pani zadaje ich tak wiele, panno Fox... - odparł protekcyjnie.

Venetia się zaniepokoiła. Wyraz twarzy i ton głosu Linwooda nie zdradzały intencji. Zaraz dodał, nieco kojąc jej lęk:

- Jestem przekonany, że panna Sweetly wyjaśniła ci już, czego od niej chciałem.

- Może zdziwi cię to tak bardzo, jak mnie dziwi, ale nie wyjaśniła. - Venetia skrzywiła się lekko na to wspomnienie. Może było hipokryzją oczekiwać od Alice większej szczerości, niż sama jej okazywała, ale ta świadomość nie łagodziła poczucia zawodu.

- Potrzebowałeś informacji, ale nie zdradziła o kim. Zapadło milczenie. Linwood popatrzył na jej palce, skubiące guzik rękawiczki. Venetia znieruchomiła, sięgnęła po filiżankę i upiła łyk, nim pozwoliła ich spojrzeniom ponownie się spotkać.

- Naprawdę ci nie wyjawiała! - skonstatował z uśmiechem.

Nie odpowiedziała.

- Tamta sprawa nie jest z nami związana, panno Fox - dodał spokojnie.

- Nie? Próbowaleś kupić informacje o jednej z dziewczynek pani Silver.

- Moja gazeta potrzebuje takich wiadomości. A ty nigdy nie zrobiłaś nic, czego byś żałowała?

- Uważam na to.

Linwood skinął głową z zabarwionym ironią uznaniem.

- A ty niczego więcej nie żałujesz, panie? - zapytała poważnie, niemal z wyzwaniem w głosie, z nadzieją, że skłoni go do wyznań na temat Rotherhama.

- W mojej rodzinie płynie chyba diabelska krew, panno Fox. Nikt z nas nie przejdzie przez życie bez wyrzutów sumienia. Choćby nawet działał z najlepszych pobudek.

Venetia miała wrażenie, że ją przejrzał i odgadł wszelkie sekrety. Tak słowa, jak spojrzenia, wywoływały u niej gęsią skórę. Sprowadziła rozmowę na bezpieczniejsze tory, ale napięcie między nimi nie zelżało. Była wyjątkowo zdenerwowana, więc z ulgą przyjęła nadejście pory powrotu do domu.

Jazda przebiegła w milczeniu. Nawet kiedy wysiadała z powozu z jego pomocą, Linwood nie odezwał się ani słowem. Venetia dręczyła się myślą, że posunęła się za daleko w pytaniach o Alice, burdel i Rotherhama.

- Miłego wieczoru, lordzie Linwood.

Odeszła już kilka kroków, kiedy dobiegły ją jego czułe słowa, tak szczere, że miły dreszczyk przebiegł jej po plecach.

- Powinnaś wiedzieć, Venetio, że nie zamierzam się dzielić. Jeśli należysz do mnie, należysz tylko do mnie. Tak jak ja należę tylko do ciebie.

Zamilkł, po czym dodał:

- Jeśli jest inaczej, nie mamy o czym rozmawiać.

Zamarła, a jej serce zabiło w szaleńczym tempie. Bała się jego słów, tego, co mogą oznaczać o łączącej ich więzi. Odwróciła się ku niemu.

Patrzyli na siebie z bliska, a reszta świata przestała dla nich istnieć.

- Do widzenia, panno Fox.

Linwood uklonił się, nie czekając na jej odpowiedź, wsiadł do powozu i odjechał.

Trzy wieczory później Venetia przybyła przed czasem na wieczorek u Razeby'ego, zorganizowany dla uczczenia jego porozumienia z Alice. Przyjaciółka Venetii aż pro-

mieniała w roli gospodyni markiza. Stała u jego boku i wraz z nim przyjmowała przybywających gości.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś - powitała ją, po czym dodała cicho: - Zaprosiłam dla ciebie Linwooda, chociaż wbrew sobie.

- Dziękuję - odparła. Nie po raz pierwszy pragnęła wyjawiać przyjaciółce prawdziwe motywy swojego postępowania.

Ostatnie dni spędziła, zamartwiając się o niego. Teraz nie czekała, tylko podeszła wprost do niego przez całą bawialnię.

- Panno Fox. - Skłonił się Fallingham. - Linwooda nie muszę pani chyba przedstawiać.

- Oczywiście - odparła, rzucając spojrzenie na mężczyznę, którego widok zawsze przyspieszał bicie jej serca.

Linwood również się uklonił. Milczał, ale jego spojrzenie przypomniało Venetii ostatnie słowa, jakie do niej skierował. Minęły trzy noce, a ona wciąż nie wiedziała, czy było to pytanie, ostrzeżenie, czy jedno i drugie. Chciał, by ich znajomość stała się czymś więcej niż przygodnym flirtem i ostrzegał, że nie toleruje niewierności. Tak propozycja, jak przestroga dręczyły ją znacznie bardziej, niż powinny. Rozgrywka toczyła się w nieprzewidzianą stronę, groźną i kuszącą zarazem.

- Panna Sweetly daje Razeby'emu powody do dumy - zauważył Fallingham, wytrącając Venetię z zamyślenia.

- To prawda, lordzie Fallingham.

- Cieszę się z powodu ich porozumienia. - Fallingham był uosobieniem grzeszności, ale nie powstrzymał się przed zerknięciem w jej piersi.

- Uszczęśliwia ją - odparła z grzeszności, bo nie podzielała jego zdania. Nie rozumiała, dlaczego wbrew jej ostrzeżeniom Alice tak bardzo pragnęła być z Razeby'm.

- Ona jego również. W jej obecności mięknie jak wosk.

Wątpię, odrzekła w duchu Venetia. Uśmiechała się i milczała. Nie łudziła się co do stosunku Razeby'ego do jej przyjaciółki. Wykorzysta ją, myślała, i oddali tak, jak mężczyźni jego pokroju zwykli postępować z kobietami takimi jak Alice czy ja.

- Wypijmy za zdrowie panny Sweetly i Razeby'ego. - Fallingham wznosił kieliszek szampana.

Venetia uniosła swój. Linwood też, choć tylko Fallingham przełknął alkohol. Widziała, że podobnie jak ona Linwood jedynie dotknął ustami brzegu kieliszka.

Ich oczy się spotkały i Venetia raz jeszcze wspomniała jego słowa. Czy należała do niego? To pytanie zadawała sobie przez ostatnie trzy noce. Znała swoją siłę i cel, na którym chciała się skoncentrować. Skoro Linwood zdecydował się podnieść stawkę, gotowa była sprostać wyzwaniu. Gdyby mu odmówiła, odszedłby, a plan Roberta spaliłby na panewce. Poza tymi racjami istniał jeszcze jeden powód, którego nawet w myślach nie formułowała wprost.

- Ach! - Fallingham się uśmiechnął. - Nadchodzi Clandon.

Wstrząśnięta Venetia zachłysnęła się szampanem.

- Droga panno Fox, proszę pozwolić... - Fallingham wyciągał chusteczkę, gotów na wszelki wypadek osuszyć wszystkie te miejsca, na które nie padła ani kropla. Venetia nie zwróciła na niego uwagi. Bez słowa przyjęła białą chustkę od Linwooda. Przycisnęła ją do ust, jakby składała na niej pocałunek, i zwróciła właścicielowi.

Fallingham zdał sobie nagle sprawę, że wpatruje się w kieszeń, do której Linwood schował chusteczkę.

- Właśnie wznieśliśmy toast za naszych gospodarzy, Clandon - rzekł. - Linwooda zapewne znasz?

Venetia była poirytowana, że brat nie poinformował jej o swojej wizycie. Unikała jego wzroku.

Robert skinął głową, ale na Linwooda prawie nie spojrział. Zapanował chłodny nastrój. Wzrok hrabiego zatrzymał się na mgnienie na czarnej żałobnej opasce wokół ramienia Roberta.

- Niezmiernie mi przykro z powodu Rotherhama - rzekł Fallingham. - To straszne stracić ojca w taki sposób.

- Tak - mruknął Clandon, a jego oczy załśniły wilgocią. Odwrócił wzrok i odchrząknął. W spojrzeniu Fallinghama pojawiło się współczucie, lecz Linwood pozostał jak zawsze nieprzenikniony.

- Jestem pewien, że działania naszego wymiaru sprawiedliwości pozwolą odnaleźć sprawcę. - Robert brzmiał równie pompatycznie, jak jego ojciec.

- Oczywiście - zgodził się Fallingham. - Czy przedstawiono już pana panie Fox?

- Nie miałem jeszcze tej przyjemności. - Robert skłonił się. Wyraz jego oczu zdradzał wyrachowane zainteresowanie. Venetia poczuła się niezręcznie. - Panno Fox.

Venetia uznała, że jej brat jest w grze pozorów bieglejszy nawet od niej.

- Przykro mi z powodu pana straty, panie Clandon - odparła z ukłonem.

- Dziękuję. - Robert przeniósł uwagę na Linwooda, jakby oczekiwał, że i on przyłączy się do kondolencji, lecz ten uparcie milczał. Niezręczna sytuacja stawała się nie do zniesienia. Mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu, a żaden nie zamierzał się ugiąć.

- Clandon, muszę cię przedstawić naszej gospodyni, panie Sweetly - rzekł rozsądnie Fallingham, kładąc dłoń na ramieniu Roberta i kierując go w stronę Alice.

Venetia zaczęła, aż brat oddalił się poza zasięg głosu.

- Nie złożyłeś mi kondolencji.

- To dlatego, że nie żałuję śmierci Rotherhama. - Linwood patrzył na nią śmiało, czekając na reakcję.

- To niebezpieczne, gdy władze szukają zabójcy.

- Może lubię niebezpieczeństwo. - Zrobił krok ku niej i szepnął, muskając oddechem jej policzek:

- Tak jak ty, Venetio.

W tle dało się słyszeć łagodne i melodyjne brzmienie *Greensleeves* na fortepianie. Pokój był rozświetlony dzięki blaskowi niezliczonych świec odbijającemu się w zwierciadłach, błyszczącemu pośród tysięcy kryształów w kandelabrach nad głowami i migoczącemu w kinkietach. Wokoło rozbrzmiewał pomruk rozmów przetykany śmiechem mężczyzn i chichotem dam, brzęczało szkło, a w oddali wystrzelił korek od szampana. Venetia i Linwood zwracali uwagę jednak tylko na siebie nawzajem. Słyszała bicie swojego serca - szybkie, mocne i głośne - w takt którego pulsowało jej ściśnięte gardło. Wpatrywała się w bąbelki musujące w kieliszku, by w końcu podnieść wzrok i spojrzeć w jego czarne oczy, które zdawały się widzieć zbyt dużo i które budziły do życia skrawek jej duszy, o którego istnieniu dopiero przy nim się dowiedziała.

- Nie wiem, co masz na myśli, panie - odparła cicho. Nie musiała już dla efektu bardziej przyspieszać oddechu. Przekonywała siebie, że Linwood nie mógł poznać jej tajemnicy, że to jej własne nieczyste sumienie zabarwiło jego słowa niebezpiecznym znaczeniem. Nigdy wcześniej nie owładnęło nią równie silne pożądanie.

- Wciąż nie odpowiedziałaś na moje pytanie, Venetio.

Nie ono jedno wymagało odpowiedzi, lecz od razu wiedziała, co Linwood miał na myśli. „Jeśli należysz do mnie, należysz tylko do mnie... Jeśli jest inaczej, nie mamy o czym rozmawiać” - w jej głowie ponownie rozbrzmiały jego słowa.

- Nie możesz zatrzymywać panny Fox tylko dla siebie, Linwood - rzekł, podchodząc do nich Devlin z panią Silver pod ramię.

- Nie? - odparł, nie odwracając od Venetii wzroku.

Linwood nie starał się zmniejszyć iskrzącego między nimi napięcia. Było równie realne, jak wszystkie pytania, które sobie zadawał. To, że Clandon i Venetia udawali, że się nie znają, nie było dobrą wróżbą. Szpiegowała go dla kochanka, czy może nieślubny syn Rotherhama opłacał jej usługi? Pamiętał podejrzaną reakcję Venetii na aluzję do występu. Coraz częściej też poruszała sprawę Rotherhama i jego śmierci. Wiedział już, kto stoi za jej dociekliwością. Clandon i Venetia uważali go za mordercę. Bawiło go to, ale też martwiło.

Pani Silver, właścicielka najelegantszego domu uciech w dzielnicy St. James's, ubrana była w swą zwyczajową stonowaną suknię w gołęmbim kolorze, równie nobliwą, jak wyzywające były kreacje jej podopiecznych. Choć towarzyszyła Devlinowi, ten nie odrywał wzroku od Venetii, rozkoszując się kształtami podkreślanymi przez odważną, purpurową kreację.

Venetia podeszła krok do Linwooda.

- Panno Fox. - Devlin pocałował jej dłoń, a ona z gracją przyjęła jego powitanie, ale natychmiast zabrała rękę i oparła na ramieniu Linwooda, wyraźnie dając obu do zrozumienia swoje stanowisko.

- Linwood. - Devlin przez chwilę czytał jej gest, po czym znowu odezwał się do niej:

- Widziałem pani grę ostatniego wieczoru. Wspaniałe wykonanie. Jak zawsze.



- Dziękuję. Jest pan nadzwyczaj łaskawy, sir.

- A pani miała okazję podziwiać aktorstwo panny Fox? - Devlin zapytał kobiety u swego boku.

- Nie, sir - odparła pani Silver z uśmiechem, choć kiedy spojrzała na Venetię, z jej oczu bił chłód.

- Może wybierzemy się kiedyś w większym gronie - zaproponował Devlin, wlepiając wzrok w dekolt Venetii.

- Cudowny pomysł, ale niestety w tym tygodniu jestem co wieczór zajęta. W przyszłym też.

Uśmiechnęła się kącikami ust. Atmosfera między kobietami była lodowata. Linwood nie pojmował, jak Devlin może tego nie dostrzegać.

- Proszę o wybaczenie - rzekł w końcu, skłonił się płytko i odprowadził Venetię w drugi koniec pokoju.

- Czy zna pan już odpowiedź, lordzie Linwood?

Patrzył w jej skryte, piękne srebrnoniebieskie oczy.

- Nie jestem pewien, panno Fox.

- Mam ci to przeliterować, panie?

- Chciałbym mieć pewność.

- Dobrze więc. - Venetia utrzymała przez chwilę jego spojrzenie, po czym podeszła bliżej i muskając ustami jego ucho, szepnęła: - Jestem twoja. I tylko twoja.

Mimo tego, co o niej wiedział, i wbrew temu, co podejrzewał, słowa te wstrząsnęły nim i pobudziły go. Cofnęła się i popatrzyła mu w oczy.

- Cieszę się - odparł i na oczach wszystkich schwycił dłoń Venetii w geście skromnym, ale jednoznacznym. Wiedział, że wrogów najlepiej jest mieć na oku i pokonać ich własną bronią. Chciał się też upewnić, że podejrzenia Clandona padną tylko na niego.

Przyjął ją też dlatego, że nadal jej pragnął.

Devlin i pani Silver przeszli obok. Linwood dojrzał na twarzy Venetii zawołowaną wrogość wobec madame. Kiedy zrozumiała, że ją przejrzał, skierowała uwagę w jego stronę.

- Chyba trochę trudniej mi imponować pani Silver aktorskimi umiejętnościami.



- Kiedy chcesz z nich korzystać, umiejętności zawsze ci starcza - odparł.

Jej dłoń zamarła.

- Pochlebca - odparła, postanawiając taktycznie uznać to za komplement.

- Nigdy, przecież już to wiesz.

- Chyba masz rację. Choć wiem o tobie niewiele.

- A co dokładniej chciałabyś wiedzieć? - Linwood zastanawiał się, czy Venetia jest świadoma, po jak grząskim gruncie stąpa.

- Wszystko, panie. - Musnęła palcami jego dłoń i cofnęła rękę. Z trudem opanował narastające podniecenie.

- Niewiele ci trzeba.

- Nie. - Uśmiechnęła się swoim uwodzicielskim, wyzywającym uśmiechem. - Tylko ciebie.

Teraz nie odpowiedział tym samym. Zajrzał jej poważnie w oczy.

- Zatem dam ci to, czego chcesz - rzekł i dodał szeptem

- kiedy ty powiesz mi to, co ja chcę wiedzieć.

- A co to takiego? - szepnęła, jakby brakło jej powietrza, ogrzewając oddechem jego policzek.

- Wszystko, Venetio Fox. - Pochylił głowę i popatrzył jej w twarz.

- Układ o wzajemnej szczerości? - Jej głos brzmiał rozbawieniem, ale w oczach załśnił odblask tryumfu.

- Winniśmy mówić prawdę albo milczeć.

Stali tak blisko siebie, jakby zaraz mieli się pocałować, nie zważając na nikogo.

- Czy zgadza się pani na takie zobowiązanie, panno Fox? - zapytał.

Spuściła wzrok, ukrywając oczy pod długimi rzęsami i zwlekając na tyle długo, by Linwood zaczął się niepokoić. Kiedy spojrzała na niego, nie zdradzała najmniejszego zdenerwowania. Musiał podziwiać jej opanowanie.

- Zgadzam się - odpowiedziała cicho.

- Przypieczętujemy nasz pakt.

- A jak chciałbyś to zrobić? - rzuciła niewinnie, przyprawiając go o mękę. Znała swoją siłę. Obrazy jej nagiego ciała pod nim, ust spoczywających na ustach i łączącej ich

rozkoszy popłynęły przez głowę Linwooda. Odsunął je szybko od siebie z niezłomną siłą absolutnego władcy swojego umysłu.

- Konwencjonalnie. Na razie. - Chwycił i uściskał jej dłoń. Stali tak blisko, że wyglądało to jak czule dotknięcie rąk kochanków. - To honorowo wiążące.

Nie odpowiedziała, ale delikatne drżenie jej palców zdradziło, że pojmuje siłę tych więzów. Dopiero wtedy Linwood się uśmiechnął.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego popołudnia Linwood poznał jedną z przyczyn awersji Venetii Fox do pani Silver. Słońce świeciło jasno przez okna Klubu Dżentelmenów White'a, zalewając promieniami eleganckie wnętrze. Ciemna mahoniowa boazeria i granatowe zasłony płowiąły w jego ciepłym blasku pomimo mrozu na zewnątrz. Pomieszczenie było opustoszałe. Załedwie kilku podstarzałych parów drzemało w wysokich skórzanych fotelach. Sędziwy lord Soames czytał gazetę. Dzięki przytępijonemu słuchowi nie tracił koncentracji mimo głośnego chrapania sąsiada. Tykanie szafkowego zegara przydawało jeszcze atmosferze nastroju sennego spokoju. Linwood i Razeby popijali kawę pod przeciwległą ścianą, dla dyskrecji oddaleni od słynnych łukowych okien na ulicę.

- Alice martwi się z twojego powodu o przyjaciółkę - zagaił Razeby, odstawiając filiżankę.

- To mnie nie dziwi. Panna Sweetly ma mnie za samego księcia ciemności.

- Ale dowiedziałem się od niej kilku rzeczy, które mogą cię zdziwić - odparł z uśmiechem Razeby.

- Opowiadaj. - Linwood starał się nie dać po sobie poznać niecierpliwości.

- Ponoć znasz tajemnicę Alice, że pracowała dla pani Silver.

- Mam nadzieję, że wyjaśniła ci naturę naszego spotkania. Nie miało to nic...

- Wyjaśniła. Jest taka urocza.

- A wracając do panny Fox?

- Tak. - Razeby otrząsnął się z myśli o nowej kochance. - Może chciałbyś wiedzieć, że nie kto inny, tylko ona właśnie nakłoniła Alice do odejścia od pani Silver i spróbowa-

nia sił w teatrze. Wzięła ją pod swoje skrzydła. Alice jest jej dozgonnie wdzięczna i bezwzględnie oddana.

- Oczywiście. Stare dzieje, Razeby.

- Ale nowością jest, że to samo proponowała po moim przyjęciu pannie Vert.

Linwood uniósł brew.

- Chciała jej pomóc uciec od pani Silver. Nic dziwnego, że Silver jest wściekła, choć Vert odrzuciła propozycję.

Linwood w lot pojął znaczenie słów przyjaciela.

- Panna Fox stara się ratować dziewczyny z Domu Tęczowych Uciech.

- Na to wygląda.

Linwood przypomniał sobie oburzenie Venetii na widok deseru w postaci przystrojonej owocami panny Vert.

- Alice opowiedziała o jeszcze jednej ciekawej sprawie. - Razeby wyglądał jak kot, który dobrał się do miski śmietany. - Wiedziałeś, że wszystkie pokojówki zatrudnione przez pannę Fox były niegdyś kurtyzanami? Wszystkie przekonała osobiście.

- Nie miałem pojęcia.

- Według Alice prostytutka wywołuje szczery sprzeciw u panny Fox. - Zamilkł, po czym dodał: - To zmusza do zastanowienia, skąd się one biorą.

Oraz jaka jest naprawdę jej historia, domyślił się Linwood taktownie przemilczanego przez przyjaciela wniosku. Popatrzył mu w oczy.

- Zgadza się - przyznał. - Jak dużo wie panna Sweetly?

- W tym szkopał. Prawie nic, jestem o tym przekonany. Wygląda na to, że panna Fox pewne sprawy zachowuje tylko dla siebie.

Linwood nie wątpił jednak, że jemu wyjawia wszystkie tajemnice, jedną po drugiej, aż pozna o niej całą prawdę.

Venetia Fox siedziała tego wieczoru naprzeciwko Linwooda w miejskim powozie. Nie zapalono wewnątrz lamp. Wystarczał jasny blask księżyca i błyski ulicznych latarni w oknie, by widzieli się dostatecznie dobrze. Ulice pełne były pojazdów czekających, by zawieźć właścicieli do teatrów otaczających Covent Garden.

- Zatory uliczne w czasie otwarcia i zamknięcia teatrów - rzekła Venetia. - To jedna z wad mieszkania tak blisko, choć zwykle nie uprzykrza mi to życia.

- Dlaczego?

- Ponieważ jestem w teatrze dużo wcześniej, niż podnosi się kurtyna.

- I długo po jej opadnięciu?

- Nie tak bardzo, ale i to wystarczy, żeby powozy się rozjechały.

- Razem z oczekującymi na ciebie dżentelmenami.

- To ryzyko zawodowe aktorki.

Miała rację, choć Linwood wiedział, że z Clandonem chodzi o coś więcej.

- Zawsze możesz się wymknąć wejściem dla aktorów. - Chciał sprawdzić, czy rzeczywiście postanowiła go nie okłamywać.

- Już to robiłam - odparła po chwili.

- Zapamiętam.

- Chcesz mi zrobić niespodziankę? - zapytała, patrząc mu w oczy.

Uśmiechnął się, ale nie przyznał, że też już tego próbował.

- Gdybym ci powiedział, niespodzianki by nie było.

- Po co miałbyś marznąć w ciemności, skoro obok jest przytulna garderoba? -

Venetia wolała zapobiec przypadkowemu spotkaniu Linwooda z Robertem.

- Więc przyjdę niespodziewanie do twojej garderoby.

Nastąpiła chwila milczenia.

- Chciałabym, żebyś przyszedł. - Venetia odwróciła wzrok. - Ale nie lubię niespodzianek.

- Ja też nie - przyznał. - Tylko że czasami są warte naszych nerwów.

- Być może - zgodziła się, choć patrzyła na niego zbyt odważnie, co nauczył się już rozpoznawać jako jej reakcję na zagrożenie. Napięcie rosło z każdą sekundą, gdy zmagali się o prawdę i jej ukrycie i... o zaspokojenie pożądania.

Linwood postanowił zmienić temat i uspokoić emocje.

- Lubisz czasem usiąść po przeciwnej stronie sceny, na widowni? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Nie bawi mnie to szczególnie. Oceniam grę, wypatruję sygnałów i przyglądam się zmianom w scenografii. Dla mnie teatr to praca. Nie jest ważne, czy stoję na scenie, czy siedzę w obitej miękkim pluszem łożu.

- Dlaczego więc przyjąłeś zaproszenie?

Patrzyła na niego. Światło księżyca podkreślało zarys ciemnych włosów i brwi oraz bladą i gładką cerę.

- Naprawdę muszę ci to mówić?

- Mógłbym zaryzykować zgadywanie, ale po co, skoro przyjąłeś zaproszenie i mogę cię zwyczajnie zapytać.

- Dobrze - odparła. - Przyjęłam zaproszenie do teatru, żeby spędzić z tobą miły wieczór. A dlaczego mnie zaprosiłeś?

- Bo chciałem być z tobą, Venetio.

Linwood nie kłamał. Nawet gdyby nie sprawa Rotherhama, i tak by się nie wycofał. Lubił jej towarzystwo, pomimo wszystkiego, co przed nim ukrywała. Nawet jej o to nie winił, w końcu nie różnił się od niej. A ukrywał więcej, niż byłaby kiedykolwiek w stanie odgadnąć.

Venetia uśmiechnęła się.

- Nie musimy iść do teatru, żeby być razem - zaproponował.

- Ale kupiłeś już bilety. I nasze miejsca pozostaną puste. Nie chciałabym tego zrobić żadnemu aktorowi.

Zastukał laską w dach powozu i wysiadł, kiedy pojazd się zatrzymał. Natychmiast podeszły do niego dwie zaniedbane ulicznice. Dał im bilety oraz więcej pieniędzy, niż mogłyby zarobić, nie wychodząc z łóżka przez tydzień. Po chwili był znowu w powozie.

- Zaskakujesz mnie - powiedziała Venetia z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- A ty nie lubisz niespodzianek.

- Ta mi się podobała. To szlachetny gest.

Przypomniał sobie słowa Razeby'ego o jej podejściu do prostytutki.

- Może choć dziś zagubią się w innym świecie niż zwykle.

- Raczej sprzedadzą bilety i wydadzą wszystko na dżin - odparła Venetia ze smutkiem i rezygnacją.

- Przynajmniej mają wybór. A miejsca będą zajęte.

Milczała i przyglądała się jego twarzy.

- Jeśli nie do teatru, to gdzie? - zapytała po chwili.

- Gdziekolwiek zapragniesz. Wybieraj, W jakim miejscu na całym świecie chciała-bys być w tak jasną, gwieździstą noc?

Uśmiechnęła się, choć Linwood nie mógł wiedzieć, dlaczego ten opis tak do niej trafił. Wspomnienia, radosne i przygnębiające, rzucały swoje obrazy w jej wyobraźni. Wahala się, czy ma śmiałość tak wiele mu wyjawic. Uznała, że grając z diabłem w kości, trzeba być odważną.

- Będziesz zawiedziony.

- Przy tobie, Venetio? Niemożliwe.

- A więc dobrze. - Zamilkła. - Chciałabym być w szklarni w moim ogrodzie.

Jeśli był zaskoczony, nie dał tego po sobie poznać.

- Jedźmy zatem do szklarni.

Zawahała się. Wpatrywała się w niego, jakby chciała mu zajrzeć w głąb duszy.

- Możemy się przespacerować. Unikniemy zatorów na drodze - zaproponowała.

Linwood wyciągnął do niej rękę i chwycił jej dłoń.

- Panno Fox, będę zaszczycony, jeśli pozwoli mi pani odprowadzić się do szklarni... pieszo.

- Będzie mi bardzo przyjemnie, lordzie Linwood. Połączyła ich więź, przypieczę-towana przez szczere i ciepłe uśmiechy. Chwilę później Linwood wyszedł na zewnątrz i zamienił kilka słów ze stangretem.

Nie opuścił stopni, lecz wziął ją lekko w ramiona i postawił na ziemi. Czuła dotyk jego silnego i muskularnego, niezwykle męskiego ciała. Odetchnęła jego zapachem, a jej krew zawrzała w odpowiedzi. Niechętnie odsunęła się od niego i przyjęła ramię, dotykając go palcami, jakby byli szanowaną parą. Szli ulicą zapchaną powozami, oddalając się coraz dalej od teatru i zgiełku miasta.

Rozmawiali niewiele, mimo to dzielili to samo uczucie. Wśród sztychów i zbić Venetia tańczyła z Linwoodem taniec pożądania tym bardziej podniecający, że balansowali na krawędzi przepaści. Opowiadała mu to, czego nie wyjawiała dotąd nikomu. Kusila

go, by zrobił to samo. Rozgrywali partię intymności i pasji, zaufania i zdrady. Jej wyznanie. Jego wyznanie. Raz po raz.

Wkrótce dotarli do celu. Albert wyraźnie zdziwił się na jej widok i jeszcze bardziej na widok Linwooda, który wyszedł za nią z ciemności.

- Proszę wejść, lordzie Linwood - zaprosiła go do środka.

Venetia zwróciła uwagę na cichy trzask zamykanych drzwi. Po raz pierwszy zaprosiła do siebie jakiegokolwiek mężczyznę.

Kamerdyner chciał wziąć od niej płaszcz, lecz pokręciła głową.

- Dziękuję, Albercie. Będziemy z lordem Linwood w szklarni.

- Dobrze, proszę pani - powiedział jedynie, ale Venetia i tak wiedziała, co myśli.

Nie zamierzała nikomu pozwolić zmienić swojej decyzji. Czowała, że serce bije jej trochę zbyt szybko, a na policzki wypłynęły rumieńce.

Szedł za nią w dół po schodach, do kuchni na tyłach domu. Nie odezwali się, kiedy Albert zapalił lampę i podał Venetii.

- Czy coś jeszcze będzie pani potrzebne? - zapytał.

- Nie, dziękuję, to wszystko. - Zdjęła ciężki klucz z kołka przy drzwiach. Dobrze знаła jego kształt i ciężar.

Otworzył przed nią drzwi, a ona przeszła przez nie jak tysiące razy wcześniej. Tym razem było jednak inaczej.

Księżyc świecił tak jasno, że latarnia była zbędna. Mimo to Venetia niosła ją przed sobą, stąpając po ścieżce, na której nie potknęłaby się już nawet z zawiązanymi oczami. Dróżka była wąska i obrębiona krzewami oraz rabatami, na których kwiaty już uwiędły. Linwood kroczył bezgłośnie, mimo to wyraźnie czuła jego obecność. Był tam, choć nie przemówił ani słowem. Venetia miała wrażenie, jakby wszystkie jej zmysły niezwykle się uwrażliwiły.

Pośrodku ogrodu, ukryta przed spojrzeniami z otaczających ją domów, czekała na nich ciemna szklarnia. Klucz łatwo obrócił się w zamku. Księżycowy blask zalśnił przejrzystością w szklanych taflach drzwi.

Wiatr szeptał pośród drzew i szeleszcząc, potrząsał zeschniętymi liśćmi, które nielicznie trwały jeszcze między powykręcanymi i nagimi gałęziami. Venetia zawahała się w



progu. Przez chwilę jeszcze miała wątpliwości, lękała się wprowadzić nieprzyjaciela w mury swego azylu.

Linwood, zdawał się szeptać wiatr, wzywając go. Linwood.

Odwróciła się i spojrzała w twarz milczącemu, przystojnemu mężczyźnie. Wiedziała, na jakie waży się ryzyko, przyprowadzając go tutaj - tym większe, że byli sami. Rzeczywiście, igrała z ogniem. Wzięła go za rękę i pociągnęła do wnętrza szklarni.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Venetia postawiła lampę na starym stole warsztatowym. Wbrew swoim oczekiwaniom Linwood nie ujrzał tu żadnych kwiatów, rydli ani innych narzędzi ogrodniczych. Stał tu tylko stół, piecyk i szerokie, obite ciemną skórą łóżkoienne, którego nie powstydziliby się żaden wielkomijski salon.

- Nie będzie prac ogrodniczych?

- Wcale - potwierdziła z tajemniczym uśmiechem. - Przychodzę tu prawie każdego wolnego wieczoru, choć ostatnio trochę rzadziej... z powodu innych zajęć.

- Ja też jestem ostatnio trochę bardziej zajęty - odparł z uśmiechem.

- Tylko trochę?

- Dużo bardziej.

Oparła się o ławę i popatrzyła na niego.

- Nigdy tu nikogo nie przyprowadziłam. Nawet Alice. Światło świeciło zza jej pleców, a jej twarz kryła się w cieniu. W powietrzu unosił się zapach nocy - chłodny i świeży.

- Jestem zaszczycony, Venetio.

Zapadła swobodna i naturalna cisza.

- To dla tej szklarni kupiłam dom. - Rozejrzała się z tkliwością. - Chyba od pierwszego wejrzenia się w niej zakochałam.

Uśmiechnęła się w zamyśleniu, jakby zapomniała o jego obecności.

Po chwili spojrzała na Linwooda.

- Domyśliłeś się już? Po co tu przychodzę?

- Uciekasz?

Uśmiechnęła się szerzej.

- Trochę na pewno. Ale to nie wszystko. Zgaduj dalej.

- Uczysz się tu roli?

- Nie starasz się, panie. Linwood zrobił krok w jej stronę.

- Naprawdę chcesz, żebym odgadł twoje sekrety? Nie odpowiedziała, tylko wyznała szczerze:

- Wielu próbowało, ale nikomu się nie powiodło. Uśmiechnął się, słysząc to.

- Mówiłaś, że przychodzisz tu tylko nocą i zawsze sama. Nie ma książek ani scenariuszy, świeczek czy latarni, poza jedną, którą właśnie przyniosłaś. Zatem nie czytasz ani nie uczysz się kwestii. Jedynym zaś meblem, który przykuwa uwagę, jest wygodne dzienne łóżko.

- Racja.

- Przychodzisz tutaj, żeby...

- Żeby?

Ich spojrzenia się spotkały.

- Żeby patrzeć w gwiazdy.

Westchnęła z podziwu i wybuchła śmiechem.

- Zgadłeś!

- Jest pani astronomem, panno Fox.

- Nieszczerze. Nie mam wykształcenia, ale lubię patrzeć w gwiazdy, przyglądać się ich blaskowi.

Popatrzyła w górę, a on podążył za jej spojrzeniem. Jednak zobaczył tylko lustrzane odbicie latarni i ich twarzy.

Wyciągnął rękę i zamknął przesłony lampy, pogrążając ich w niemal nieprzeniknionej ciemności.

Venetia nie poruszyła się, Linwood też. Czekali, aż oczy przyzwyczają się do mroku, który ich spowijał. Gdy znowu spojrzeli, nad głowami nie mieli szkła, lecz czarny aksamit nocnego nieba, obity niezliczonymi brylantami gwiazd.

Odetchnęła głośno, a on nie wiedział, czy to z podziwu, czy też przez cały ten czas wstrzymywała oddech.

- Czy to nie cudowne? - zapytała z niewinną szczerością niezwykłą przy jej codziennym wyrafinowaniu.

- W istocie - odpowiedział szczerze, choć nie miał na myśli gwiazd. Cudownie było widzieć ją tak prawdziwą, bez maski, w jakiej pokazywała się światu. - Tam na południowym niebie, patrz: to Pegaz.

Obróciła głowę, muskając go swoimi włosami i owiewając wonią perfum.

- Nie widzę - pożałowała się.

- To tam, gdzie cztery gwiazdy tworzą nad horyzontem kwadrat. - Wskazał palcem.

- A, tak! - Linwood słyszał w jej głosie uśmiech. - Latami na nie patrzyłam, a nigdy nie wiedziałam, że tworzą jakąś konstelację.

Stali w milczeniu, patrząc w niebo. Później Venetia opuściła wzrok i spojrzała Linwoodowi w oczy, jakby go oceniała, jednocześnie jej lekka dłoń spoczęła na jego ramieniu.

- Można to robić w wygodniejszej pozycji.

Nie spojrzał na łóżko, choć doskonale rozumiał sens jej słów.

- Patrzeć w gwiazdy - dodała, stając się znowu nieprzeniknioną panną Fox. Zaraz jednak dodała łagodniej: - Wiesz, o czym mówię, prawda, Linwood?

- Doskonale - odparł, wsłuchując się w bicie jej serca.

Zaczekał, aż sama ułoży się na materacu. Dopiero wtedy położył się obok, uważając, żeby jej nie dotknąć.

Przez chwilę wpatrywali się w milczeniu w gwiazdy.

- Teraz widzę Pegaza wyraźnie - powiedziała.

- To na niebie znak jesieni.

- Chodzi o skrzydlatego konia?

- Tak. Jeśli popatrzysz na niego do góry nogami, przy pewnej dozie wyobraźni zobaczysz kształt konia.

Zwróciła głowę w jego stronę.

- A tamta nieduża, jasna to Gwiazda Polarna, która wskazuje podróżnikom północ -  
dodał.

- A mnie się zdawało, że jest nią najjaśniejsza gwiazda na niebie.

- To powszechny błąd. Jest wiele większych i jaśniejszych, chociaż czasem widzi-  
my w górze nie gwiazdę, ale planetę.

- To ciekawe. Opowiedz mi o tym więcej.

- Ten mały krąg gwiazd pod kwadratem Pegaza to fragment konstelacji Ryb. To  
głowa jednej z nich.

- A gdzie jest Panna?

- Nie widać jej jesienią. Musisz na nią poczekać do wiosny. Ale niedaleko Pegaza i  
Ryb, tam... - wskazał kierunek

- ...jest Wodnik, nosiwoda.

Venetia dotknęła na moment jego ręki, szukając gwiazd za jego spojrzeniem.

- Te pięć małych gwiazdeczek to jego dzban.

- Rozumiem.

Linwood patrzył na jej zachwyty.

- Ja też lubię nocne niebo, Venetio.

- Na to wygląda. - Przekręciła się na bok i ułożyła przodem do niego. - Kiedy by-  
łam małą, patrzyłam w gwiazdy przez okienko na strychu. Zawsze mówiłam, że jak do-  
rosnę, będę miała dom ze szklanym dachem, żeby je lepiej widzieć.

- Twoje marzenie się ziściło.

- Tak. - Jej uśmiech zdradzał, że dzieliła się z nim bardzo osobistym przeżyciem,  
wykraczając poza prowadzoną przez siebie gierkę. Milczała, patrząc na niego z bliska, po-  
czym zapytała:

- Gdzie się tego wszystkiego nauczyłeś?

- W Eton. W Oksfordzie. W bibliotece ojca.

- Jesteś uczonym.

- Nie!

Wyciągnęła rękę i przesunęła palcem po jego policzku.

- Przypominasz ojca.

Zacisnął szczęki, dusząc w sobie gorzką odpowiedź.

- Nie dało się nie zauważyć, że relacje między wami nie są najlepsze, kiedy spotka-  
liśmy go przed Gunterem. Myślałam, że to może dlatego, że byłeś ze mną.

- Dlaczego miałyby to robić różnicę?

Wzruszyła ramieniem, a ciemny płaszcz zsunął się odrobinę, odsłaniając więcej  
nagiej skóry.

- Twój ojciec jest hrabią. Ty - synem hrabiego. A ja jestem aktorką.

- Nie wstydzę się ciebie, Venetio. A z kim spędzam czas to moja sprawa, a nie mo-  
jego ojca.

- Gniewasz się na niego?

- Czasami okazuje się, że ojcowie nie są tak wspaniali, jak wierzyliśmy, gdy byli-  
śmy dziećmi. My rozczarowujemy ich, a oni nas. Może twój był inny, opisuję tylko moje  
gorzkie doświadczenie.

Odwróciła wzrok z nagłym niepokojem.

- Moja relacja z ojcem była chyba też nie najlepsza. Nie był wielkim człowiekiem,  
choć za takiego się uważał.

- Nie był?

- Nie żyje.

- Przykro mi.

Patrzyła mu w oczy z dziwnym wyrazem twarzy.

- A twoja matka? - zapytał.

- Zmarła, kiedy miałam dziesięć lat.

- Smuci mnie twoja strata, szczególnie w tak młodym wieku

- To było już dawno temu. Bardzo szybko nauczyłam się stać na własnych nogach.

- Pastor ze szlacheckiego rodu i dama, która wyszła za niego pomimo znacznie  
wyższego urodzenia.

- Dowiadywałeś się o mnie? - zapytała żartobliwie, rozjaśniając nastrój.

- Na to wygląda - odparł szczerze. Nie widział sensu zaprzeczać. - Czy to prawda?

Roześmiała się z cieniem goryczy w głosie.

- Ani trochę. Fantazjowanie jest dużo ciekawsze od prawdy, zgodzisz się?

- To zależy - odparł - co się za nią kryje. Spuściła oczy, kryjąc je pod długimi rzęsami.

- Venetio. - Jej imię zabrzmiało w jego ustach miękko jak jedwab. Przypomniała sobie ich dotyk na swoich wargach.

- Linwood...

- Nie. - Przesunął pieszczotliwie kciukiem po jej policzku. - Na imię mam Francis. Patrzyła mu w oczy, a w jej brzuchu szalały motyle.

- Imiona są dla rodziny, przyjaciół i kochanków.

- A czym my jesteśmy? - zapytał wprost.

Zwlekała z odpowiedzią. W jego oczach widziała nie tylko siłę i śmiałość. Miała wrażenie, że dostrzega kryjącego się za nimi człowieka.

- Nie wiem. - W jej tętnicach pulsowała krew, serce dudniło. Jego dotyk obudził jej ciało do życia. - Jesteś inny, niż się spodziewałam.

- A czego się spodziewałaś? - zapytał cicho. Ujęła jego szorstką twarz w dłonie.

- Nie tego - szepnęła i złożyła na jego ustach czuły, pełen oddania pocałunek.

Całowała delikatnie, ostrożnie. Bała się, że pocałunek nie będzie tak cudowny, jak ich pierwszy, a bardziej jeszcze, że to wspomnienie okaże się prawdziwe. Pieścili się wargami, drażnili, smakowali i wyczuwali, cały czas patrząc sobie w oczy. Wtedy on przycisnął usta do jej ust, a ona zrozumiała, że pamięć nie płatała jej figłów. Zamknęła oczy i poddała się mu, całkowicie zatracając.

Jego zapach, dotyk i smak odarły ją z wszelkich pozorów. Całował ją, a ona odpowiadała całą sobą. Powołał w niej do życia coś prawdziwego, co tylko on mógł rozbudzić. Był w jej sercu i umyśle. Upajała się nim w zachwyceniu, otwierając się, pozwalając, by runęły wszelkie mury. Nigdy nie przeżyła niczego podobnego. Zapomniała siebie, zapomniała, kim jest i kim jest on. Byli tylko w tej chwili, tylko oni, tylko usta, chłone dotyk i pożądające, płonące pasją, porwane i zniewolone żądzą.

Całowała go agresywniej, szybciej, w napadzie pośpiechu, który przenikał ją całą. Wziął ją w ramiona, a jej ciało odpowiedziało na wezwanie. Przywarła do niego z pragnieniem przemożnym i bolesnym. Cały świat obracał się wokół nich, jej ciało dygotało pod władczym dotykiem cudownych pieszczot jego dłoni na plecach, piersiach, talii,

biodrach. Oddychała ciężko, wiała się pijana pożądaniem. Ostatnia nitka świadomości napięła się na skraj pęknięcia. Resztką sił Venetia położyła dłonie na jego piersi i odsunęła od siebie, przerywając pocałunek.

Jego czarne oczy rozbłysły groźnie. Patrzyli na siebie, oddychając ciężko i szybko, z każdym wdechem jej piersi muskały jego tors.

- Widzisz? - szepnęła.

Trzymała się go, wiedząc, że inaczej wpadłaby znowu w dzielącą ich przepaść.

- Widzę - odparł prawie bez tchu, głaszcząc ją po włosach.

Nie grała. Nie knuła intryg. To, co teraz czuła, było bardziej prawdziwe od całej reszty jej życia. I znacznie potężniejsze. Walczyła, by zachować resztki panowania nad sobą, zmuszała się do myślenia o Robercie i Rotherhamie, o tym, że Linwood go zastrzelił. Odsunęła się od niego, bo dotyk nie pozwalał jej chłodno myśleć. Z trudem oddychała i drżała, wstrząśnięta mocą swojego pożądania. A pociągało ją w nim wszystko. Im więcej wiedziała, tym bardziej pragnęła, choć chciałaby, żeby było odwrotnie. Ostatkiem woli zmusiła się do przywdziania maski panny Fox, żeby powstrzymać zdarzenia; żeby sytuacja nie zabrnęła zbyt daleko. Całe lata aktorskiego doświadczenia skumulowała w stworzeniu pozorów spokoju i opanowania, od których była jak najdalsza.

- Chyba dość już obserwacji gwiazd jak na jeden wieczór, lordzie Linwood - rzuciła tonem przypominającym nieco dawną pannę Fox i podniosła się z łóżka. Nie udało się jej jednak całkiem zamaskować krótkiego oddechu. Serce tłukło się w jej piersi, tłocząc krew jak oszalale. Każdy fragment jej ciała cierpiał z tęsknoty za jego bliskością.

Linwood zaś patrzył na nią swymi mrocznymi oczami, jakby nic z tego nie uszło jego uwadze.

Następnego wieczoru Linwood rozglądał się po sali balowej, gdzie arystokraci bawili się pospółu z przedstawicielami półświatka, lecz nie widział ani jednych, ani drugich. Myślał o Venetii i o tym, co zaszło w szklarni. Wiedział, że ukazała mu się taka, jaką była naprawdę. Choć była utalentowaną aktorką, znał ją już na tyle, żeby wiedzieć, kiedy udawała. Nie miał wrażenia, by ostatni wieczór był pokazem jej sztuki. Pokazała mu raczej swoją wrażliwość i szczerą, okazała zaufanie, dając mu zajrzeć pod maskę. Zdawała się prawdziwie wstrząśnięta i zmieszana potęgą ich wzajemnego przyciągania,



jakby nie było tego w planie - o ile rzeczywiście miała z Clandonem jakiś plan. Kiedy wypowiadała te słowa, jej spojrzenie nie kłamało.

„Jesteś inny, niż się spodziewałam”.

Myślał o ich znaczeniu całą noc. Ona też nie była taka, jakiej się spodziewał. Wszystko było nieprzewidziane. Zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby otwarcie zapytał ją o Clandona. Nie mógł sobie jednak pozwolić na ostrzeżenie syna Rotherhama i przyznanie, że o nich wie. Zbyt wiele od tego zależało. Musiał grać w tę grę tak samo jak Venetia, by nie obudzić w nim podejrzeń. By zbliżyć się do kobiety, która go więcej niż tylko fascynowała.

- Bujasz w obłokach, lordzie Linwood. Głos Venetii wyrwał go z zamyślenia.

- Przyłapany na gorącym uczynku - odparł.

- Taki wyrachowany dżentelmen? Nie sądzę. - Uśmiechnęła się z lekka, spoglądając drwiąco. Emocje ostatniego wieczoru już się rozwiały. Ponownie była uwodzicielską panną Fox.

- Mógłbym z tym dyskutować.

- Nie radzę. - Pochyliła się ku niemu, jakby chciała zdradzić sekret, owiewając go egzotycznym i zmysłowym zapachem perfum. Ten sam zapach utrzymywał się jeszcze na marynarce, którą powiesił zeszłego wieczoru w garderobie.

- Lubię wyrachowanie u mężczyzn.

- Naprawdę? - zapytał, patrząc jej spokojnie w oczy. - Zeszłego wieczoru miałem inne wrażenie, Venetio.

Najdelikatniejszy z rumieńców pojawił się na jej policzkach, a jej wzrok stracił na śmiałości, nim zdążyła odwrócić spojrzenie.

Gdy popatrzyła na niego znowu, w oczach dostrzegł żelazną determinację.

- Udajmy się na kolację.

Kolejka do jadalni już się formowała. Venetia patrzyła chłodno i wyzywająco, mimo to z jej ust nie znikł zmysłowy uśmiech.

- Kazałam nakryć dla nas osobny stół w oranżerii.

- Jestem zaszczycony.

- Bardziej, niż ci się wydaje, lordzie Linwood - szepnęła głosem miękkim i delikatnym jak aksamit i przyjęła jego ramię.

Opuścili salę balową i skierowali się w stronę przylegającej do niej oranżerii. Drzwi były otwarte, a czuły fortepianowy utwór nie umilkł jeszcze. Wejść mógł tu każdy, ale krzewy i pnącza - niektóre z jedwabiu - nadawały miejscu intymny charakter odosobnienia, choćby nawet złudny. Wśród roślin, obok małej, pluszczącej skromnie fontanny, ustawiono okrągły stół z kutego żelaza, nakryty dla dwojga. Obok stało srebrne wiadro lodu, w którym chłodził się szampan. Na środku stołu, przy srebrnym koguciku, stała otwarta butelka bordo.

Venetia usiadła, następnie spoczął Linwood. Zjawił się służący i nappełnił kieliszki szampanem. Znikł równie cicho, jak się pojawił.

Nie tknął jednak szampana. Nalał bordo do kieliszków i jeden podał Venetii. Przyjęła go z uśmiechem szczerego rozbawienia.

- Dlaczego zamawiasz szampana, Venetio, skoro go nie pijasz?
- Jesteś bardzo spostrzegawczy. Nikt tego nie zauważa.
- Kolejny element złudzenia?
- Aktorka, która nie pije szampana, to rzecz niesłychana.
- Wyobraź sobie skandal, który byś wywołała, żądając w zamian herbaty.

Roześmiała się, a on uśmiechnął. Pierwsza niezręczność spotkania rozwiązała się, ustępując miejsca odradzającej się bliskości.

- Toast za nowych przyjaciół - zaproponowała, unosząc kieliszek.
- Za nowych przyjaciół - odpowiedział, wznosząc swój.

Kieliszki się zetknęły, a spojrzenia spotkały. Ani na chwilę nie odwracając wzroku, oboje spełnili toast.

Pojawienie się służącego przerwało chwilę intymności. Przez twarz Venetii przemknął cień grozy, gdy usłyszała wyszeptaną wiadomość. Zniknął jednak, a ona wróciła do siebie, jakby nic się nie stało. Służący znikł.

Venetia wstała.

Linwood się podniósł.

- Niestety muszę cię opuścić, panie. Ten wieczór jestem zmuszona spędzić gdzie indziej.

- Złe wieści?

- Tak. - Nie rozwinęła tematu i podała mu dłoń do pocałowania. Wziął ją za rękę, ale nie ucałował.

- Pozwól mi iść ze sobą. - Nie dał się zwieść jej opanowaniu. Widział przerażenie na jej twarzy i powodowała nim szczerą troska. Nie umiał się domyślić, co było jego przyczyną. Zastanawiał się, czy Clandon jej nie szantażuje.

Uśmiechnęła się, ale pokręciła głową i odwróciła się, by odejść.

- Dziękuję za propozycję, ale muszę odmówić.

Nic nie dodał. Czekał. Zrobiła trzy kroki, trzy razy zakołysała biodrami i zatrzymała się, zawahała, jakby się biła z myślami. Zwróciła się ponownie do niego.

- To sprawa wymagająca dyskrecji. Sekret.

- Umiem dochować tajemnicy.

- Umiesz - przyznała.

Zapadło milczenie, lecz Venetia nie odeszła. W końcu się poddała.

- Będę wdzięczna za twoje towarzystwo, Linwood. Poczul satysfakcję i ulgę na jej decyzję.

Ich wspólne wyjście tak wczesnym wieczorem nie uszło uwadze pozostałych gości. Słyszeli poszeptywania i widzieli ukradkowe spojrzenia, ale Venetia nie zwracała na nie uwagi. Nie spieszyła się też, lecz Linwood wyczuwał wyraźnie jej skupienie i celowość każdego kroku. Z podziwem przyglądał się, jak się rozprawiła z tymi, którzy próbowali opóźnić jej wyjście. Chwilę później byli w holu, służący podali płaszczy, Linwood pomógł jej go założyć i zaraz byli w powozie.

Stangret najwyraźniej wiedział już, dokąd jechać. Drzwi zamknęły się za nimi i powóz ruszył spiesznie w przeciwnym, niż do domu Venetii, kierunku.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- To, co dziś zobaczysz, Linwood... gdzie zmierzamy... Te moje powiązania nie są zbyt znane i wolałabym, żeby tak zostało. - Zajrzała mu w oczy.

- Ode mnie nikt się nie dowie.

- Dziękuję. - Spojrzała na mijane w pędzie, pogrążone w ciemności budynki. W zaniepokojeniu marszczyła lekko brwi.

Więcej w drodze nie przemówiła, a i on się nie odezwał. W świetle latarni poznał kierunek jazdy. Zostawili za sobą bogatą i elegancką górną część Grosvenor Street, przemierzyli serce miasta i minęli dzielnicę bankową, aż ulice stały się wąskie i dziurawe, a domy przerodziły się w tłoczne slumsy Whitechapel. Nic dziwnego, że słynna panna Fox prosiła o dyskrecję. Podobna okolica nie pasowała do splendoru jej postaci. Linwood próbował się domyślić, dokąd zmierzają i w co, u licha, Venetia się wplątała. Już drugi raz tego wieczoru pomyślał o Clandonie.

Powóz zwolnił nagle i zatrzymał się przed budynkiem równie posępnym jak pozostałe.

- Dojechaliśmy - powiedziała Venetia i nakryła głowę głębokim czarnym kapturem.

Linwood czuł zaduch biedy, nim jeszcze służący otworzył drzwiczki.

Venetia zastanawiała się nad ryzykiem przyprowadzania tu Linwooda, choć mogło jej to wyjść na dobre. Zawierzenie mu tajemnicy pomoże zyskać jego zaufanie, przekonywała się. Usprawiedliwiała jego obecność powodzeniem intrygi, ale cieszyła się, że nie będzie musiała sama stawić czoła sytuacji. Jeśli zaś ją zdradzi i wyjawি, gdzie go zaprowadziła, niewiele na tym zyska. Nie da się niczego udowodnić przez sam związek. Jej tajemnice pozostaną bezpieczne.

Nie patrzyła na niego przez ramię, tylko szła dalej. Wiedziała, że Linwood podąży za nią.

Parterowe okna na ulicę były wybite. Odłamki szkła lśniły na chodniku jak lukier. Venetia usłyszała chrzęst pod nogami, nim wziął ją za ramię i wyprowadził spośród odprysków.

- Podziurawisz sobie pantofelki - mruknął pod nosem.

Nie było potrzeby dobijać się do drzwi, bo były wysadzone z futryny - widniały w niej świeże, blade blizny wyrw. Mimo to Venetia zakołatała lekko dwa razy, nim otworzyła je szerzej.

- Och, panno Fox! - Na bladej twarzy Lily malowało się wielkie zmartwienie. - Dzięki Bogu, pani jest! Sadie mówiła, żeby pani do rana nie przeszkadzać, ale drzwi są wyrwane i okna też, a ja nie wiedziałam, co robić.

- Dobrze, że po mnie posłałaś - uspokoiła ją Venetia. Przeszli z przedpokoju do małego salonu. Trudno było

Venetii rozpoznać pomieszczenie. Meble leżały porozrzucane, zasłony zerwano z karniszy, zrzucone ze ścian obrazki i ozdoby leżały strzaskane na podłodze.

- Co się stało?

Lily pokręciła głową.

- Tak było, kiedy wróciłam. Kimkolwiek byli, znaleźli pieniądze. Wszystkie zabrali.

Venetia zerknęła na otaczające ich spustoszenie. Drzwi skrzypiały w zawiasach, chybocząc w przeciagu. W środku panował okropny ziąb, w kominku tańczył tylko zimny popiół.

- Czy którejś stała się krzywda?

- Sadie się dostało. Tylko ona tu była. Pozostałe dziewczęta wyszły. Jeszcze ich nie ma.

- A gdzie jest Sadie?

- U siebie na górze. - Lily zacisnęła usta.

- Bardzo z nią źle? - Venetia poczuła lodowaty dotyk strachu.

Lily popatrzyła na Linwooda, jakby dopiero teraz go zauważyła, i zwróciła pytające spojrzenie na Venetię.

- Można mu zaufać - wyjaśniła, patrząc na niego. Wbrew temu, co o nim wiedziała, jej serce nie zadało kłamu słowom.

Lily nie była przekonana, ale skinęła głową.

- Te zwierzęta wzięły towar siłą i bez opłaty, jeśli chwyacie, w czym rzecz. Cała czwórka.

Venetia zbladła.

- Wezwałeś doktora? Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie chciała żadnego widzieć.

Venetia starała się przegnać z twarzy wyraz trwogi i zwalczyć nudności. Nagle u jej boku stanął Linwood. Położył jej na ramieniu dłoń, dodając otuchy.

- Idź do niej - powiedział. - Zajmę się wszystkim tu na dole.

Nie ruszyła z miejsca, niechętna zostawić go samego i obawiając się tego, co zobaczy.

- Ona cię potrzebuje, Venetio.

Skinęła głową, przyznając rację. Spojrzała ostatni raz na Lily i poszła na górę.

Fizyczne obrażenia Sadie nie były groźne, ale Venetia wiedziała, że mimo jej zapewnień wcale dobrze się nie czuła. Wiedziała, że rany na jej duszy nigdy już się całkiem nie zabliznią. Bały się tego wszystkie dziewczęta, które decydowały się sprzedawać swoje ciało, był to ziszczony koszmar. Lecz pomimo tego potwornego doświadczenia Sadie prędzej czy później wróciłyby do prostytucji, Venetia nie miała wątpliwości. Dlatego potrzebny był ten dom. Chociaż tyle mogła zrobić. Została ze skrzywdzoną tak długo, aż dało się słyszeć pukanie i w drzwiach pojawiła się Lily z lekarzem.

- To twój szlachetny przyjaciel nalegał. Z jego własnej kiesy.

Taki był początek bardzo długiej nocy. Wspominając ją, Venetia nabrała przekonania, że bez Linwooda mogłaby sobie nie poradzić. Pracowali ramię w ramię z kobietami w sukienkach tak kusych, że odsłaniały czerwone flanelowe halki. Naprawiali, co się dało, i usuwali ślady zniszczeń. W pewnej chwili Linwood zniknął i wrócił z ekipą stolarzy, którą Bóg wie skąd wytrzasnął o tej porze. Ciemną nocą zabili okna deskami i naprawili frontowe drzwi.

Świt skradał się już po niebie, rozjaśniając atramentowe niebo, gdy Venetia i Linwood opuścili wreszcie dom w robotniczej dzielnicy. Wśród pustych i cichych ulic turkot przejeżdżającego powozu przetaczał się jak grom.

Venetia patrzyła na mężczyznę siedzącego naprzeciwko. Kamizelkę i koszulę miał powalane, pod pachą wykwintnej, ciemnozielonej marynarki rozdarcie od dźwigania mebli, a buty podrapane i ubłocone.

Jej jedwabna spódnica też nie była już jasnego ani jednolitego koloru, miejscami obszarpana od klękania na deskach podłogi. Włosy, wyzwolone z połowy trzymających fryzurę szpilek, były w wielkim nieładzie. Poprawiła je naprędce. Czuła się zmęczona, nieświeża, zła i przygnębiona wydarzeniami w przytułku w Whitechapel.

- Od dawna je wspierasz? - zapytał cicho, nie próbując jej osądzać.

- Kilka lat - odpowiedziała z nadzieją, że na tym skończą się jego pytania. Była tak zmęczona, że mogłaby niedostatecznie zważać na słowa. - To dobroczynne przedsięwzięcie ma na celu pomoc kobietom i dzieciom, które chciałyby przetrwać bez uciekania się do dawnej profesji. W tym domu mogą mieszkać tak długo, jak tylko zechcą.

- Szlachetnie.

- Cieszę się, że to pochwalasz. Wielu ma odmienne zdanie.

- Jak bardzo... skrzywdzono tę kobietę? - W jego głosie usłyszała szczerą troskę.

- Fizycznie nieszczególnie. Ale kto wie, jakie blizny taka męka zostawia w sercu?

Przetrwa. Kobiety muszą być silne.

- Może nie zawsze są tak silne, jak sprawiają wrażenie.

Venetia rozumiała, że Linwood już nie mówi o Sadie i kobietach z Whitechapel.

- Dlatego potrzebują zasłon i luster - przyznała, uśmiechając się ze smutkiem. - Dziękuję, że byłeś tam ze mną. I za to, że zostałeś. I za wszystko, co zrobiłeś.

- Nie powinnaś, Venetio. Cieszę się, że mi na to pozwoliłaś.

Odwróciła wzrok na chwilę, a kiedy zwróciła się do niego ponownie, przemówiła z głębi serca.

- Nie jesteś taki, za jakiego ma cię Londyn.

- Ani ty.

- Może więc naprawdę jesteśmy do siebie podobni - powtórzyła cicho słowa, które usłyszała od niego w świetle księżyca na balkonie.

Podał jej rękę, a ona ją przyjęła. Objęła jego palce swoimi i przesiadła się obok niego, nie wypuszczając dłoni z uścisku. Dawał jej ukojenie po całym cierpieniu, jakie



widziała i czuła tej nocy, oraz wśród nieprzyjemnych wspomnień, które takie miejsca zawsze w niej budziły.

- Boję się o te kobiety. - Patrzyła w dal, nie widząc powozu, tylko znajomą scenę sprzed wielu lat. - Napastnicy są pewnie związani z miejscowym domem uciech, gdzie dawniej pracowały.

- Jest duża szansa, że dżentelmeni z Bow Street znajdą łajdaków.

Venetia pokręciła głową, słysząc jego naiwne słowa.

- Śledczy nic nie robią. Nie pierwszy raz mamy kłopoty, chociaż ostatnim razem nie było aż tak źle. Te kobiety są prostytutkami, prawo o nie wcale nie dba - rzekła z nieskrywaną goryczą. Była zbyt zmęczona, żeby udawać. - Wybacz, nie chciałam cię pouczać.

Oparła o niego ramię.

- Nie mam siły na grzeczności - dodała. Otoczył ją troskliwie ramieniem.

- Gwałt to ohydna zbrodnia. Ci łajdacy zostaną znaleźni i ukarani. Przy tej sprawie Bow Street na pewno wykaże się większą skrupulatnością.

Ze znużenia Venetia przeoczyła prawdziwe znaczenie jego słów. Głowa jej ciążyła, a jego ramię było silne, ciepłe i zapewniało bezpieczeństwo. Odprężyła się uradowana opiekuńczością, perspektywą sprawiedliwości dla biednej, zgwałconej kobiety oraz wyrozumiałością dla niej samej.

- Boję się, że jesteś w błędzie, ale z całego serca liczę, że masz rację.

- Sprawiedliwości stanie się zadość, Venetio.

- Doprawdy?

Jego głos był czuły, ale i pełen goryczy. Sprawiedliwość dla Sadie. Dla Rotherhama. Venetia wolała nie myśleć o tej drugiej ewentualności. Nie w tej chwili. Splotła z Linwoodem palce i położyła głowę na jego ramieniu. Powóz toczył się sennym jeszcze miastem, a ona oddaliła od siebie wszelkie rozterki. Pragnęła tylko być razem z nim.

Venetia położyła się zaraz po przybyciu do domu, ale nie cieszyła się spokojnym snem. Śnił jej się Linwood.

Stała w swojej sypialni. Był dzień, z okien lał się zimny blask, lecz ona była ubrana w czarną jedwabną suknię wieczorową, którą chowała na szczególną okazję - tę, która

wywołałaby szok i skandal, przysparzając jej i teatrowi jeszcze liczniejszych wielbicieli. Włosy miała upięte wysoko, kilka falujących kosmyków opadało na szyję i wokół twarzy.

Patrzyła na mężczyznę siedzącego na brzegu łóżka. Również był ubrany w czerń, jakby dla podkreślenia jej kreacji. Milczał, a jego hebanowe oczy błyszczały uczuciem i tajemnicą.

- Chcesz mnie? - zapytała cicho, zmysłowo. Nie wiedziała, dlaczego tak bardzo pragnie znać odpowiedź, ale była dla niej niezwykle ważna.

Linwood nie odpowiedział. Nie musiał. Odpowiedź znalazła w jego spojrzeniu, w sztywnej postawie, w szepcie eteru. Odpowiedziało jej wręcz namacalne między nimi napięcie.

Opuściła wzrok na pistolet, który trzymała w ręce, staroświecką pojedynkową broń. Taki sam miał jej ojciec. Był za duży i za ciężki, ale uniosła go i wycelowała w serce Linwooda. Ręce jej nie drżały. Raz jeszcze popatrzyła na niego.

Nie podniósł wzroku, nawet kiedy odwiodła zamek i przesunęła palec na spust.

- Linwood - powiedziała głośno i wyraźnie i ruszyła w jego stronę. - Linwood - powtórzyła ciszej, niemal pieszczotliwie.

Podeszła do niego tak blisko, jak mogła, aż wylot lufy spoczął między klapami jego marynarki, wbijając się w płótno koszuli. Miała wrażenie, że wyczuwa bicie serca w rękojeści pistoletu.

- Venetio - szepnął tylko, pochylił się i pocałował ją gorąco. Ten pocałunek wszystko zmienił. Linwood zmienił wszystko. Broń zniknęła, Venetia poddała mu się, poddała pragnieniu, które narastało od pierwszej chwili, gdy go zobaczyła. Położył dłonie na jej piersiach, na biodrach, zburzył wszystkie bariery. Dotykał jej tak, jak nikt wcześniej. Pieścił ją i całował, aż całkiem zniewolił, aż leżeli nadzy na łóżku, splatając swoje ręce i nogi, aż żar między jej udami zamienił się w pulsujący ogień pożądania. Rozpostarła nogi, otwierając się dla niego.

- Tak - szeptała. - Tak! - po tylu latach odmawiania. Czarne, głębokie i płonące źrenice Linwooda wpatrywały się w jej oczy, gdy układał się między jej udami. Czując

szczyt jego podniecenia, zapragnęła jeszcze więcej. Krótkie oczekiwanie przemieniało się w wieczność utęsknienia.

- Francisie - szepnęła jego imię, przyznając w końcu, kim dla siebie są. - Francisie!  
- zawołała, błagając, by wziął ją w posiadanie.

Obudziła się nagle z bijącym sercem. Krew gwałtownym strumieniem niosła żar po jej ciele, Venetia oddychała szybko i nierówno, głośno w głuchej ciszy alkierza. Sen jeszcze jej nie opuścił, był tak przekonujący i rzeczywisty, że rozejrzała się w poszukiwaniu wymarzonego mężczyzny. Srebrny księżyc ukazał jej tylko pustą sypialnię i wygasły kominek.

Oddechem tworzyła ulotne obłoki w zimnym nocnym powietrzu, ale choć dygotała pod ciężką kołdrą, nie drżała z zimna. Była rozpalona żądzą. Podniosła się, a koszula nocna otarła się o wyprężone sutki. Między udami płonęło pragnienie zniewalające swoją mocą. Tęsknota za dotykiem mężczyzny o przystojnej, poważnej twarzy i niebezpiecznych, czarnych oczach, których spojrzenie potrafiło wtargnąć wprost do jej duszy.

Wsunęła drżącą dłoń między nogi, gdzie on by jej dotknął, w miejsce wilgotne od oczekiwania.

- Francisie - szepnęła, kładąc tam palec, a jej ciało odpowiedziało natychmiast. Zaczepnęła głośno powietrza, wyginając się w słonecznej eksplozji wrażeń, niesiona daleko od mroku i osamotnienia sypialni, szybując w niebotyczne, nieznanne jej przestrzenie.

Kiedy wróciła do siebie, serce tłukło się jej w piersi, ale zamglony żądzą wzrok odzyskał dawną jasność, a ona - chłodną świadomość. Przewróciła się na bok i otoczyła ramionami. Czuła się zawstydzona i bardziej samotna niż kiedykolwiek. Granice między pozorami a rzeczywistością były rozmyte. Nie potrafiła określić, co było w relacji z Linwoodem pozą, a co prawdą. Poznawała mężczyznę, jakiego nie spodziewała się spotkać. Wkrótce mogła dać mu w posiadanie to, co latami chroniła: ciało, dumę, może nawet coś więcej - coś niebezpiecznie bliskiego uczuciom. Venetia Fox nie mogła sobie na to pozwolić.

Dzień od samego początku źle się zapowiadał. Obudziła się za późno, z bolącą głową, zmęczona po bezsennych nocnych godzinach. Zahaczyła i rozdarła spódnicę wybranej sukienki, piec szwankował i kucharz nie mógł zagotować nawet wody, wreszcie

zapodziała gdzieś swoje kwestie z didaskaliami. Jakby tego było mało, okulał jeden z koni i trzeba było wezwać chirurga i w pośpiechu szukać dorożki, która by ją zawiozła do teatru.

Przyjechała późno. Pan Kemble był w podłym nastroju, a cała obsada czekała na nią. Nie pamiętała wielu kwestii i sprawy toczyły się coraz gorzej, gdy nagle zobaczyła pana Kemble'a rozmawiającego na widowni z niskim, żylastym mężczyzną. Jego zachowanie zdradziło pełnioną przez niego funkcję, nim dostrzegła odznakę piastowanego urzędu - ciemną, drewnianą pałkę, którą akurat chował w zanadrze. Był to śledczy z Bow Street. Niepokój zakradł się do jej serca jak mroźny podmuch z cmentarza.

- Pan z biura na Bow Street chciałby się z panią zobaczyć, kiedy będzie pani miała wolną chwilę, panno Fox - szepnął do niej inspicjent. Pomimo jego dyskrecji Venetia wiedziała, że wizyta rozbudzi ciekawość reszty zespołu.

- Niech przyjdzie do mojej garderoby.

Mogła myśleć tylko o aresztowaniu Linwooda i oskarżeniu o morderstwo. Ścisk w gardle podniósł tembr jej głosu. Zdenerwowanie wywołało mdłości. Venetia nie pozwoliła sobie na patrzenie w jego stronę, skupiła się na roli. Kwestie wypowiadała głośno, aż przebrnęła przez scenę. Trwało to nadspodziewanie długo, a jednak zbyt szybko się skończyło. Weszła w wąski korytarz i skierowała się do garderoby. Obok drzwi spotkała zapowiedzianego gościa.

- Collins z biura na Bow Street - przedstawił się i okazał insygnium wyryte na pałce. - Możemy zamienić słowo, panno Fox?

- Oczywiście. - Weszła przodem i zaczęła, aż funkcjonariusz zamknie drzwi.

- Jak mogę panu pomóc? - Venetia nie usiadła, tylko oparła się o toaletkę, kładąc dłonie na jej krawędzi.

- Och, nie, panno Fox. - Żylasty mężczyzna potrząsnął głową zawstydzony. - Źle mnie pani zrozumiała. Przyszedłem, żeby pani przekazać dobrą wiadomość. Zakończyliśmy jedno z ważniejszych dochodzeń. To, na którym tak pani zależało. Oczywiście, biuro zdaje sobie sprawę z obowiązku całkowitej dyskrecji w kwestii pani związku z tą sprawą.

Patrzył na nią z niekrytym podziwem. Venetia uśmiechnęła się mimo przerażenia, które wykręcało jej wnętrzności. Kurczowo ścisnęła krawędź toaletki. Czekwała, aż usłyszy oczekiwane, straszne słowa.

- Złapaliśmy ich - dokończył.

Krew huczała jej w uszach tak głośno, że ledwie dosłyszała ostatnie słowo.

- Wszyscy czterej siedzą grzecznie w celach na Bow Street.

- Wszyscy czterej - powtórzyła bezmyślnie i nagle zrozumiała, że funkcjonariusz nie mówi bynajmniej o Linwoodzie.

- Nie będą się więcej naprzykrzać paniom z Whitechapel. Pani dobroczynna praca jest niezagrożona, panno Fox.

Ulga przyprawiła niemal Venetię o zawrót głowy. Usiadła w fotelu, by nie poddać się wirowi myśli.

- Jak udało się wam tak szybko ich schwytać?

- To było najdziwniejsze. Przez piętnaście lat służby niczego podobnego nie widziałem. Wszyscy czterej w nagłym ataku wyrzutów sumienia zgłosili się sami. Złożyli pełne zeznania i przyznali się do winy. Nie ma potrzeby, żeby nieszczęśliwa ofiara... - Zerknął do notesu. - ...Panna Sadie Smith przychodziła do sądu.

- To rzeczywiście dobre wieści, panie Collins.

- Nie będzie konieczności przywoływania pani związku z tym przytułkiem.

- Tym lepiej. - Uśmiechnęła się. - Dziękuję, że przyszedł pan mi o tym powiedzieć.

Funkcjonariusz z Bow Street skłonił się z uśmiechem i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Venetia nie podniosła się z fotela. W takt cichnących kroków ciężko obutych stóp na korytarzu odezwały się w jej głowie słowa Linwooda. „Ci łajdacy zostaną znaleźni i ukarani. Przy tej sprawie Bow Street na pewno wykaże się większą skrupulatnością”. Zadumała się nad jego wpływami i tym, jak udało mu się odnaleźć winowajców. Był to niewątpliwy pokaz jego możliwości - i zmroziło ją jak wtedy, gdy sądziła, że to on został schwytyany.

Patrzyła w zwierciadło i drżała. Toczyła grę dużo bardziej niebezpieczną, niż zdawało się z początku. Czuła, że potrzebuje czasu, by ustalić taktykę i odnaleźć utraconą

koncentrację. Był mordercą, zabójcą Rotherhama, a ona miała zadanie oddać go w ręce sprawiedliwości.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Po wizycie Collinsa Venetia unikała Linwooda przez trzy dni. Umocniła się w postanowieniu i oczyściła głowę z emocjonalnego zamętu, który wywołały jego rewelacje. Tego dnia odwiedzała sklepy, gdy niespodziewanie ujrzała dwie kobiety, idące w jej stronę. Od razu je rozpoznała. Damą w purpurze była lady Misbourne, matka Linwooda. Towarzyszyła jej młoda jasnowłosa kobieta, która musiała być jego siostrą, od niedawna, po skandalicznie pośpiesznym ślubie, zwana panią Knight.

Przyglądała się im przez chwilę. Wyraźnie widziała rodzinne podobieństwo, mimo dzielących je różnic. Starsza dama była bardziej postawna. Nosiła się z wyższością, a jej kiedyś bez wątpienia urodziwa twarz zdradzała zmęczenie chorobami. Niższą lady Marianne dżentelmeni określiliby mianem drobnego brylantu bez skazy. Kobiety rozprawiły żywo, lady Misbourne uśmiechała się z pobłażaniem na słowa córki.

Venetia nie przeoczyła chwili, gdy została dostrzeżona. Twarz lady Misbourne zastęła w przerażeniu, po chwili zaś zaczęła upominać córkę:

- Odwróć wzrok, Marianne. Natychmiast. Nie widzimy jej.

Venetia zrozumiała, że nie tylko wiedzą, kim jest, ale znają też jej relacje z Linwoodem.

Wbrew poleceniu matki lady Marianne nie unikała jej wzrokiem. Była bardzo ładną kobietą o włosach tak jasnych, jak ciemna była czupryna brata. W jej spojrzeniu nie było śladu potępienia, jedynie ostrożna ocena i ciekawość.

- Marianne! - warknęła matka, a na jej twarzy malowało się oburzenie.

Lady Marianne pozostała niespeszona. Popatrzyła Venetii prosto w oczy i ruszyła dalej tym samym niespiesznym krokiem, nie zwracając uwagi na wyraźną konsternację matki.

Tego wieczoru Venetia znowu spotkała lady Marianne na balu, na który udała się z Linwoodem. Dni odosobnienia umocniły jej pewność siebie. Znowu była opanowana i



spokojna. Wbrew wszystkiemu, co zaszło między nimi w szklarni i w drodze powrotnej z Whitechapel - a może wręcz z tego powodu - miała na sobie czarną, jedwabną, wspaniale dopasowaną suknię o skandalicznie uwodzicielskim kroju. Wszystkie damy krzywiły się na jej widok, wszyscy dżentelmeni pożerali ją wzrokiem, gdy damy patrzyły w inną stronę. W oczach Linwooda zaś czaiła się mroczna zaborczość. Venetia korzystała ze swojej najpotężniejszej broni. Czerpała z niej siłę, dzięki niej łatwiej się opierała i nie zapomniała, o co toczy się gra. Uśmiechnęła się i skierowała uwagę na siostrę Linwooda.

U boku lady Marianne stał bardzo wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, w którym po subtelnym języku ciała rozpoznała jej męża. Siostra Linwooda nie wzgardziła nią na ulicy i nie gardziła teraz, choć lekceważenie okazywała jej tu każda szanująca się dama. Popatrzyły sobie z daleka przelotnie w oczy. Linwood też zauważył siostrę i jej męża. Przeniósł spojrzenie na Venetię.

Choć był jeszcze bardziej skryty niż zazwyczaj, Venetia domyśliła się, że nie spodziewał się tu spotkać lady Marianne. Nie okazał śladu zażenowania, mimo że sytuacja musiała być dla niego trudna. Spotkanie siostry i kochanki, pomyślała i dreszcz przebiegł jej po plecach na to określenie. Wrażenie rozmyślnie zignorowała. Nie było to słowo pasujące do ich relacji, ale taką właśnie łatkę przypinało im towarzystwo.

- Nie wiedziałeś, że będzie tu twoja siostra - zauważyła Venetia.

- Nie.

- To pewnie trochę niezręczna sytuacja dla ciebie... i dla niej - dodała cicho.

Linwood nie odpowiedział, ale zdradził się, zaciskając zęby. Venetia przekonywała się, że powinna się cieszyć i upajać tym zbiegiem okoliczności, wykorzystać go do swoich celów. Gdy jednak popatrzyła Linwoodowi w oczy, poczuła jego niepokój i zakłopotanie jak własne.

Radosny głos Razeby'ego przerwał chwilę konsternacji.

- Linwood... Boska panno Fox.

- Razeby - przywitał się Linwood i skinął głową.

- Proszę o wybaczenie, panowie. - Venetia odwróciła wzrok od swojego towarzysza, korzystając z nadarzającej się okazji. - Muszę przypudrować nos.



Weszła w tłum, uśmiechając się z rozbawieniem na potępienie w oczach matron i tęskne, lubieżne spojrzenia ich mężów. Linwood dostanie na pewno grubą krechę za przyprowadzenie jej tutaj, Venetia była tego pewna. Nie chciała jednak zbyt długo deliberować nad podjętym przez niego ryzykiem. Mimo tłoku otwierała się przed nią alejka, kiedy damy, a nawet niektórzy dżentelmeni odwracali się do niej plecami. W niczym jej to nie przeszkadzało. Była przyzwyczajona do podobnego traktowania, w końcu weszła jak intruz na ich terytorium. Podobnie oni nie byliby mile widziani w półświatku.

Kiedy weszła do toalety, dwie damy zadzierając nosy, wyprowadziły w pośpiechu swoje młode latorośle. Dziewczęta rzucały ukradkowe spojrzenia na kobietę wywołującą tak niezwykle oburzenie. Damy zamknęły drzwi z głośnym trzaskiem, na wypadek gdyby nie zauważyła ich dezaprobaty.

Nie musiała korzystać z ukrytych za parawanami nocników. Stała przed dużym, stojącym zwierciadłem i przypominała sobie wszystko, o czym myślała przez ostatnie trzy dni. Istniał między nią a Linwoodem wzajemny pociąg, nie mogła udawać, że tego nie dostrzega. Ale uznała, że ma do czynienia z żądzą, a choćby nawet żądza była najsilniejsza w świecie, można z nią było wygrać. Nie należała do słabych, omdlewających niewiast, które dają sobą manipulować każdemu mężczyźnie. Nie zamierzała się poddać nawet Linwoodowi. To on zabił Rotherhama, a ona była tu tylko po to, by wydusić z niego wyznanie. Miała zadawać pytania, rozwiązać mu język i schwytać mordercę.

Poprawiła fryzurę i nałożyła róż na usta.

Ktoś wszedł do środka. Venetia nawet się nie obejrzała, spodziewając się zdegradowanego sapnięcia i trzaśnięcia drzwiami. Usłyszała jednak tylko cichy szcęk zamka i szelest jedwabiu.

Zerknęła w zwierciadło za siebie i ujrzała siostrę Linwooda.

Lady Marianne nie wyglądała na zaskoczoną. Przez chwilę spoglądały na siebie, po czym młoda kobieta podeszła do lustra, dzieląc je z Venetią. Odbicie lady Marianne wyglądało blad różowy jedwab spódnicy. Venetia skończyła nakładać róż na usta.

- A więc pani jest tą słynną panną Fox.

- A pani jest lady Marianne. - Venetia zaproponowała jej pudełeczko różu, unosząc brew.

- Dziękuję, nie - odmówiła z gracją lady Marianne.

- Siostrą lorda Linwood - dodała.

- Mam ten zaszczyt.

- Pani brat raczej nie pochwaliliby naszej rozmowy.

- Raczej nie. - Uśmiechnęła się Marianne. Przyglądały się sobie przez chwilę. Lady Marianne miała

oczy brata i tak jak u niego była w nich głębia.

- Ale uszczęśliwiasz go w chwili, kiedy ma tak wiele trosk. Więc nie będę ci stała na drodze, jeśli nie przysporzysz mu cierpienia, panno Fox.

Ma tak wiele trosk, powtórzyła w duchu Venetia. Postanowiła jednak o tym nie myśleć. Uznała, że jest naiwna.

- Jestem przekonana, że twój brat potrafi doskonale o siebie zadbać - odparła.

Lady Marianne pokręciła nieznacznie głową.

- Lepiej mu wychodzi dbanie o innych. Ale to już chyba wiesz. - Zamilkła na chwilę. - Skoro jesteś w nim zakochana.

- Lady Marianne... - Venetia w ostatniej chwili ugryzła się w język.

- Widzę, jak na niego patrzysz.

- Naprawdę? - Spokój lady Marianne działał Venetii na nerwy. Ta dziewczyna nie mogła mieć bladego pojęcia o tym, jak wyglądają stosunki między mężczyznami jak Linwood i takimi kobietami jak ona. Nawet jeśli szlachetna socjeta udawała, że wierzy w złudzenia.

- Tak... - rzekła Marianne i po krótkim milczeniu dodała: - Obiecuj mi, że go nie skrzywdzisz.

Venetia odwróciła się do niej z gotową ciętą ripostą na ustach, ale w wyrazie twarzy Marianne było coś, co kazało jej zmienić zdanie. Skinęła tylko głową i powiedziała:

- Muszę wracać na bal. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, że byliśmy tu razem.

Dziewczyna uśmiechnęła się serdecznie.

- Martwisz się o moją reputację?

Venetia wyszła, nim Marianne zdążyła dostrzec więcej prawdy w jej oczach.

Na sali Razeby nadal rozmawiał z Linwoodem.

- Chyba nabawiłam się migreny - powiedziała, nawet nie próbując udawać, że mówi prawdę. - Zastanawiałam się, lordzie Linwood, czy mogę liczyć na twoje towarzystwo w drodze do domu?

- Ależ oczywiście, panno Fox - odparł, nie spuszczać z niej wzroku. Twarz miał poważną i całkowicie nieprzeniknioną.

Venetia uśmiechnęła się z prawie niezauważalną drwiną i odpowiedziała spojrzeniem tak śmiałym, że wokół rozległy się poszeptywania.

- Prosimy o wybaczenie, Razeby - rzekł Linwood. Markiz uniósł brwi i pokazał zęby w znaczącym uśmiechu.

Venetia położyła dłoń w zgięciu ręki Linwoda i skromnie jak debiutantka opuściła wraz z nim bal.

Kiedy jechali już sami powozem, Linwood przyglądał się jej w świetle mijanych latarni.

- Dziękuję, Venetio - rzekł.

- Nie wiem, o czym mówisz.

On jednak nie przestawał się w nią wpatrywać i uśmiechać prawdziwym, szczerym uśmiechem, który całkiem zmienił wyraz jego zwykle tak posępnej twarzy. Serce rosło w piersi Venetii. Wiedziała, że zrozumiał jej intencje. Wyszła, żeby oszczędzić jego siostrze kłopotliwej sytuacji, jaką niewątpliwie stałaby się obecność Marianne i Venetii na jednym przyjęciu, choćby nawet panna Fox stwarzała jak najlepsze pozory.

- Ma takie same oczy jak ty - rzekła.

- Ale czulsze serce.

Venetia wspomniała noc, którą spędziła wraz z nim w Whitechapel, jego poczucie sprawiedliwości i opiekę nad nią w powozie - wszystko to, co stało na przeciwnej szali do popełnionej przez niego zbrodni.

- Wcale nie jestem tego pewna, Linwood - odpowiedziała czule.

Znowu się uśmiechał, a powóz powoli zbliżał się do King Street.

Następnego wieczoru Linwood znowu się z nią widział. Popołudniem otrzymał od Venetii zaproszenie na kolację w jej własnym domu. Kiedy czytał notkę, czuł narastającą

euforię na myśl o spędzeniu z nią wieczoru sam na sam i wszystkim, co takie zaproszenie mogło ze sobą nieść.

Jadalnia Venetii była urządzona z tym samym smakiem i elegancją, jakie cechowały ją samą. Jasnobeżowe ściany i profilowanie w odcieniach brązu i złota tworzyły wrażenie gustownego niedopowiedzenia o jakości i klasie, do jakich wielu aspirowało, a które jedynie bardzo nielicznym udawało się urzeczywistnić. Stał tu długi mahoniowy stół rzeźbiony ręką mistrza, a pod nogami rozciągał się miękki, pluszowy turecki dywan. Kominek projektu Adamsa wyraźnie inspirowany był klasycznym porządkiem doryckim. Nad nim wisiało lustro w złożonych ramach, a po jego obu stronach kryształowe kinkiety na trzy świece każdy. Naprzeciwko lustra znajdowało się duże wykuszowe okno, a kryjące je beżowe zasłony w bladozłote pasy odgradzały jadalnię od jesiennej słoty. Na jednej ze ścian Linwood dostrzegł niewielkiego Rembrandta. Oświetlenie zapewniał oryginalny żyrandol o białych ramionach przyozdobionych kryształami. W porównaniu z modnymi ciężkimi wzorami był wręcz filigranowy; Venetia Fox była wszak kobietą, która dyktowała modę, a nie ślepo za nią podążała.

Przez ostatnie dni Linwood myślał tylko o niej. Mógł nic o niej nie wiedzieć, ale ich wzajemny pociąg był prawdziwy i rozwijał się w zgoła nieprzewidzianym dla obojga kierunku. Nigdy wcześniej nie pragnął kobiety tak mocno, żadnej nie chciał znać tak dobrze. Więcej niż tylko pożądał. Lubił ją. Podziwiał. Nawet szanował jako przeciwniczkę. Miała odwagę i mocne nerwy, pewność siebie i siłę, choć w głębi duszy była wrażliwa, pełna współczucia i bezbronna. Byli sobie bliscy na sposób, jakiego wcześniej nie znał. I ona o tym wiedziała. Dostrzegał to w jej oczach, wyczuwał w potrzebie dotyku, słyszał w jej głosie. Byli już całkiem zanurzeni w tej niezwykłej rozgrywce i Linwood był za to wdzięczny losowi.

Zaczekał, aż Venetia usiądzie u szczytu stołu, po czym zasiadł u jego końca. Między nimi rozciągały się trzy metry polerowanego mahoni.

- Sama urządziłaś ten pokój czy takim go kupiłaś?
- Całkiem sama.
- Masz niezwykły smak.

Venetia skinęła głową w podzięcie i obdarzyła go uśmiechem.

- Nie mogłem nie zauważyć Rembrandta. - Obraz musiał być wart fortunę, więcej, niż mogła zarobić nawet najlepiej opłacana aktorka.

- Dostałam go w prezencie.

- Od wielbiciela? - Linwood pomyślał ze złością o Clandonie, ale nawet bękart Rotherhama nie mógłby sobie pozwolić na takie podarunki. Zaraz przypomniał sobie jeszcze o Arlesfordzie i Hunterze, Monteicie i Yorku.

- Od ojca - odrzekła.

- Czyli jednak nie był wiejskim pastorem.

- Nie. - Venetia odwróciła wzrok.

Zamilkli, kiedy wszedł Albert wraz z innym służącym, niosąc liczne srebrne tace, które ustawili na stole między nimi. Obaj zostali w pomieszczeniu i stanęli pod ścianą, patrząc beznamiętnie wprost przed siebie.

- Mam nadzieję, że jesteś głodny, Francisie - powiedziała i raz jeszcze popatrzyła mu w oczy. Pierwszy raz użyła jego imienia, a Linwood natychmiast zrozumiał, jak wiele to znaczy.

- Szaleńczo - odparł, nie zwracając uwagi na jedzenie.

Venetia z uśmiechem nakładała sobie rozmaite dania. Linwood zaczął, aż skomponuje sobie posiłek, nim sam dokonał wyboru.

- Jedzenie jest wyśmienite.

- Przekażę wyrazy uznania kucharzowi.

Rozmawiali niezobowiązująco o sprawach, co do których w zasadzie się zgadzali. Gawędzili i jedli, a służący uzupełniali ich kieliszki wybornym winem. Gdy byli tylko we dwoje, Venetia nie miała potrzeby udawać upodobania do szampana.

Nie wiadomo kiedy opróżnili półmiski. Sztućce zaległy na nich beczynnie.

- Przejdziemy do bawialni na drinka?

- Z przyjemnością, Venetio.

Linwood szedł za nią i wpatrywał się w hipnotyczne kołysanie jej bioder, rozkoszując się wonią perfum w powietrzu.

Bawialnią okazał się niewielki pokój na tyłach domu, umeblowany z myślą o wygodzie i prywatności, nie na pokaz, mimo to z dobrze znaną już Linwoodowi elegancją.

Stał tu mały regał na książki, prawdziwe biurko zamiast damskiego sekretarzyka oraz, przy kominku, kanapa i fotel od kompletu. Panował tu porządek, lecz nie tak nieskazitelny, jak w pozostałych pomieszczeniach. Na biurku piętrzyły się listy i gazety, obok leżał zestaw piór, na stole porzucony romans i karafka, a na poręczy fotela przy kominku gazeta, którą pewnie Venetia wcześniej czytała. Pokój był przytulny, ciepły i bardzo prywatny. Dla Linwooda było to kolejne wejrzenie w życie kobiety kryjącej się pod maską aktorki.

Tutaj byli już całkiem sami. Linwood zamknął za sobą drzwi.

- Brandy? - zapytała Venetia. Skinął głową.

- Dziękuję.

Nalała do dwóch kieliszków i jeden podała Linwoodowi.

- Za przyjaciół, Francisie - wzniosła toast.

- Za przyjaciół, Venetio. - Pomyślał, że w pewnym sensie są nimi, choć pozostają przeciwnikami.

Zetknęli się kieliszkami i trzymali je przez chwilę razem.

Brandy okazała się równie gładka i subtelna jak każdy z drogich alkoholi w piwniczce jego ojca. Linwood przyglądał się Venetii, jak zwilża usta i przełyka, w każdym geście i działaniu niezwykle kobieca w kontraście do męskiej natury trunku.

- Brandy, ale nie szampan?

- Szokuję? - zapytała z uśmiechem. - Możesz być spokojny, zwykle nie zapraszam dżentelmenów na kolację, a tym bardziej nie pijam z nimi brandy.

Podeszła i usiadła w fotelu przy kominku.

- Czyli jestem pierwszy? Popatrzyła na niego poważnie i skinęła.

- Wbrew obiegowej opinii.

Ta świadomość ucieszyła go bardziej, niż powinna.

- Dlaczego nie zaprosiłaś nikogo innego?

- To niepotrzebne pytanie.

- Nie dla mnie.

Bawiła się nóżką kieliszka, który stał na podłokietniku, ale kiedy podniosła wzrok, spojrzenie miała niespieszone.

- Może powinieneś raczej zapytać, dlaczego zaprosiłam ciebie.

Odwróciła oczy i chcąc postawić kieliszek na stoliku, zrzuciła gazetę z poręczy fotela na podłogę.

Schyliła się, ale Linwood był pierwszy. Ich dłonie zetknęły się na szeleszczącym papierze. Ich oczy się spotkały. Narastała między nimi zmysłowa żądza. Linwood pogłodził kciukiem jej palce, a ona otworzyła dłoń. Jej oczy pociemniały, a usta się rozchyliły. Cofnęła rękę.

Podnieśli się oboje, oddychając w tym samym rytmie.

- „London Messenger” - zauważył.

- Twoja gazeta.

Przytaknął w milczeniu i zerknął na stronę, którą czytała.

- Morderstwo Rotherhama - powiedziała.

- Doskonale się sprzedaje - odparł. Wiedział, że tempo gry uległo właśnie przyspieszeniu. Mówił spokojnie i bez emocji, jakby temat nic dla niego nie znaczył.

- To okrutne stanowisko.

- Jestem okrutnym człowiekiem. Nigdy nie udawałem miłości do Rotherhama.

- Nie udawałeś - przyznała. Wskazała gazetę. - Nic tu nie ma o pożarze, w którym spłonął dom.

- Mnie to nie dziwi, pożar miał miejsce trzy lata temu.

- Trzy lata. Pamięć ci dopisuje, Francisie. Linwood wiedział, do czego Venetia zmierza.

- Nie narzekam.

- Można by się zastanawiać, dlaczego ty tak dobrze to pamiętasz. - Venetia uważnie mu się przyglądała.

- Nie każdej nocy książęcy pałac płonie po fundamenty. To były niezwykle fajerwerki... świadkowie są co do tego zgodni.

Pchnięcie i zasłona.

Napięcie między nimi narastało. Stali bliżej krawędzi niż kiedykolwiek wcześniej.

Venetia czekała. Ta krótka chwila ciszy dźwięczała w ich uszach zapowiedzią niebezpieczeństwa, ale i pożądaniem. Linwood znał już następne pytanie.



- A ty byłeś świadkiem?

- Bardzo się interesujesz Rotherhamem, Venetio - odparł.

- Jak wszyscy. - Wytrzymała jego spojrzenie. Patrzyła na niego z uwagą równą jego skupieniu. - Nie odpowiedziałeś jednak na moje pytanie.

- Pół Londynu to widziało.

- Kto jest zdolny do spalenia domu bliźniego do samej ziemi, nie mówiąc już o książęcej siedzibie?

Linwood myślał o cieniach przeszłości, o trupie Rotherhama z kulą w głowie na biurku. Myślał o podejrzeniach Clandona i pytaniach o śmierć jego ojca, które padały ostatnio coraz częściej. Wiedział, co musi uczynić. Patrzył na pulsowanie tętna na jej szyi, zajrzał w rozszerzone źrenice jej oczu. Podszedł do niej i zbliżył usta do jej ucha. Nie poruszyła się, przypominała pomnik, lecz emanowało z niej nieukożone pragnienie ulgi w targającym nią konflikcie.

- Ktoś taki, jak ja - szepnął. Oddech Venetii przyspieszył. - Ale to wiesz już od dawna, prawda, Venetio?

Skinęła głową, nie ufając swojemu głosowi.

- A reszta...? - szepnęła bezwiednie. Jej pierś przestała się poruszać, zatrzymana w pół tchu.

Linwood pokręcił głową, nie wyjaśniając, czy odżegnuje się od winy, czy też odmawia odpowiedzi.

- Nie rozmawiajmy o tym dzisiaj.

Venetia wypuściła drżąco powietrze. Patrzyli dalej na siebie bez słów. W końcu Venetia podeszła do kominka i wpatrzyła się w gorące płomienie na palenisku.

W tej ciszy Linwood wyraźnie słyszał trzaskanie węgla i tykanie zegara na gzymsie kominka. Przeskoczyła wskazówka i zegar wybił godzinę.

Linwood przyjrzał się drogim bibelotom na kominku. Jeden przedmiot zdawał się tu całkiem nie na miejscu. Mały kremowy wazonik pomalowany w różowe kwiatki i zielone liście. Tani i krzykliwy, chociaż nawet ładny, należał jednak raczej do tych, które sprzedaje się na jarmarkach. Nie można go było nazwać gustownym. Widniała też na

nim rysa oraz dwa odprysnięcia glazury. W obu ukazywała się spodnia terakota. On jeden nie pasował do piękna i elegancji domu Venetii Fox.

Nie rozmawiali o mocy przeżyć, o pokładach prawdy kryjących kłamstwa ani o tym, co się znajdowało pod nimi.

- To wazonik mojej mamy - wyjaśniła Venetia. Nie patrzyła na niego ani na wazon.

- Moja babcia kupiła go dla niej, kiedy była mała.

- Na pewno jest ci drogi.

- Tak. - Ton jej głosu zdradzał smutek i żal tak przemożny, że Linwood poczuł ścisk w piersi.

Odwróciła się do niego.

Doskonale zdawali sobie sprawę, co ich dzieli. Rotherham.

Na jej policzku tańczył złoty odblask płomieni, a w oczach, za maską wyrafinowania, lśniło uczucie, które utrafiło w samą jego duszę.

Podniósł rękę i pogładził ją po włosach, przyciągnął do siebie jej twarz.

- Czy to dla ciebie za wiele, Venetio? - szepnął.

- Nie. Za mało - odszepnęła.

Spuściła oczy, ale zaraz je podniosła. Ujrzał w nich tę samą potrzebę, tęsknotę, która i jego pustoszyła od środka. Na dworze wielkie krople deszczu biły w okno, grzechotały o szybę jak grad. Wiatr wył i wdzierał się do środka, kołysząc z lekka zasłonami. Lecz oni dwoje całą uwagę poświęcali sobie.

Linwood pochylił głowę i pocałował ją z całym uczuciem, jakie tliło się w nich ukryte od początku wieczoru. Ona wyszła mu naprzeciw. Miał wrażenie, że wraca do domu. Nie szukał sensu, bo nie umiał go znaleźć; był w mocy kobiety, która poddawała mu się, zniewalając go jeszcze bardziej. Wyłuskał szpilki i uwolnił z nich jej włosy, pozwalając im opaść swobodnie w lśniących pasmach. Przeplótł przez nie palce i rozczesał tak, jak niezliczoną ilość razy wcześniej w sennych marzeniach, które dręczyły go od ich pierwszego spotkania.

Poczuł delikatny dotyk na karku, jej palce we włosach, gdy oddawała mu pocałunek równie gorąco i namiętnie. Położył dłonie na staniku sukni, opuścił na jej biodra i podniósł znowu, poznając dotykiem wcięcie talii, by wreszcie objąć wzgórki piersi, bie-

lejące w dekolcie szkarłatnej sukni. Jedną rękę przycisnął do jej pleców, drugą przeciągnął po piersi, przyciskając delikatnie, dopasowując palce do kształtu i wyczuwając podniecenie.

- Znowu... bez gorsetu - szepnął.

- Nigdy ich nie noszę - odparła.

Odnalazł pod jedwabiem pączek sutka i potarł go kciukiem. Westchnęła i wygięła plecy, podając pierś jeszcze głębiej w jego dłoń. Trzymał ją blisko i pieścił drugą pierś, przebywając ustami drogę od ust do smukłej szyi. Venetia przegięła głowę do tyłu, odsłaniając się na jego karesy. Linwood znalazł wargami pulsującą tętnicę. Muskał ją językiem, ssał i gryzł delikatnie, a jego dłoń powtarzała każdą pieśczętę dotykiem palców na jej piersi.

Venetia ogrzewała jego skroń drżącym, więznącym w krtani oddechem. Posiadł gorącymi ustami jej wargi i cofnął głowę, by zajrzeć Venetii w oczy. Ich oddechy związały unisono głośniejsze niż świst wiatru, deszcz i tykanie zegara, tłumiące wszystkie dźwięki prócz bicia dwojga serc. Uczucie trawiące ich tęsknotą i żarliwością pożądania rzuciło się w szale na łańcuchy, którymi usiłowali je spętać.

Linwood chwycił jej ramię pod krótkim rękawem sukni. Oddychała ciężko, głośno i nierówno. Nie spuszczać wzroku, wsunął delikatnie palce pod jedwab.

Westchnęła drżąc. Przełknęła i zwilżyła językiem wargi.

Zsunął rękaw, odsłaniając nagą skórę ramienia. Pocałował je, potem wgłębienie między obojczykami, a ona złożyła pocałunek na jego głowie i zbliżyła do siebie jego twarz.

- Francisie - szepnęła i pocałowała go w usta. Całowali się długo, aż Linwood rozpiął wszystkie haftki na plecach sukni i stanik opadł, odsłaniając cienką białą jedwabną koszulę, kryjącą nagie ciało. Dotykał jej przez delikatny materiał, poznając kształt piersi, raz po raz dotykając ustami ust.

Ściągnął z niej suknię i pozwolił jej opaść na podłogę u ich stóp. Biały jedwab spływał po jej skórze. Ostatnia, wątła zasłona.

Linwood rozerwał materiał, który z miękkim szelestem osunął się na rozrzuconą suknię. Objął dłońmi jej pośladki, upajając się ich dotykiem. Uniósł ją w górę i oparł ple-

cami o ścianę przy kominku. Otoczyła go w biodrach nogami, miękkim ciepłem i wilgocią otulając twardą, uwięzioną w bryczesach męskość.

- Venetio - szepnął.

Scałowała z jego warg brzmienie swego imienia, odgarnęła włosy z twarzy i odsłoniła twardą linię szczęki. Pocałowała go znowu.

- Francisie.

Chłonęła jego oblicze wielkimi źrenicami, jak on pozbawiona tchu.

Opuścił głowę i otoczył ustami jej pierś. Smakował to jednej, to drugiej, prowadząc ich dalej w podróż, którą rozpoczęli na teatralnym balkonie.

- Venetio.

Przycisnął wargi do jej, warg, wolną ręką rozpinając pośpiesznie guziki spodni, by zaspokoić ich oboje, wniknąć w nią głęboko i wziąć w miłosne posiadanie. Aby wreszcie należała do niego. Pchnął, przycisnął ją do ściany, a ona przywarła do niego z całych sił.

Naraz zobaczył kątem oka błysk poruszenia. Zareagował instynktownie i złapał w powietrzu spadający z kominka zniszczony wazonik.

Uniósł go przed jej oczy.

- W ostatniej chwili - powiedział.

Venetia wpatrywała się w wazonik zaskoczona i wstrząśnięta. W zdumieniu uniosła wzrok z naczynia na jego twarz.

- W ostatniej chwili - powtórzyła przerażonym szeptem.

Linwood wyczuł jej wycofanie, nim choć jeden mięsień drgnął w jej ciele. Uwolniła się, wyslizgnęła z jego ramion i ostrożnie postawiła wazon na miejscu. Podniosła suknię i okryła swoją nagość. Popatrzyła na niego.

Wpatrywał się w jej oczy, starając się pojąć tę nagłą zmianę. Ona jednak znowu wcieliła się w chłodną i uwodzicielską Venetię Fox, która tak dobrze strzegła swojego serca. Namiętna kobieta, którą przed krótką chwilą trzymał w ramionach, zniknęła bez śladu.

- Venetio... - zaczął, ale ona położyła mu palec na ustach.

- Możesz skorzystać z mojego powozu. Dobrej nocy, Linwood.

Zadzwoiła dźwięcznym dzwoneczkiem ze stolika.

- Linwood? - zapytał cicho, choć w gniewie.

Na moment jej oczy zmętniały, ale chłód powrócił. Uśmiezek igrał tylko na jej ustach.

Gdy zjawił się kamerdyner, Linwood miał już na sobie spodnie. Ostatni raz spojrział na Venetię i odszedł bez słowa.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdy tylko zamknęły się za Linwoodem drzwi, uśmiech Venetii zbladł i całkiem zgasł. Zacisnęła oczy, jakby mogła w ten sposób oddalić od siebie najświeższe wspomnienie, precedzić zamęt uczuć. Słyszała jeszcze oddalające się kroki, dudniące po schodach i zacichające na marmurowej posadzce przedpokoju. Słyszała pomruk głosu Alberta, ciche otwarcie i zamknięcie frontowych drzwi i nie umiała się pomiarkować: podeszła do okna. Uniosła róg zasłony i spoglądała na ulicę w dole, patrzyła, jak Linwood wychodzi na deszcz.

Podniósł wzrok i ich spojrzenia się spotkały. Miał twarz nieprzeniknioną, ponurą i niebezpieczną jak wtedy, gdy spotkała go po raz pierwszy. Poczowała ciepło na policzkach, wyraz wstydu, żalu i czegoś więcej, do czego bała się przyznać.

Nie czekając na powóz, odwrócił się i odszedł w noc. Wiedziała, że powinna była opuścić zasłonę, odejść od okna, mimo to stała w nim, aż postać Linwooda zlała się z mrokiem i całkiem zniknęła.

Żołądek miała ściśnięty, a w piersi zagościł tępy, ciężki ból. Oparła się o najbliższą ścianę, puszczając kotarę. Bezwiednie odnalazła wzrokiem wyszczerbiony wazonik na kominku. Podeszła do niego, wyczuwając pod podeszwami pantofli rozrzucone na dywaniku przed kominkiem szpilki do włosów. Spojrzała pod nogi na ciemne drzazgi, rozsiane po bladej tkaninie. Zebrała wszystkie, jedna po drugiej, delikatnie i z przejęciem. Tylko to zostało z ich bliskości. Nie poprawiła włosów, zostawiła je opadające na ramiona, drżące z każdym jej ruchem. Ułożyła szpilki na kominku obok wazonika. Dotknęła palcami naczynia i przeciągnęła dłonią wzdłuż jego boku. Tak samo jak matka, przebiegło jej przez myśl. Spuściła rękę i zacisnęła powieki. Dłoń zamknęła się w pięść. Oddy-

chała z trudem. Nigdy, pomyślała. Lecz kiedy otworzyła oczy, jej wzrok padł dokładnie tam, gdzie Linwood przyparł ją do ściany. Niemal czuła znowu dotyk jego dłoni, pieszczotę ust, żar łączącej ich namiętności.

Zapominała przy nim zasady, zapominała, kim był i czego się dopuścił. Przed chwilą wyznał jej, że odpowiada za obrócenie domu Rotherhama w ruinę. To on posłał kulę w głowę księcia. Rotherhama, poprawiła się. Tak zawsze o nim myślała. Jej ojciec. Jaka kobieta pragnie kogoś zdolnego do takich czynów? - dręczyła się. Nie miała bowiem wątpliwości, że go pragnie. Pragnęła tak bardzo, że cierpiały jej ciało, umysł i dusza. Miała wrażenie, że się oszukuje, nazywając rzecz pożądaniem. W trzewiach, w szpi-ku kości czuła, że ma do czynienia z czymś więcej niż tylko prostym cielesnym magnetyzmem.

Nie myślała przy nim trzeźwo, oddalała się od tego, kim była, za kogo się uważała. Kiedy patrzyła w jego oczy, nie widziała mordercy, lecz wrażliwego, rozumiejącego mężczyznę, który nie zgadza się na zasady panujące w społeczeństwie: widziała cichy, niezłomny sprzeciw. Kontrolował się, nie dawał sobie wytchnienia, a przy tym czuła, że poruszyłby niebo i ziemię, by zrobić to, co uważał za słuszne. Był taki jak ona. Miał wiele tajemnic. Pokrewna dusza.

Sprawa Linwooda wymykała się jej spod kontroli. Nie mogła już ufać nawet sobie samej.

Przycisnęła dłoń do ust przerażona nie nim, ale swoją reakcją. Na samą myśl o nim puls przyspieszał, krew rozgrzewała, a jej serce przepelniało się niezaspokojonym pragnieniem. Kiedy jej dotykał, traciła nad sobą całe panowanie. Było to zbyt niebezpieczne, żeby mogła dalej ciągnąć tę historię. Pozostało jej tylko jedno. Na szczęście już następnego dnia był wtorek.

Raz jeszcze spojrzała na wazonik. Może matka jednak o nią dbała? Zza grobu wychodziło jej to znacznie lepiej niż za życia.

Następna próba w teatrze była gorsza od każdej, którą mogła przywołać w pamięci. Zapominała kwestie, przeoczała sygnały i nie mogła wymóc na sobie koncentracji. Była świadoma, jak patrzą na nią pozostali aktorzy. Pan Kemble zarządził koniec. Wyglądał na bardzo zmartwionego.



Alice weszła za Venetią do garderoby i zamknęła drzwi.

- Co się dzieje, Venetio?

- Nic szczególnego - odparła, patrząc śmiało w oczy przyjaciółce i uśmiechając się niefrasobliwie, jakby wciąż panowała nad swoimi emocjami. Kłamała. Dręczyły ją wydarzenia niedawnej nocy. Nie umiała już myśleć o niczym innym.

Alice wejrzała troskliwie w jej twarz.

- Wyglądasz, jakbyś nie spała.

- Spałam jak niemowlę. - Kolejne kłamstwo.

- Chodzi o Linwooda, prawda?

Serce podskoczyło Venetii w piersi na dźwięk jego nazwiska. Z największym trudem nie dała nic po sobie poznać i wytrzymała spojrzenie przyjaciółki, udając zwykłą pewność siebie.

- Masz chyba obsesję na jego punkcie, Alice - odparła Venetia, choć to nie jej przyjaciółka cierpiała na tę przypadłość.

- Venetio... - Alice westchnęła i wzięła ją za rękę. - Martwię się o ciebie. Pierwszy raz widzę cię w takim stanie. Powiedz mi, proszę, co ci nie daje spokoju?

Chciałaby, żeby to było możliwe. Pokręciła głową w geście delikatnej odmowy.

- Jestem tylko trochę rozkojarzona. Mam te trudne dni. - Jeszcze więcej kłamstw piętrzących się na kłamstwach. Było ich już tyle, że Venetia straciła rozeznanie, gdzie leży prawda. - Wezmę parę wolnych dni i wrócę do siebie.

Alice skinęła z aprobatą.

- Za bardzo się zaangażowałam z Razeby - odparła. - Przyjdę do ciebie wieczorem, porozmawiamy jak dawniej.

- Innym razem - odmówiła Venetia. - Kiedy to wszystko się skończy.

Kiedy zakończą z Linwoodem zastawiać na siebie sidła, dopowiedziała w myślach.

Alice patrzyła na nią z niedowierzaniem. Wyraźnie podejrzewała, że przyjaciółce doskwiera coś znacznie poważniejszego niż comiesięczne kobiece dolegliwości. Nie zadawała już jednak pytań, tylko objęła Venetię.

- Jestem dla ciebie zawsze - zapewniła ją. - Pamiętaj o tym, Venetio.

Narzuciła na ramiona chustę.



- Niechętnie cię zostawiam w takim stanie.

- Idź - pogoniła ją przyjaźnie Venetia. - Razeby na pewno na ciebie czeka. Poza tym mam już na dzisiaj plany.

- Jesteś tego pewna?

- Tak.

Alice zamknęła za sobą drzwi.

Venetia zaś siedziała dłuższą chwilę przy toalecie, nie przystępując ani do zmiany kostiumu, ani zmycia makijażu. Teatr był cichy. Wiedziała, że wkrótce zgasną lampy przed fasadą, a liche korytarzyk za drzwiami pograży się w ciemności. Patrzyła w swoje odbicie. Wyraźnie widziała niepewność spojrzenia i podkrążone bezsennością oczy; policzki wydały się jej nagie bez zwykłego różu, który na nie nakładała. Wstała, owinęła się szalem, zgasła lampy i skierowała do wyjścia dla aktorów.

Przy Hart Street czekał na nią powóz. Było późne popołudnie, ale panował mrok jak u progu nocy. Venetia stała przez chwilę nieruchomo, aż z cieni wyszedł Robert i wspiął się do środka pojazdu.

- Jak postępuje realizacja naszego planu? - zapytał z przeciwległego siedzenia.

- Moja robota z Linwoodem skończona. Nie muszę go więcej widzieć.

Robert pochylił się do przodu.

- To dopiero początek. Umówiliśmy się, że będziesz go mieć przez trzy miesiące, aż dowiemy się o tym gadzie wszystkiego.

Teraz, kiedy miała wyznać prawdę, słowa uwięzły jej w gardle, a poczucie winy przygniotło ją swoim ciężarem. Nie mogła Jednak dłużej w tym uczestniczyć. Zmusiła się do mówienia.

- Osiągnęłam to, czego chcieliśmy.

Zmrużył oczy w niedowierzaniu. Przyjrzał się siostrze uważniej.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Spróbowała przełknąć, ale ścisk w gardle nie ustąpił. Nie mogła milczeć. Tylko trudne słowa mogły zakończyć jej udrękę.

- Linwood odpowiada za pożar w posiadłości Rotherhama.

- Przyznał się do tego? Przed tobą? - Brwi Roberta się uniosły, a powieki rozwarły szeroko.

Przytaknęła i spuściła wzrok na podolek, nie mogąc znieść wyrazu złośliwej satysfakcji na twarzy brata. Bawiła się guzikami rękawiczki, w najmniejszym stopniu nie dzielając jego radości.

Odetchnął głośno.

- Prawie nie mogę w to uwierzyć. - Zapatrzył się w przestrzeń, skubiąc podbródek.  
- A morderstwo?

Venetia pokręciła głową.

- Pewnie nie jest skłonny - rzekł - do opowiadania o zbrodni kobiecie, z którą chce dzielić alkowę.

Robert nie wiedział jednak nic o ich relacji. Venetia bała się, że Linwood mógłby jej wyznać wszystko, a jeszcze bardziej tego, że wcale nie zmieniłoby to jej uczuć. Sytuacja zmierzała w kierunku, który tylko ona mogła odmienić.

- Dlaczego? - zapytała. - Przyznał się do podpalenia, więc dlaczego nie do morderstwa?

- To nie to samo, przecież wiesz.

- Wiem. To zupełnie co innego - odparła cicho.

- Dom spłonął po fundamenty. To akt nienawiści, unicestwienia. Trudno tu o nieporozumienie. Chcesz mi powiedzieć, że w twoim przekonaniu ten, kto to zrobił, mógł nie zamordować naszego ojca?

Venetia rozumiała logikę argumentu. Pomysł, że ktoś inny pojawił się w tym samym momencie i miejscu i zabił Rotherhama, był rzeczywiście nedorzeczny.

- Oboje wiemy, że to on, Venetio.

- Moja rola się tak czy inaczej zakończyła - rzekła po chwili milczenia. - Masz to, czego potrzebujesz. Wypełniłam swój obowiązek, Robercie. Więcej nie ujrzę Linwooda.

- Nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana, siostrzyczko.

- Podjęłam decyzję - odparła stanowczo.

- Musisz ją więc zmienić. Czegoś ci nie powiedziałem. Nowa sprawa.

Venetia znieruchomiała, bojąc się, co zaraz usłyszy.

- Mój świadek, który widział Linwooda opuszczającego tamtej nocy gabinet ojca, zniknął. Nie wątpię, że Linwood maczał w tym palce dzięki swoim... koneksjom.

Wtedy przypomniała sobie złoczyńców z Whitechapel, którzy sami zgłosili się na Bow Street.

- Bez niego tylko ty możesz potwierdzić jego związek ze śmiercią Rotherhama. Chyba że znajdziemy narzędzie zbrodni, zaginiony pistolet drogiego papy.

- Jeśli nawet jest winny, pewnie dawno się go pozbył.

- Po cóż miałby to zrobić? Zabrał go, żeby mieć trofeum. Nie należał do niego, więc nikt by go z nim nie skojarzył. A przecież wziął pistolet i książkę z biblioteki.

- Nie wiedziałam, że zginęła książka.

- Widziano ją w jego rękach, a na półce brakowało jednego tomu. Gdyby którykolwiek z tych przedmiotów był w jego posiadaniu... - Robert zamilkł, po czym podjął: - W piątek wieczór Linwood wychodzi. Ma o dziewiątej spotkanie, które przed północą na pewno się nie skończy.

Popatrzył na nią wyczekująco.

- Znajdź kogoś innego do tej roboty.

- To nie takie proste. Pomyśl, jak łatwo ci to przyjdzie. Wasza zażyłość jest powszechnie znana. Służba na pewno wpuści cię do jego domu, żebyś na niego zaczekała. A ty przeszukasz pokoje.

- Już dość pogłosek krąży po mieście. Jeśli pokażę się późnym wieczorem w jego domu... równie dobrze mogłabym otwarcie rozpowiadać, że jesteśmy kochankami.

- Wcześniej też cię o to podejrzewano z innymi, a nigdy o to nie dbałaś.

Z Linwoodem jest jednak inaczej, pomyślała.

- Musisz chociaż spróbować, Venetio - ciągnął Robert. - Tylko tak udowodnisz jego winę... lub niewinność.

Ostatnie słowo Venetia usłyszała bardzo wyraźnie. Popatrzyła na brata.

- Jesteś pewien, że go tam nie będzie?

- Absolutnie.

- A potem koniec?

- Koniec.

Venetia zgodziła się skinieniem głowy.

Powóz zatrzymał się przy tej samej co zwykle alejce. Robert ucałował siostrę i wyskoczył w gęstniejący mrok. Venetia nie patrzyła za nim. Siedziała ze ściśniętym sercem, gdy powóz ruszył w kierunku jej domu.

Następnego dnia Linwood nie dał znaku życia. Ani kolejnego. Venetia mówiła sobie, że nie czeka na wiadomość, że nic od niego nie chce.

Wiedziała jednak, że się oszukuje. Przy każdym trzaśnięciu drzwiami prostowała się i czekała, że Albert zaanonsuje Linwooda albo przynajmniej przyniesie jej liścik w znajomym charakterze pisma. Dla nikogo innego nie było jej w domu, choć powinno być odwrotnie. Mimo to Linwood nie przybywał.

Nadszedł piątek. Godziny wlokły się niemiłosiernie. Ołowiane niebo, złowrogie i przytłaczające, było dla Venetii odbiciem nastroju dalszego oczekiwania. Starła się czytać scenariusz, powtarzać rolę, nie umiała się jednak do tego zmusić. Była niespokojna, pobudzona, niezdolna do skupienia. Wolałaby być na próbie. Nawet taką odmianę powitałaby z radością. Mimo to wiedziała, że tak jest lepiej.

Poranek.

Popołudnie.

Wieczór.

Wreszcie weszła do salonu, którego od pamiętnej nocy ani razu nie odwiedziła. Na kominku płonął ogień, a w kinkietach świece.

Gazeta, zamknięta schludnie na pierwszej stronie, leżała na biurku, na szczycie sterty papierów. Szpilki do włosów zniknęły z kominka, a wazon stał na swoim miejscu.

Podniosła gazetę, zrzuciła pantofle i zwinęła się na siedzisku fotela. Setny raz przeczytała raport napisany przez dziennikarzy Linwooda. Spojrzała na wazon. Zegar wybił dziewiątą.

Gdy wstała, była spokojna. Dobrze się przygotowała do czekającego ją zadania.

Nocne, nieruchome powietrze sączyło chłód i wilgoć wprost w kości Venetii. Takie w każdym razie miała wrażenie. Nawet konie wydawały się bardziej narowiste i płochliwe. Nad głową nie znalazła księżycy ani gwiazd, tylko grubą, ciemną pokrywą chmur. Padał deszcz.

Podróż minęła szybko. Już w następnej chwili była w St. James's Place. Powóz zatrzymał się pod adresem podanym na wizytówce Linwooda.

Venetia zerknęła szybko na okna jego pokoi. Jedno pogrążone było w całkowitej ciemności, drugie tylko trochę jaśniejsze.

Zarzuciła na głowę głęboki kaptur i opuściła pojazd.

Służący Linwooda był zaskoczony, widząc ją w drzwiach. Zdjęła kaptur, ujawniając, kim jest.

- Panna Fox chciałaby się widzieć z lordem Linwood - rzekła, wytrzymując spojrzenie mężczyzny.

Wahał się tylko przez najkrótszą chwilę. Zaraz Venetia została zaproszona do środka.

- Niestety lorda Linwood nie ma obecnie w domu, proszę pani.

- Chętnie zaczekam - rzuciła swobodnie i pozwoliła aksamitnemu płaszczowi zsunąć się z ramion.

Służący pochwycił okrycie i ostrożnie złożył na przedramieniu, pobieżnie zerkając na jej czerwoną suknię. Był zażenowany, jakby pierwszy raz miał do czynienia z podobną sytuacją. Jakby nigdy żadna kobieta nie przyszła wieczorem do Linwooda. Ucieszyło to Venetię.

Popatrzyła służącemu znacząco w oczy, a on odwrócił wzrok i odchrząknął.

- Może minąć trochę czasu, nim jego lordowska mość wróci.

- Nie szkodzi. Nigdzie mi się nie spieszy. Służący przełknął.

- Proszę za mną, pani.

Zaprowadził ją do pokoju wyposażonego w biurko, regał, dwa wysokie fotele i sofę. Nieduży ogień płonął w rogu kominka, a na jego gzymsie świeca. Zegar na kominku wskazywał wpół do dziesiątej.

Venetia usadowiła się w fotelu, blisko blasku świecy.

- Czy mam przynieść herbatę, proszę pani?

- Nie, dziękuję - odparła. - Nie po herbatę tu przyszłam. Służący zaczerwienił się pod kolor jej sukienki.

- Co jest za tymi drzwiami? - wskazała drzwi obok kominka.

- Kuchnia, proszę pani.

- A tam, po drugiej stronie?

Nie patrzyła na drzwi, tylko indagowanemu w oczy. Służący zawahał się.

- Sypialnia lorda Linwood - powiedział.

- Ach! - rzekła cicho, jakby tylko to chciała wiedzieć. Spuścił wzrok.

- Czy życzy sobie pani czegoś jeszcze?

- Nie - odparła.

Służący umknął do kuchni, zamykając za sobą drzwi.

Venetia wstała i poczęła się przechadzać po pokoju, rozważając, od czego powinna zacząć. Zatrzymała się przy półkach z książkami i przejechała opuszkami palców po ich grzbietach. Przejrzała złożone tytuły. Zatrzymała się przy zbiorze pozycji astronomicznych. Próbowała odpędzić myśli o wspólnym wieczorze w szklarni, ale wspomnienie było jeszcze zbyt świeże. Nie umiała się oprzeć i wyciągnęła jedną z książek. Otworzyła na przypadkowej stronie i znalazła na niej ilustrację przedstawiającą konstelację Pegaza. Zatrzasnęła książkę i odłożyła na miejsce.

W biblioteczkę znajdowały się klasyczne powieści, pozycje historyczne, opisujące sztukę wojenną i sztuki plastyczne. Książki o polowaniu i zwierzętach. Jedna nawet o wilkach w Brytanii. Wszystkie oprawne w granatową skórę jak te w bibliotece Rotherhama. Żeby znaleźć skradzioną, musiałaby każdą z osobna zdejmować z półki. Żadna nie wyglądała na wartą zabrania z domu świeżo zamordowanego człowieka.

Zwróciła uwagę na biurko. Przypominało jej własne, z tą różnicą, że obite było granatową skórą, na której stał kałamarz i podstawka pod pióro, a także leżały dwie czyste kartki papeterii z nadrukowanym nazwiskiem i herbem Linwooda. Wyglądało na to, że zamierzał pisać list.

Venetia latami przyglądała się ludziom, ich reakcjom i przyzwyczajeniom, drobnym szczegółom, które ich zdradzały. Była to świetna pożywka dla jej aktorstwa, dzięki temu ożywiała grane postaci. Myślała o Linwoodzie, jakim był człowiekiem, o mroku, który go otaczał, i jego całkowitej samokontroli. Inni uważali go za nieczułego, lecz ona знаła prawdę - ukrywał uczucia i kontrolował, a nie cierpiał na ich brak. Nie znała męż-

czyzny bardziej namiętnego. Nie odpowiadał oczekiwaniom. Myślał inaczej niż pozostali. Był nieprzeciętny.

Usiadła w krześle przy biurku i spróbowała spojrzeć na niego oczami. Gdzie schowałby coś ważnego? - zastanawiała się. Odpowiedź pojawiła się natychmiast, jakby sam wyszeptał jej to do ucha. Na widoku. Po jednej stronie biurka stał regał, po drugiej - wisiał obraz przedstawiający konia wyścigowego przed stajnią.

Podeszła i zajrzała za płótno. Uśmiechnęła się.

Obraz nie był zbyt ciężki. Zdjęła go z haków i oparła na podłodze. Znalazła doskonale wpasowany w ścianę sejf. Oczywiście zamknięty, pomyślała. Linwood zapewne nosił klucz przy sobie, ale że nigdy nie zdawał się na los, w pokoju musiał być klucz zapasowy. Wróciła do biurka, wysunęła górną szufladę i nagle usłyszała skrzypienie otwieranych drzwi wejściowych oraz głosy, z których jeden rozpoznałaby zawsze.

Z duszą na ramieniu zamknęła szufladę szybko i cicho i odsunęła się od biurka.

W tym momencie wszedł Linwood.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie uśmiechał się. Blask świecy migotał na jego szorstkich rysach. Z oczu ziała otchłań, gdy patrzył na oparte o ścianę płótno. Spojrzył na Venetię.

- Lubię dobrze znać mężczyznę, z którym jestem związana - powiedziała spokojnie, choć serce trzepotało jej w piersi jak schwytyany gołąb.

- Związana? Naprawdę tak uważasz? Tamtej nocy na to nie wyglądało.

Cisza dźwięczała ogłuszająco. Lód w jego oczach nie tajał.

- Zatem byłam w błędzie. Wybacz, panie. Spróbowała go wyminąć.

Nie poruszył się, by ją zatrzymać. Powiedział tylko te kilka słów, cicho, lecz jakże złowrogo:

- Czy naprawdę chcesz tego, po co tu przyszedłaś, Venetio?

Znieruchomiała, patrząc mu w oczy, drżąc o to, ile już wiedział. Lękając się bezwarunkowej kapitulacji.



Przekręcił wilczą główkę laski. Pod nią, w wydrążonej i obitej aksamitem pochewce, znajdował się srebrny klucz. Wyjął go, wsunął do zamka sejfu i przekręcił. Drzwiczki odskoczyły, a on zrobił jej miejsce zapraszającym gestem.

- Dalej - powiedział. - Skoro tak bardzo chcesz wiedzieć. Wahala się. Patrzyła na niego przerażona. Bała się spojrzeć. Bała się odwrócić.

Twarz miał nadal nieprzeniknioną, ale patrząc mu w oczy, Venetia poczuła dojmującą wstyd.

Zegar tykał powoli i spokojnie, przeciwnie niż jej serce. Zrobiła krok w stronę sejfu. Już widziała, że nie zawierał ani pistoletu, ani książki. Leżało w nim kilka grubych rulonów banknotów, a w głębi skórzana sakwa złotych gwinei. Nie pieniądze przyciągnęły jednak jej uwagę. Na stercie dokumentów i listów leżał rachunek z teatru. Rachunek za miejsca na przedstawieniu sztuki *Jak wam się podoba* z panną Venetią Fox w roli głównej oraz debiutującą panną Alice Sweetly w roli pomniejszej. Tamtej nocy się poznali.

Venetia podniosła dokument. W środku spoczywała złożona męska chusteczka, całkiem czysta, jeśli nie liczyć czerwonego śladu ust. Poczowała ukłucie w piersi i zapowiedź łez w oczach. Spojrzała na niego.

Milczał i stał bez ruchu, z godnością przyjmując ujawnienie jego tajemnicy.

Venetia złożyła rachunek na chusteczce i położyła je w sejfie tak, jak je znalazła.

- Nie przejrzałaś pozostałych - powiedział.

- Nie muszę.

Spoglądali na siebie dłuższą chwilę.

- Odesłałaś mnie jak służącego, Venetio.

- Nie powinnam była. - Spuściła wzrok. - Muszę cię zapytać... muszę wiedzieć...

Dla siebie, nie dla Roberta - rzekła w duchu.

- Spaliłeś dom Rotherhama. Milczał.

- Do czego doszło między wami? Dlaczego aż tak go nienawidziłeś?

Zacisnął zęby, a w jego oczach załśnił błysk gniewu.

- Rotherham brał to, czego pragnął, nie dbając o krzywdy innych.

Przeczuwała za jego słowami niewypowiedzianą grozę.

- Co zrobił? - zapytała mimo lęku.

- Skrzywdził kogoś bardzo mi bliskiego. Skrzywdził okrutnie.

Venetia widziała ból w jego spojrzeniu.

- Przykro mi - rzekła szczerze. Zdawała sobie sprawę, że mężczyzna, który ją spłodził, był zdolny do wielkiego okrucieństwa.

W ciszy dzieliło ich jeszcze jedno niezadane pytanie. Pytanie, które było przyczyną całej intrygi.

- Znasz mnie na wylot, Venetio. Nigdy niczego nie udawałem. Wiesz, kim jestem.

Wiedziała. Znała go. Był mężczyzną, za którym tęskniła jej dusza. Nieśmiało poruszyła ręką, muskając palcami jego dłoń.

- Tak, Francisie - powiedziała czule, patrząc mu w oczy, jakby zaglądała wprost w jego duszę. - Wierzę, że tak.

Objęła delikatnie jego twarz dłońmi i pocałowała.

Z początku był niewzruszony, czuła jednak, że pod pozorem zimnej obojętności wrą w nim sprzeczne emocje. Pocałowała znowu, i jeszcze raz, jego twarde wargi, nie kusząco i uwodzicielsko, lecz z surową szczerością uczucia, czule, z pożądaniem i miłością. Odpowiedział równie prawdziwie, dając jej to samo. I jeszcze więcej.

W tym pocałunku ujawnił wszystko, co krył - namiętność i żar, czułość... Miłość. Całował z mocą uczuć, które, nareszcie wyzwolone, górowały nad nią swą potęgą. Całował jej usta i szyję. Całował obojczyki i ramiona. Jego gorący oddech muskał i pieścił skórę, łaskotał i budził tęsknotę za następnym dotykiem warg. Objął ją w talii i przycisnął do siebie, jakby chciał zapobiec ucieczce. Jakby mogła pragnąć innego miejsca w świecie. Ich ciała zdawały się dla siebie stworzone, piersi dla torsu, uda dla ud. Pocałunki zdjęły z niej wszelkie troski, poczucie odpowiedzialności i obowiązku. Czując jego usta na swoich Venetia poznała prawdę - dla niej istniał tylko Linwood, od zawsze tylko on.

Położył dłoń na jej piersi. Poczowała reakcję swego ciała, jakby palce dotykały nagiej skóry, jakby nie dzielił ich materiał. Jak gdyby już leżeli nadzy obok siebie. Druga ręka wędrowała w dół, gładząc jej biodra, pieszcząc i prowadząc w podróż, którą od zawsze mieli przeznaczoną. Pogłębił pocałunek, smakując ją w preludium do tego, co miało

wkrótce nastąpić. Wśród niezliczonych pieszczot czuła, że żar pożądania, jaki zawsze płonął między nimi, spowija ich morzem ognia.

Rozpiął jej suknię, uwolnił piersi ze stanika i smakował oba stwardniałe sutki językiem i wargami, aż nogi się pod nią ugięły. Objęła jego głowę i przycisnęła do siebie, pragnąc więcej, pragnąc jego. Tylko jego.

On jednak się wycofał. Oddychał szybko i ciężko, w oczach płonęła namiętność, jakiej nie widziała jeszcze w oczach żadnego mężczyzny. Zrzucił z siebie marynarkę i ściągnął kamizelkę.

Venetia szarpnęła fular i zsunęła go z jego karku. Przeciągnęła palcami po koszuli, pragnąc poczuć ciepło skóry. Zdjął ją przez głowę i rzucił na podłogę. Blask świecy zamigotał na rzeźbionych mięśniach torsu i podbrzusza. Miał ciało wspanialsze nawet niż mogła sobie wyobrazić w najśmielszych snach. Dotykała go, uczyła się jego kształtów, skóry o zachwycającym złotym odcieniu, tak różnym od mleczej bladości jej dłoni.

Wnet znowu była w jego ramionach, obcałowywana. Uwolnił jej włosy ze szpilek. Opadały swobodnie na ramiona, a on w zapamiętaniu całował, dotykał jej i pieścił ją. Wyczuwała jego podniecenie przez materiał spódnicy, przez spodnie. Z ustami złączonymi w tańcu pocałunków Linwood zaprowadził Venetię do sypialni.

Delikatnie i z czułością uwolnił ją od reszty garderoby. Położyli się razem na pościeli.

Patrzyła w migoczącym świetle, jak się rozbiera, przyglądała jego nagiemu ciału i męskości. Wiedziała, co się miało za chwilę wydarzyć. Żar pomiędzy jej nogami czekał zaspokojenia tęsknoty. Czekwała spełnienia. Patrzyli sobie w oczy, kiedy nareszcie ułożyli się na niej.

- Tak - szepnęła jak we śnie. - Tak!

Rozchyliła nogi, oddając się mu bez reszty.

Poranek po deszczowej nocy wprawiał ją w spokojny nastrój. Chodniki wciąż były mokre, ale powietrze chłodziło jej policzki i wypełniało płuca świeżością. Świt zaczął się zaledwie podnosić zza wieży kościoła St. James's, grając na niebie rozrzedzonymi kolorami nocy i jasnością wschodzącego dnia. Zaczerpnęła głęboki oddech w poczuciu radości z odrodzenia światła, jakiej jeszcze nie знаła. Była cała w skowronkach.

Okoliczne domy pogrążone były jeszcze we śnie, zawarte okiennice i zaciągnięte zasłony jak zamknięte oczy. Ulica była pusta, nie licząc samotnego zamiataacza, niosącego miotłę jak muszkiet na ramieniu. Na sznurach rozwieszonych przy niskim murze przysiadł rudzik i spoglądał na nią ciekawie. Jego pomarańczowa pierś jaskrawo odcinała się na tle nastroszonego na kształt miękkiej piłeczki brązowego upierzenia.

Drzwi zamknęły się za nią cicho, a ona wspięła się do powozu Linwooda, który ruszył z turkotem. Popatrzyła raz jeszcze w okna sypialni, gdzie Francis spał nagi w łożu z baldachimem. Uśmiechnęła się na myśl, że nigdy nie była równie szczęśliwa. Nie miał pistoletu. A to musiało znaczyć, że jest niewinny.

Kiedy przyjechała do swojego domu, nikt już nie spał. Służący patrzyli na nią z cieniem znaczącego skrępowania i unikali jej wzroku. Wiedzieli, że nie wróciła na noc. Że widziała się z Linwoodem. Nie dbała jednak o plotki. Tej radości nie mogło jej nic odebrać.

Była obolała, ale zaspokojona. Odczuwała pełnię. Umyła się w ciepłej wodzie, spłukała ślady zaschniętej krwi pomiędzy ud. Przypomniała sobie czułość i delikatność jego dotyku, słowa szeptane o świcie.

Ubrała się z rozwagą. Wybrała bladożółtą sukienkę, która najlepiej wyrażała odnalezione światło nadziei. Dopiero wtedy pozwoliła się pokojówce uczesać i ułożyć włosy w skromną fryzurę. Spojrzała w lustro. Mimo nieprzespanej nocy nie było potrzeby dodawać różu wargom i policzkom. Uśmiechnęła się w niczym niezmaconym szczęściu. Kobieta w zwierciadle promieniała.

Kochała Linwooda i tylko to miało dla niej znaczenie. Nie dbała o ich trudne położenie, gdy jej ciało tętniło miłością.

Zegar na kominku wybił kwadrans. Pokojówka pomogła jej założyć pasujący płaszcz, owinęła złoty szydełkowy szal wokół jej szyi i podała rękawiczki z kozłej skóry.

Venetia wyszła na spotkanie z Robertem.

Linwooda obudziły odgłosy ruchu ulicznego. Był odprężony, spokojny i szczęśliwy. Pierwszy raz od lat nie obudził się z przerażeniem na czekający go dzień. Zawdzięczał to tylko jej. Venetii.

Leżał na łóżku sam, pościel była już chłodna. Odrzucił kołdrę i przeszedł cicho do gabinetu. Jego wczorajsze ubrania leżały złożone na biurku. Po Venetii nie było śladu. Uśmiechnął się na myśl o jej dyskrecji i wrócił do sypialni. Zastanawiał się nad dziwnym wynikiem gry, którą ze sobą prowadzili. Mimo niebezpieczeństwa to właśnie ta intryga dała mu Venetię. Kobietę, którą kochał.

Była niezrównana, nieprzeciętna. Namiętna i silna, a kryła w sobie wrażliwość. Teraz naprawdę była jego. Pamiętał czułość i żar miłości, pamiętał ją w swoich ramionach, ich splecione, zmęczone ciała. Spali i kochali się na przemian, całą noc. Ani razu nie pomyślał o Rotherhamie i pozostałych troskach. Myślał o Venetii. Tylko o niej. O tym, ile dla niego znaczyła.

Uśmiechnął się znowu i spojrzął na łożo. W przytłumionym zasłonami świetle zobaczył na białym prześcieradle ciemne smugi.

Zmarszczył brwi, zastanawiając się, co było ich przyczyną. Nie zważając na swoją nagość, podszedł do okna i rozsunął kotary, wpuszczając dzień do sypialni. Zbliżył się do posłania i serce podskoczyło mu w piersi. Wydawało się to niemożliwe, ale dowód miał przed własnymi oczami.

Pamiętał jej opór, jej jęk i skurcz ramion, kiedy się w nią zanurzył. Wziął ją pośpiesznie, namiętnie, nie zdając sobie sprawy z jej braku doświadczenia. Nigdy wcześniej nie posiadał dziewicy. Lecz w zimnym świetle poranka pojawił z całą jasnością, że wbrew pozorom i przekonaniom Venetia Fox weszła do jego łoża jako dziewica.

Pamiętał, co zaszło między nimi w jej salonie, kiedy wycofała się w ostatniej chwili. Wtedy uznał to za świadome i okrutne postępowanie - teraz rozumiał, że było inaczej. Czuł, że musi z nią porozmawiać. Przeciągnął palcami po włosach i wezwał dzwonkiem pokojowego.

Teatr był pusty i mroczny. Świeca prawie zgasła w przeciągu, kiedy Venetia otworzyła boczne drzwi i wpuściła do środka Roberta.

- Jak poszło? - zapytał w drodze do garderoby.

- Dość dobrze. - Venetia nie patrzyła na niego, żeby nie zdradzić mu więcej, niż chciała. Wprowadziła go do środka, postawiła świecę na toalecie i zamknęła drzwi.

- Znalazłaś to, czego szukamy? Zaprzeczyła.

- Nie ma ich, Robercie.

- Mam nadzieję, że niczego nie pominęłaś?

- Znalazłam jego sejf. Widziałam to, co ukrywa i co jest dla niego najcenniejsze. - Ciepło rozlało się w jej piersi, gdy przypomniała sobie, że to ona sama. - Nie było tam niczego związanego z Rotherhamem.

- Przejrzałaś książki?

- Biblioteka Linwooda jest oprawiona w tę samą skórę, co Rotherhama. I bardzo bogata. Nie znalazłam żadnej odróżniającej się książki.

- Szukanie igły w stogu siana. - Przeciągnął kciukiem po ustach i zagryzł zęby na paznokciu.

- Nie ma pistoletu. Sam powiedziałeś, co to znaczy. Jest niewinny.

- Brak dowodu nie jest dowodem jego braku. Mógł go ukryć gdzie indziej.

- Albo wcale.

Robert zamilkł, po czym zauważył:

- Nadal mamy jego wyznanie... - Spojrzał na nią sugestywnie.

- Nie, Robercie - odparła stanowczo, kręcąc energicznie głową.

- To wystarczy, żeby go aresztować. Dowiadywałem się w urzędzie.

- Nie pójdę składać zeznań.

- Mimo że przyznał się do spalenia domu naszego ojca?

- To nie znaczy, że go zabił - wykrzyknęła.

- Zapominasz, Venetio, o świadku, który widział go, jak opuszczał majątek w noc morderstwa. Jego zniknięcie jest dla Linwooda bardzo wygodne, nie uważasz?

- Świadek mógł się mylić. Albo miał inne powody, żeby go w to wplątać.

- To człowiek wiarygodny. Człowiek honoru. Godny zaufania. Nie ma wątpliwości, że widział Linwooda. - Robert pochylił się ku niej. - Mam wrażenie, że trochę za bardzo ci zależy na jego niewinności.

Odwróciła na chwilę wzrok, ale zmusiła się do spojrzenia mu znowu w oczy.

- Ani trochę - odparła.

- I wyglądasz, jakbyś się zmieniła, Venetio.



Jej serce na chwilę przestało bić, kiedy uświadomiła sobie, jak bardzo inną jest teraz kobietą. Przyglądał się jej uważnie.

- Musiałaś zrobić coś inaczej niż zwykle.
- Mam nową sukienkę i płaszcz. Od madame Boisseron.
- Eleganckie. Bardzo ci do twarzy.

Uśmiechnęła się blado, dziękując losowi, że w tym słabym świetle Robert nie może zobaczyć jej rumieńców.

- Rozumiem, że zdążyłaś się ulotnić na czas. Zbyt długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Venetio? - nalegał.
- Linwood wrócił wcześniej - przyznała. Nastąpiła chwila ciszy.
- Ale udało mi się... rozwiać jego podejrzenia - dodała, nie chcąc wyjawić bratu

prawdy.

Skinął głową.

- Domyśla się czegoś?
- Chyba nie. Uśmiechnął się.
- Nie wątpię, że ci się uda.

Venetia się nie uśmiechała. Jego słowa wzbudziły u niej niepokój. Czowała, że powinna mu powiedzieć, ale jej relacje z Linwoodem były zbyt osobiste i delikatne.

Wzięła świecę i podeszła do drzwi.

- Zrobiłam, co mogłam - rzekła. - Nie ma tego, czego szukasz. A ja nie chcę już dłużej brać w tym udziału.

- Jak sobie życzysz. Dobrze odegrałaś swoją rolę, Venetio. Linwood nie ma o niczym pojęcia. Przynosisz chlubę swojej profesji.

Jego słowa przeinaczały znaczenie tego, co zaszło między nią a Linwoodem, wywracały to na nice. Venetia poczuła mdłości.

- Wyjdź, zanim ktoś cię zauważy - powiedziała i chciała go zaprowadzić korytarem do drzwi.

- Jest jeszcze dość wcześnie - odparł. - Ulice są prawie puste. Tylko my tu jesteśmy.



- Ale pan Kemble zaraz się zjawi, tak jak obsługa sceny.
- To prawda.
- Nie powinniśmy się przez jakiś czas spotykać, Robercie.
- Może masz rację. Lepiej, żeby nasza znajomość się nie wydała.
- Nie przysłużyłoby się to ani mnie, ani tobie. - Zadrzała na tę myśl.
- Do widzenia, Venetio. I dziękuję. Skinęła głową.

Kluczem zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie plecami, słuchając oddalających się kroków. Czowała wielką ulgę. Układ z Robertem się zakończył. Jej brat był zdeterminowany i nic, co by powiedziała, nie mogło tego zmienić. Rozmowa całkiem ją rozstroiła. Wzięła głęboki wdech i zaczęła iść z powrotem do garderoby. Francis, pomyślała. Zastanawiała się, czy już się zbudził, czy widział krew na pościeli, a przede wszystkim - co mu powie, kiedy będzie ją pytał.

Rozłożyła swój kostium i przybory na drążku i toaletce. Usłyszała w korytarzu nikły odgłos. Zmarszczyła czoło. Nie wiedziała, czy to wrócił Robert, czy też przyszedł ktoś z teatru. Podniosła świecę, podeszła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz.

- Panie Kemble? - zapytała. Bez odpowiedzi.
- Czy ktoś tam jest? - zawołała.

Usłyszała tylko echo swojego głosu. Nikogo nie było, stała sama w mrocznym korytarzu. Zadrzała i zakpiła sobie z własnej nerwowości. Cieszyła się, że nie musi już uczestniczyć w sprawkach Roberta.

Skończyła przegląd kostiumu, zabrała scenariusz i wyszła bocznymi drzwiami, zamykając je starannie za sobą. Poranek rozkwitł już w pełni. W oddali dzwón kościelny obwieścił nadejście dziewiątej godziny. Na głównej ulicy turkotały koła wozów towarowych i dorożek, klekotały podkowy i trzaskały drzwi. Londyn się obudził. Venetia owinęła się szczelniej szalem i wspięła do powozu, który czekał na nią w zaułku. Nie wyglądała na zewnątrz. Jej wzrok ślizgał się po scenariuszu, ale myśli zaprzątnięte miała Linwoodem i niezwykłym doświadczeniem minionej nocy.

Nie zauważyła mrocznej postaci, która wyszła z cienia i ruszyła w przeciwnym kierunku.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Linwood wyglądał na ulicę z okna gabinetu. Niefrasobliwość poranka całkiem już minęła. Czuł zimne rozczarowanie i ogarniały go mdłości na myśl, że tak bardzo omylił się co do Venetii. Gra toczyła się jednak dalej. Znał ryzyko i podjął je, stawiając na szali swoje serce. Przegrał z prawdziwą mistrzynią. Zwiody go ładna twarzyczka i ponętne ciało, wciągnęła miłosna szermierka. Skupiła na sobie całą jego uwagę, aż zapomniał o swoich obowiązkach i uwierzył we wzajemność uczuć. Wierzył, że są ulepieni z tej samej gliny. Okazało się to takim samym złudzeniem, jak kobieta, którą zdawało mu się, że odkrył pod maską boskiej panny Fox. Zdawało mu się, że odróżnia jej grę od prawdy. Mylił się. Występ, jaki dała ostatniej nocy, omamił go całkowicie, choć przecież dość już o niej wiedział. Była wspaniałą aktorką, a on okazał się łatwowiernym głupcem.

W dziennym świetle krew na pościeli miała kolor szkarłatu. W powietrzu wciąż unosił się zapach jej perfum i miłości. Na białej poduszce leżał pojedynczy, długi czarny włos. Linwood łatwo mógł sobie przypomnieć satynowy dotyk jej skóry, słodczy oddechu i namiętność warg. Zacisnął zęby do bólu i uciekł do gabinetu. Tam jednak obraz nie wisiał prosto. Pod nim zaś był sejf zawierający wszystko, co jej pokazał. Ujawnił tajemnice swojego serca, by mogła je podeptać. Zastanawiał się gorzko, dlaczego nie opowiedziała Clandonowi wszystkiego.

Poprawił obraz, jakby mógł w ten sposób zmyć z niego dotyk Venetii, i popatrzył na regał z książkami. Dłuższą chwilę stał bez ruchu, bardziej samotny, cierpiący i wściekły niż kiedykolwiek wcześniej. Wydało mu się to absurdalne po tym, co wydarzyło się między jego rodziną a Rotherhamem. Wezwał służbę.

- Zmienić całą pościel. Przewietrzyć sypialnię i gabinet. Każde pomieszczenie, w którym była. Nie chcę tu widzieć żadnego śladu obecności panny Fox.

Powiedział to ze swoim zwykłym, nieprzeniknionym i poważnym wyrazem twarzy. Nie okazał żadnych emocji. Potem wziął swoją laskę z głową wilka i wyszedł. Musiał pomyśleć. O Venetii i o tym, jaką powinien przyjąć dalszą strategię postępowania.

- Lord Linwood pytał o panią. Powiedziałem mu, że jest pani w teatrze. - Albert się zawahał. - Mam nadzieję, że nie wynikło z tego nic złego. Bardzo pragnął panią widzieć, więc pomyślałem...

Starszy kamerdyner odchrząknął zakłopotany.

- Czy mówił, kiedy wróci?

- Nie, proszę pani.

Venetia czekała na wiadomość od niego przez cały dzień. Nasłuchiwała jego powozu, tętentu końskich kopyt, kołatania do drzwi. Nic się jednak nie stało. W miarę upływu dnia czysta radość topniała powoli w niepokoju. Nawet jeśli nie zauważył krwi, jeśli nie wiedział, Venetia spodziewała się, że będzie ją chciał zobaczyć równie mocno, jak ona jego. Zmusiła się do czytania scenariusza i przygotowywania do roli w pierwszym przedstawieniu *Rosiny*. Pośród nerwowości i podniecenia dnia premiery toczył ją tępy ból zmartwienia.

Przybył dopiero na dziesięć minut przed jej planowanym wyjściem do teatru. Szykowała się właśnie w salonie, kiedy wprowadził go kamerdyner.

- Francisie. - Uśmiechnęła się i podeszła do niego uspokojona. - Wybrałeś bardzo zły moment. Zaraz muszę iść...

Zamilkła, widząc wyraz jego twarzy. Bez jednego słowa zrozumiała, że wszystko się zmieniło. Zatrzymała się w pół kroku.

- Francisie?

- Nie byłeś ze mną szczerą, Venetio - powiedział tym samym surowym tonem, jakiego używał, gdy dopiero się poznali.

- Nie. - Venetia pokręciła głową. - Powinnam była ci powiedzieć, że jestem dziewczyną.

Był ponury i zły. Całkiem inaczej wyobrażała sobie to spotkanie.

- To też - odparł szorstko.

Czas zatrzymał się dla Venetii. Znieruchomiło serce, wstrzymał oddech, nic się nie poruszało. Istniało tylko przerażenie. Powoli zwróciła oczy na niego.

- Nie było cię, kiedy się obudziłem - dodał.

- Chciałam być dyskretna. Myślałam, że się spotkamy. Że porozmawiamy.

- Potem znalazłem krew na prześcieradle. Venetia przełknęła z trudem.

- Przyszedłem i dowiedziałem się, że znajdę cię w teatrze. Bardzo chciałem się z tobą zobaczyć. Musiałem wiedzieć, czy cię nie skrzywdziłem. - Roześmiał się drwiąco i pokręcił głową. - Poszedłem do teatru. Do bocznego wejścia, tak jak mi powiedziałaś.

Venetia zacisnęła powieki, czekając na to, co musiało nastąpić. Serce biło ciężko, niemal odbierając jej dech. Każde uderzenie tłoczyło więcej i więcej lodowatej trwogi w jej tętnice.

- Kiedy podszedłem do drzwi garderoby, usłyszałem męski głos. Głos Roberta Clandona.

Przyciskając palce do czoła, Venetia powtarzała w duchu: „Boże, nie! Proszę, nie!”.

- Temat rozmowy powstrzymał moją dłoń na klamce, Venetio.

Zaczerpnęła drżąc powietrza. Musiała stawić temu czoło, nie mogła uciec.

- Jak dużo usłyszałeś?

- Dość.

Zacisnęła usta. Czuła, jakby coś utkwilo jej w gardle. Usłyszała pukanie.

- Powóz czeka, proszę pani. - Albert popatrzył na Linwooda i na nią. - Proszę mi wybaczyć.

Wycofał się pospiesznie.

- Kim jest dla ciebie Clandon, Venetio?

Pokręciła głową. Ze wszystkich pytań na to jedno nie mogła odpowiedzieć. Nie jemu. Czuła, że gdy otworzy serce i wyjawi mu tajemnice przeszłości, wszystko będzie stracone. Czuła, że znienawidzi ją na zawsze, o ile to jeszcze nie nastąpiło.

- Nikim - skłamała.

- Nikim - powtórzył cicho. Na jego szorstkiej, szaleńczo przystojnej twarzy nie było śladu czułości, która rozjaśniała ją tej nocy. - Jest po prostu mężczyzną, z którym od początku spiskowałaś. Myślałem, że może jest twoim kochankiem, lecz teraz wiem, że to niemożliwe. Na czym zasadza się wasza relacja? Chodzi tylko o pieniądze?

- Wiedziałaś? - popatrzyła na niego w zalęknionym zdumieniu.

- Oczywiście, że wiedziałem. Wiedziałem od początku. Te wszystkie pytania o Rotherhama... - W jego oczach pojawił się wyraz straszego gniewu, choć twarz pozostała obojętna. - Clandon uważa, że zamordowałem jego ojca, więc podesłał mi ciebie, żebyś mnie usidliła.

Odwróciła wzrok. Nie mogła zaprzeczyć.

- Dlaczego więc podjąłeś grę?

- Z tego samego powodu co ty, Venetio.

Spojrzała na niego. Stała z dumnie uniesioną głową, choć miała wrażenie, że umiera.

- A ostatnia noc...? - zapytała.

- Właściwa puenta.

Te słowa przeszły jej serce jak sztylet. Spoliczkowała go, a odgłos uderzenia poniósł się w wielką ciszę.

Linwood nawet się nie skrzywił. Stał niewzruszony jak łąka, chłuszcząc ją spojrzeniem bardziej dotkliwie, niż mogłyby to zrobić jakiegokolwiek słowa.

Powietrze wokół nich prawie iskrzyło od napięcia.

- Clandon ma rację, jesteś świetną aktorką, Venetio. Ale warto było mieć cię w al-kowie i wziąć to, czego w całym Londynie nie potrafił zdobyć nikt inny.

- Wynoś się! - krzyknęła.

Patrzył jeszcze przez krótką chwilę na nią z ponurym wyrazem twarzy. Potem ukłonił się i odszedł.

Zegar wybił siódmą. Venetia się nie poruszyła. Stała cicho jak posąg, nie pamiętając o teatrze i *Rosinie*. Czekwała, aż jego kroki dotrą do drzwi wejściowych; czekała, aż drzwi zamkną się za nim. Łzy płynęły jej po policzkach.

Ukryła twarz w dłoniach i po raz pierwszy, odkąd była małą dziewczynką, szlochała, jakby zaraz miało jej pęknąć serce.

Gdy Linwood wyszedł z domu Venetii, otaczała go aura mroku. Pielęgnował swój gniew i otwierał się na kolejne fale wściekłości, ponieważ wiedział, że były jak bandaż kryjący świeżą, krwawiącą ranę. Słuchał echa swoich kroków, a zimny wiatr chłodził mu twarz.

Nie oglądał się za siebie.

Powtarzał sobie, kim Venetia naprawdę była.

Szedł coraz dalej i dalej, ale żadna odległość nie pozwalała mu uciec od prawdy, którą nosił w sercu. Drogę od niej do siebie znał tak dobrze, że nogi same go niosły. Ulica za ulicą. Mijał kobiety o zmęczonych oczach i mężczyzn, którzy na wszelki wypadek ustępowali mu z drogi. Był już w połowie, kiedy pojął, że zapomniał zabrać swoją laskę. Po części chciał iść dalej i posłać po nią służbę. Nie chciał mieć z Venetią więcej do czynienia. Nie mógł tego jednak uczynić.

Laska była symbolem jego pozycji w Bractwie Wilka. Przysięgał strzec jej swoim życiem i nigdy nie spuszczać z oczu. A był człowiekiem, który składane przysięgi traktował bardzo poważnie. Zatrzymał się i zawrócił.

Swąd dymu dotarł do jego nozdrzy, jeszcze zanim dotarł do King Street. Nie przykładając do tego wagi, aż zobaczył wielkie zamieszanie na ulicy. Na widok, który ukazał się jego oczom, jego serce zamarło. W głębi utworzyło się zbiegowisko. Z okna salonu Venetii dobywał się jaskrawy w ciemności nocy blask płomieni. Bez zastanowienia ruszył biegiem, co sił w nogach.

Zdarzenia potoczyły się błyskawicznie. Migotliwe światło stało się nagle huczącym pożarem, rozległ się brzęk pękającego szkła. Nim Linwood dotarł na miejsce, gęsty dym unosił się w niebo, a płomienie trzaskały jak na olbrzymim palenisku. Grupa służących o osmalonych twarzach patrzyła na pożar z przerażeniem w oczach. Lokaje i pokojówki pospołu krzyczeli, łkali i zawodzili. Sąsiedzi wylegli na ulicę w szlafrokach i pantoflach. Ktoś biegł z wiadrem, którego zawartość była jak kropla przy oceanie potrzebnym do ugaszenia szalejącego żywiołu. Linwood dostrzegł Alberta i dwóch znajomych lokajów, ale nigdzie nie widział Venetii.

- Venetio! - ryknął, ale w tumultcie nie usłyszał odpowiedzi.

Zbliżył się do Alberta i zobaczył w jego ręku swoją laskę.

- Panie, dzięki Bogu, że wróciłaś. Pani jest nadal w środku! - zawołał kamerdyner, wciskając Linwoodowi laskę w dłoń.

Podziękował zdawkowo, zmoczył chustkę w pobliskim wiadrze wody i zawiązał ją wokół twarzy. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież.



Wpadł do przedpokoju, który brały już w posiadanie płomienie. Balustrada też zaczynała się palić, ale Linwood Już biegł po schodach na górę. Niewiele widział w gęstym dymie. Oczy go piekły.

- Venetio! - próbował przekrzywić ryk ognia. - Venetio!

Ujrzał ją u szczytu schodów. Była jak postać z jego snu, blada i czarnowłosa, w szmaragdowej sukni na tle otaczających ją pomarańczowych płomieni. Kasłała. Cofnęła się przed dymem.

Za plecami Linwooda ogień ogarnął schody. Chwycił więc Venetię, przycisnął do piersi i skoczył razem z nią do sypialni. Zatrzasnął za sobą drzwi, zyskując dla nich kilka bezcennych chwil.

Była przerażona.

- Już po schodach - powiedział.

Wpatrywała się w niego.

- Nie ma innej drogi, Francisie. Jesteśmy w pułapce.

Spojrzał na okno.

- Za wysoko - rzuciła, widząc, gdzie patrzy.

- Nie, jeśli złagodzimy upadek.

Podniósł w górę ruchomą część okna, wpuszczając do środka chłodne powietrze. Ogień natychmiast zaczął się wdzierać przez drzwi. Linwood wyciągnął ostrze z laski i uciął sznur okiennej przeciwwagi. Okno spadło z trzaskiem, a on wyciągnął sznur z bloku. Żar stawał się nie do zniesienia.

Schował ostrze, zawiązał węzeł na końcu linki i obłożył pętlę na metalowym zamku okna. Dym gęstniał. Linwood rozbił okno wilczą głowicą laski, obtłukł najostrzejsze z tkwiących w ramie odłamków i przerzucił przez otwór sznur. Wyszedł tyłem przez rozbite okno z linką owiniętą wokół garści i stanął na parapecie. Wyciągnął rękę do Venetii, lecz ona się nie poruszyła.

- Sznur jest za krótki! - krzyknęła.

- Nie mamy wyboru, Venetio! Musisz mi zaufać!

Spojrzała przez ramię na płomienie liżące drzwi i znowu na niego.



- Proszę, Venetio! - rzekł, a ona podała mu rękę i pozwoliła się postawić na parapecie.

- Patrz na mnie, Venetio. Patrz tylko na mnie.

Przykuła wzrok do jego twarzy.

- Trzymaj się mnie z całych sił. Rękami za szyję, nogami wokół bioder.

Przycisnęła się do niego, a on zsunął się z parapetu. Linka naprężyła się, gdy zaczął przepuszczać ją przez dłonie. Była cztery metry za krótka. Linwood zeskoczył na ziemię, amortyzując upadek Venetii własnym ciałem.

Uniósł ją w ramionach i zabrał z dala od szalejącego pożaru na bezpieczną drogę, gdzie zebrał się tłum gapiów.

Przybyła straż ogniowa i utworzyła żywy łańcuch. Chlustano wodą na wszystkie strony, żeby w jakimkolwiek stopniu opanować płomienie.

Kiedy znaleźli się już w bezpiecznej odległości, Linwood opuścił Venetię na chodnik i przyklęknął obok. Twarz miała umazaną sadzą, włosy splątane, a szmaragdowa suknia była w wielu miejscach przypalona i porozdzierana. Spoglądała na niego tak, jakby wciąż wisiała na linie za oknem.

Wziął ją za rękę, a ona popatrzyła tam, gdzie sznur przeciął skórzane rękawiczki i jego dłoń. Gdy znowu spojrzała mu w oczy, po umorusanych policzkach pociekły jej łzy. Drżała.

Linwood zdjął płaszcz i otulił ją.

- Venetio - szepnął i odgarnął delikatnie włosy z jej twarzy.

- Bogu dzięki, Venetio! - Alice Sweetly podbiegła i padła przed nią na kolana. Razemy stanął obok. - Widzieliśmy łunę z mojej sypialni. Kiedy Razemy powiedział, że to twój dom, modliłam się, żeby się mylił. Przytuliła Venetię do piersi.

- Och, dzięki Bogu, że jesteś bezpieczna! Razemy popatrzył na koszulę Linwooda.

- Nic ci nie jest? - zapytał. Linwood skinął szybko głową. Alice mówiła dalej.

- Nie martw się, kochana. Wszystko będzie dobrze. Popatrzyła na Razemy'ego.

- Może u mnie zostać, prawda? Zaniesiesz ją do domu?

- Alice... - odrzekł łagodnie Razemy i położył jej dłoń na ramieniu, zerkając na Linwooda i próbując ją podnieść. Jednak to Linwood wstał pierwszy.

- Zaopiekujcie się nią - powiedział i odszedł w noc.

Następnego ranka Venetia i Alice siedziały przy śniadaniu w jadalni panny Sweetly. Wtem rozległo się kołatanie do frontowych drzwi.

- Dziennikarze chyba nie wiedzą jeszcze, że tu jesteś? - Alice zmarszczyła czoło.

Venetia westchnęła cicho i owinęła się ciasniej szlafrokiem.

- Prędzej czy później i tak by mnie znaleźli.

- Heston się ich pozbędzie. Wspaniale jest mieć od tego kamerdynera, prawda?

Venetia uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- Dobrze się wam układa z Razebyem.

- Tak - zgodziła się Alice. - Jestem szczęśliwa.

- I ja się cieszę, Alice.

Patrzyły i uśmiechały się do siebie.

- Dość już o mnie, Venetio. Mamy o czym myśleć. Po ostatniej nocy musimy...

Ktoś zapukał do drzwi jadalni i wszedł kamerdyner.

- Pan Clandon do panny Fox - oznajmił.

Venetię ogarnęła panika.

- Odeślij go. Panna Fox nie czuje się jeszcze na tyle dobrze, żeby przyjmować odwiedziny.

- Dżentelmen bardzo nalega, proszę pani. Mówi, że nie odejdzie od progu, póki nie zobaczy się z panną Fox.

- Poślij więc lokajów, żeby go odprowadzili...

- Nie - zaproponowała szybko Venetia. - Spotkam się z nim. Alice była zaskoczona.

- Jesteś przekonana?

- Tak.

- Wprowadź go zatem do salonu, Hestonie - poleciała i zwróciła się do Venetii: - Chcesz, żebym poszła z tobą?

- Dziękuję, ale nie ma potrzeby - odparła Venetia, kręcąc głową. - Poradzę sobie z panem Clandonem.

Zamilkła, widząc na twarzy Alice nieme pytanie.

- To... mój dawny przyjaciel - wyjaśniła.

- Och - odparła Alice, dając wyraźnie do zrozumienia, jaki rodzaj przyjaźni ma na myśli. - Nie miałam pojęcia.

Venetia spłoszyła na pomyłkę Alice. Nienawidziła tych wybiegów, oszustwa i nieszczerości. Nie umiała jednak powiedzieć przyjaciółce prawdy. Tak bardzo się spieszyła, by pozbyć się brata, że nawet nie przebrała się ze szlafroka.

Robert stał obok sofy z bladą i ściągniętą twarzą. Venetia zamknęła za sobą drzwi.

- Przyszedłem, jak tylko się dowiedziałem. - Przyjrzał się jej. - Musiałem wiedzieć, czy nic ci się nie stało.

- Nie powinieneś przychodzić, Robercie. Za dużo ryzykujesz.

- Niech cię szlag, Venetio! Mam siedzieć z założonymi rękami i udawać, że nic się nie stało, kiedy nawet nie wiem, jak się miewa moja własna siostra? Czy nie jest ranna? Niech to diabli! Przechodziłem obok twojego domu i widziałem, jak niewiele z niego zostało. Nawet nie wiesz, co czułem, widząc zgliszcza. Gdybyś wiedziała...

Odwrócił głowę, by opanować targające nim emocje.

- Wybacz, nie pomyślałam. - Zdała sobie sprawę, że wcale nie pomyślała o Robercie. Poczowała wyrzuty sumienia.

- Czy coś ci się stało? - zapytał z troską. Pokręciła głową.

- Naprawdę nic mi nie jest.

- Dzięki Bogu! - Wypuścił głośno powietrze, zamknął oczy i potarł skroń. Zauważyła drżenie jego palców i zrozumiała, jak bardzo się o nią martwił.

- Co, u diabła, robiłaś w domu, Venetio? Powinnaś była być w teatrze.

Zwlekąła z odpowiedzią. Nie chciała mówić, choć czuła, że powinna.

- Przyszedł do mnie Linwood.

- Był u ciebie? - Robert był wyraźnie wstrząśnięty. Przytaknęła.

- Pokłóciliśmy się. On wszystko wie, Robercie. Nie domyśliłam się, ale on wiedział cały czas.

Kiedy się kochaliśmy, pomyślała. Kiedy go kochałam, a on kochał mnie.

- O mnie też wie? - zapytał.

- Przejrzał nasz plan. Zbieranie informacji, uwiedzenie, usidlenie, jakkolwiek by to zwać. Nie wie tylko, że jesteś moim bratem. Myśli, że mi płacisz.

- Domyślił się? - Robert uniósł brwi. - Nic dziwnego, że nie znalazłaś pistoletu. Podejrzywał, że będziesz go szukała.

Przechadzał się po pokoju. Nagle popatrzył na nią.

- Powiedz, był u ciebie, kiedy zaczął się pożar? Venetia zaprzeczyła ruchem głowy.

- Wyszedł jakiś czas wcześniej.

- Mój Boże! - szepnął złowieszczo. - Podpalacz, który już jeden majątek ma na sumieniu. Który przyznał się przed tobą do tego strasznego czynu. Który złapał cię na przeszukiwaniu jego domu i z którym się kłóciłaś. Który wiedział, że chciałaś go uwieść, omamić...

Popatrzył na nią znacząco.

- Nie! To nie było tak.

- A więc jak?

Milczała. Wiedziała, że nie może wyjawić prawdziwej natury relacji z Linwoodem. Nie była pewna, czy nawet sama ją rozumie.

- Nie skrzywdziłby mnie.

- Dlaczego nie?

- Bo to on, ryzykując życie, ocalił mnie z płomieni. Dlaczego miałby to zrobić, skoro sam wywołał pożar?

- Może go widziano. Może myślał, że byłby podejrzany. Albo po prostu miał ochotę udawać bohatera. Nie wiem, Venetio. - Spuścił wzrok i potarł czoło. Mówił prawie do siebie. - Naprawdę nie sądziłem, że to może się tak skończyć.

Popatrzył na nią.

- Wiem, że tego nie chcesz, ale złożysz zeznania. Opowiesz o pożarze u naszego ojca... i u ciebie.

Venetia miała wrażenie, że serce zaraz wyrwie się jej z piersi.

- Nie!

- Tak, Venetio - nalegał. - Próbował cię zabić, do diaska! Co chcesz z tym zrobić? Czekać spokojnie, aż za drugim razem mu się uda? To już zaszło za daleko. Musi się skończyć. Straciłem przez tego bękarta ojca, nie pozwolę mu odebrać mi jeszcze ciebie!

Zamilkł na chwilę.

- Pójdiesz i wszystko opowiesz policji. Albo zrobię to ja.  
- Nie możesz! - zawołała z niedowierzaniem.  
- Wiesz, że to zrobię.  
- Wtedy wyjdzie na jaw wszystko o tobie, o mnie i Rotherhamie... i o mojej matce. Wszystko, co z takim trudem ukryłam.

- Jeśli to cena za twoje życie, to nie jest ona wysoka.  
- To mnie zniszczy!  
- Bynajmniej. Zabił Rotherhama. Nie będę czekał, aż zabije ciebie, Pójdiesz do władz jeszcze dziś, Venetio. Inaczej jutro pójde ja. - Przyglądał się jej przez chwilę. - Wiem, że nie chcesz, ale tak będzie najlepiej.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Venetia widziała w jego oczach upartą determinację, która była jego siłą. Skinął jej głową i wyszedł.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- W twoim salonie cuchnie sadzą i dymem. - Razeby nalał im obu brandy. - To błahostka, wiem, ale po wczorajszym przywołuje nie najlepsze wspomnienia.

- Wczorajsze ubranie wyrzuciłem - odparł Linwood. - Kąpałem się, myłem włosy, a i tak nie mogę się pozbyć z nozdrzy tego przekłętego smrodu.

Podobnie nie mógł pozbyć się z głowy myśli o Venetii. Wspominał ją wśród płomieni, czuł w ramionach i wciąż widział, jak na niego patrzyła.

Podziękował przyjacielowi i przyjął kieliszek.

- Spotkałeś się z nią tego ranka? Razeby zaprzeczył.

- Nie chciałem w tych okolicznościach zostawać u Alice na noc. - Łyknął brandy. - Później ją odwiedzę... Rozumiem, że wybierzesz się ze mną?

- Nie.

- Przekażę więc panie Fox, że odwiedzisz ją później.

- Nie odwiedzę ani teraz, ani później.

- Ale zdawało mi się...

- Rzeczywiście. Zapadło milczenie.

- Wybacz mi, Razeby. - Linwood popatrzył mu w oczy. - Ostatnio nie jestem najlepszym kompanem.

- To zrozumiałe, stary przyjacielu.

Linwood upił nieco z kieliszka.

- Panna Sweetly na pewno się nią zaopiekuje.

- Bez wątpienia - zgodził się Razeby. Skinął w stronę kilku dziennikarzy na chodniku przed domem Linwooda. - Od dawna tam są?

Linwood podążył za wzrokiem przyjaciela zaczerwienionymi wciąż oczami.

- Od świtu - odpowiedział.

- Myślą, że jest tu z tobą. Zacisnął zęby w milczeniu.

- Chyba nie spałeś za długo.

- Mam o czym myśleć - rzekł w końcu Linwood cicho. - Jak zawsze.

Venetia, liczył w duchu. Związek. Robert Clandon. Rotherham.

Czuł, że Razeby mu się przygląda, ale nie patrzył w jego stronę.

- Powinieneś trochę odpocząć - poradził Razeby.

- Jak znajdę sposób na ten bałagan.

Usiedli przy kominku, by dopić drinki, po czym Razeby zabrał się do wyjścia.

Linwood czuł, że powinien milczeć i dać mu odejść. Przyjaciel był już w połowie drogi, kiedy go zatrzymał.

- Razeby.

Markiz odwrócił się. Linwood wahał się jeszcze, nie chcąc zdradzić swoich uczuć.

- Powiesz mi, jak się miewa? - zapytał wreszcie.

Razeby skinął głową.

- Oczywiście - dodał cicho.

Linwood patrzył przez okno na odjazd przyjaciela. W pokoju było bardzo cicho. Słyszał tylko tykanie zegara. Nalał sobie jeszcze jedną brandy i podszedł do biblioteczki. Jego wzrok wędrował bez celu po grzbietach oprawnych w skórę, lecz w końcu zatrzymał się na jednym z nich.

Nie mógł żałować, że Rotherham nie żyje, niezależnie od dalszych konsekwencji. Spojrzał na malowidło, pomyślał o sejfie i o nocy miłości z Venetią. Tutaj nie umiał od-

dalić od siebie wspomnień. Zadzwoił i zażądał powozu, by pojechać do klubu U White'a.

- Venetio?

Podniosła wzrok znad buzującego w kominku ognia. Obok stała Alice, wpatrując się w nieruszony obiad na tacy.

- Nic nie zjadłaś - zafrasowała się.

- Nie mam apetytu.

Jej żołądek był zbyt ściśnięty ze strachu.

- Nie ruszyłaś się z miejsca, odkąd wyszedł Clandon. Venetia przełknęła i poprawiła szlafrok.

- Jestem trochę... zamyślona.

Linwood wiedział od początku. A to, w co wierzyła nocą w jego pokojach, wyraz jego oczu i mowa ciała - wszystko było złudzeniem. Odebrał jej wszystko, zaufanie, ciało i serce, wszystko dla dobrej puenty. Wciąż kręciło się jej od tego w głowie. Była zdruzgotana na myśl, że okazała się równie naiwna, jak jej matka. Pokochała mężczyznę, który żywił do niej tylko pogardę.

- To zrozumiałe, skoro dopiero co otarłaś się o śmierć. - Alice usiadła na sofie obok przyjaciółki.

Nie to jednak zamieniło Venetię w głaz.

Próbował cię zabić, do diaska! - zacisnęła powieki, słysząc ponownie szept słów Roberta. Co innego widziała w jego oczach, gdy ratował ją z płomieni. To spojrzenie pamiętała jak żywe, na samo wspomnienie bolało ją serce.

Nie powiedział ani słowa. Opuścił ją tylko na ziemię i odszedł.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. - Alice wzięła dłoń Venetii. - Zimna jak lód. To wstrząs po wczorajszych przeżyciach. Przyszłam ci powiedzieć, że chce z tobą rozmawiać funkcjonariusz z Bow Street. Powiem mu, żeby przyszedł jutro, jak czujesz się lepiej.

Alice poruszyła się, by wstać.

- Zaczekaj, proszę. - Venetia położyła jej dłoń na ramieniu. Wiedziała, że jeśli nie ona, rozmówi się z nimi Robert. I rozumiała tego konsekwencje.



- Zaczekam - zgodziła się spokojnie Alice i usadowiła się obok niej.

Wszyscy poznają jej tajemnice. Wszyscy będą wiedzieli, kim jest naprawdę. Pamiętała wyraz oczu Linwooda, kiedy przyznał się do podpalenia, i słyszała jego przepętniony nienawiścią głos, gdy mówił o Rotherhamie. Wiedział, że chce go oszukać. O, Boże! - przebiegło jej przez głowę. Nie było mowy o innej decyzji.

Robert miał rację, myślała. Linwood był winny, a wszyscy, którzy ją przed nim ostrzegali, nie mylili się. Był niebezpieczny. Mimo to jeszcze się wahała.

- Venetio, nadchodzi noc - rzekła cicho Alice.

Venetia miała wrażenie, że dla niej też nadchodzi. Jej czas się kończył.

Linwood był następnego dnia U White'a z Razeby, kiedy do środka weszli funkcjonariusze z Bow Street. Nim jeszcze na niego spojrzeli, wiedział, że przyszli po niego.

- Nareszcie - mruknął i poczuł ulgę. Sprawa miała się ku końcowi. Skończy się dochodzenie i pytania.

- Lordzie Linwood, aresztujemy cię za morderstwo jego miłości księcia Rotherham.

Dopił brandy z kieliszka i wstał.

- Nie możecie tu sobie wchodzić i... - zaczął protestować Razeby, ale Linwood go powstrzymał.

- Nie ma potrzeby - powiedział. - Ci panowie mają pracę do wykonania.

Nie opierał się.

- Linwood? - szepnął Razeby, wstrząśnięty. Rozmowy ucichły. Wszyscy goście klubu wstali i patrzyli, jak jest prowadzony do więźniarki.

Na zewnątrz też powstało niewielkie zbiegowisko. Drzwiczki więziennego powozu zostały otwarte, a Linwood siedział na drewnianej ławie, jak pospolity przestępca. Na podłodze leżała rozrzucona mokra i brudna słoma. Drzwiczki zatrzaśnięto, w zamku ze zgrzytem przekręcił się klucz.

- Francisie! - usłyszał znajomy, przestraszony głos ojca.

Odwrócił się. W zakratowanym okienku zobaczył jego bladą jak płótno twarz.

- Synu? - szepnął hrabia.

Kiedy Linwood patrzył w oczy ojca, tak podobne do jego własnych, zobaczył w nich zrozumienie.

Cały następny dzień Venetia zachowywała się jak automat. Życie toczyło się jedynie wokół niej. Ktoś o imieniu

Venetia Fox mieszkała razem z Alice, ale nie miała wrażenia, żeby była to ona sama. Venetia Fox jest bezpieczna, przekonywała się. Nic nie zagraża jej reputacji i nikt nie dybie na jej życie. Choć jednak starała się w to wierzyć, nie czuła się od tego lepiej. Doskwierał jej dotkliwy chłód, którego w żaden sposób nie mogła odegnąć. Żołądek miała cały czas ściśnięty. W łóżku spędzała bezsenne noce. Jadła, a jedzenie zamieniało się w jej ustach w trociny. Nie tknęła książek i magazynów mody, zostawionych dla niej przez Alice na stole. Do późnego wieczoru wpatrywała się w ogień na kominku i bez końca myślała o Linwoodzie.

Alice zaprowadziła ją do madame Boisseron i namawiała do skompletowania nowej garderoby, ale nawet najprzedniejsze jedwabie zamieniały się na niej w worki pokutne. Venetia zgadzała się na wszystkie sugestie przyjaciółki i projektantki. Kiedy madame Boisseron zaprowadziła ją przed lustro i przyłożyła zieloną tkaninę do jej twarzy, nie mogła nawet na siebie spojrzeć.

Mijające dni zlewały się w jedno. Venetia nie miała pojęcia, czy minęło ich wiele, czy zaledwie kilka od aresztowania Linwooda. Przesiadywała na piętrze, na sofie w pokoju dziennym, pozwalając stygnąć podawanej herbacie.

- Ciągłe czekają - powiedziała Alice spod okna. Popijała herbatę i wyglądała na tłum dziennikarzy przed domem.

- Tak? - zapytała Venetia bez cienia zainteresowania. Jej głos brzmiał spokojnie, beznamiętnie. Nie odwróciła wzroku od ognia w kominku.

- To idiotyczne! Te sępy powinny już dawno się znudzić i wrócić do domowych pieleszy.

Venetia milczała.

Alice podeszła do niej, zatrzymując wzrok na prawie nietkniętej filiżance herbaty i gazecie na wierzchu sterty. Wielki nagłówek na pierwszej stronie ilustrowany był por-

tretem Venetii. Alice postawiła filiżankę na stole i cisnęła gazetę w ogień. Usiadła obok przyjaciółki.

- Razeby nie powinien był tego tu zostawić.

Venetia nie musiała czytać nagłówka, żeby znać jego treść. Czytała go już setki razy, rozdrapując niezamykającą się ranę.

„Morderca, lord Linwood, schwytany dzięki wyznaniu kochanki, boskiej panny Fox”.

- Próbowałam cię przed nim ostrzec. - Alice nie chełpiła się, w jej głosie brzmiała tylko troska.

- Ostrzegłaś. - Venetia nie patrzyła na przyjaciółkę.

- Naprawdę przyznał ci się do podpalenia domu Rotherhama? Po tylu latach?

Venetia skinęła, nie odwracając wzroku od czerniejącej, zwijającej się w płomieniach gazety. Nie miało to znaczenia - wystarczyłoby Venetii ołówek, żeby odtworzyć co do słowa, co do litery cały artykuł.

- Piszą w gazetach, że twój dom też to on podpałił. Venetia nie odpowiedziała.

- Postąpiłaś słusznie, Venetio.

- Naprawdę? - szepnęła.

- Oczywiście, że tak.

- Więc dlaczego tak źle się z tym czuję? - Z gazety zostały już tylko płatki popiołu, ale nadal się w nie wpatrywała. Alice nie spuszczała przyjaciółki z oczu. - A gdyby chodziło o Razeby'ego, zeznawałabyś?

- Nie wiem - przyznała Alice. - Ze mną i Razeby'm jest zupełnie inaczej.

- Może wcale nie tak bardzo, jak ci się zdaje - szepnęła Venetia.

Ciszę przesywano tylko tykanie zegara.

- Ale to nieprawda, co piszą, że jesteś jego kochanką... Prawda?

Venetia zaśmiała się krótko. Ironia prawdy spotęgowała ból.

- Nie. Nie jestem jego kochanką. - odparła.

- I nie spędziłaś z nim nocy? Chwila ciszy.

- Spędziłam.

- Spałaś z nim? - zapytała Alice z niedowierzaniem. - Ale myślałam...

Venetia po raz pierwszy spojrzała na przyjaciółkę.

- Ja go kocham, Alice.

Alice patrzyła na nią z otwartymi ustami.

- Ale nie możesz! Nie po tym wszystkim, co zrobił! Chciał cię zabić, na miłość boską!

Venetia przełknęła z trudem. Ścisk w gardle nie ustąpił. Znowu popatrzyła w ogień.

- Przepraszam. Nie przypuszczałam... - szepnęła Alice z bólem i współczuciem. - Jego, ze wszystkich mężczyzn...

- Matka mówiła mi kiedyś, że nie wybieramy sobie miłości. Miała rację.

Alice wzięła ją za rękę. Zegar tykał niestrudzenie, wokół życie toczyło się jak zawsze.

- Gdybyś tylko знаła całą prawdę, Alice...

- Och, Venetio - szepnęła i przytuliła ją do siebie. - Tak strasznie mi przykro.

Venetia zamknęła oczy i oddaliła od siebie myśli. Popatrzyła na przyjaciółkę.

- Jutro wracam do pracy.

- To za wcześnie.

- Potrzebuję tego, Alice. Nie mogę się bez końca ukrywać. Teatr, aktorstwo - mam już tylko to. Jak inaczej mogłabym przetrwać?

- Mogę ci pożyczyć...

Venetia potrząsnęła głową. Nie mówiła o pieniądzach.

- Poszukam też nowego domu. Nie jest wam tu ze mną łatwo, tobie i Razeby'emu.

- Razeby rozumie. Jest dobrym człowiekiem. Nie ma pośpiechu.

- Dziękuję, Alice. Jesteś dobrą przyjaciółką.

Obie wiedziały, że Venetia wyprowadzi się przy pierwszej okazji.

- Odwiedziny, wasza lordowska mość! - zawołał strażnik. Klucz zazgrzytał w zamku i otworzono drzwi celi w więzieniu Newgate.

Linwood czekał wyprostowany. Do środka nie wprowadzono jednak jego ojca, lecz siostrę i jej męża.

- Oszalałeś, że ją tu przyprowadzasz? - warknął na szwagra, Rafea Knighta.

- Nie gniewaj się na niego, Francisie - poprosiła Marianne, stając przed nim. - Zagroziłam, że przyjdę tu sama, jeśli mnie nie przyprowadzi. I zrobiłabym to.

Linwood westchnął ciężko.

- Odkąd wyszłaś za mąż, jesteś coraz bardziej uparta.

- Masz rację. - Uśmiechnęła się, ale nie był to wesoły uśmiech. - Och, Francisie!

Objęła go i przytuliła mocno, przyciskając twarz do jego piersi.

Linwood poklepał ją po plecach i stał zakłopotany, póki nie wypuściła go z uścisku. Rozejrzała się po celi, pryczy z ciemną narzutą, miednicy, komodzie i małym stoliku z jednym krzesłem. Wszystkie sprzęty były nowe.

- Papa to sprowadził? - zapytała. Skinął głową.

- Dobrze cię karmią?

- Ojciec o wszystko dba.

- Masz świece? Książki do czytania? Mogę ci przynieść...

- Dziękuję, Marianne, ale naprawdę niczego mi nie trzeba.

Kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- Jeśli coś ci przyjdzie na myśl...

- Poproszę.

Marianne udawała nieporuszoną, widząc go tutaj, ale Linwood wiedział, że jest inaczej.

Zapadła cisza, ciężka od wszystkich myśli, których nie mogli wypowiedzieć.

- Chciałabym... - głos jej się załamał. Przygryzła wargę, powstrzymując łzy.

- Rotherham nie żyje, Marianne. To, co było wcześniej, już się nie powtórzy.

Popatrzył na Knighta. W jego surowej twarzy dostrzegł cień wdzięczności i ulgi.

- Ale to za wysoka cena - powiedziała, patrząc mu w oczy.

- Może. I tak niczego nie żałuję.

- Francisie - szepnęła, a łzy popłynęły jej cicho po policzkach.

Uśmiechnął się do niej, wiedząc, jak wiele przeszła ostatnimi laty.

- Pytałaś, czy możesz coś dla mnie zrobić.

- Co tylko chcesz.

- Nie przychodź tu więcej. Zamknęła oczy i zaszlochała cicho.

- Proszę, Francisie - szepnęła.
- Obiecuj mi, siostrzyczko. Kiwnęła z trudem głową.
- Jeśli naprawdę tego chcesz, obiecuję.

Knight otoczył ją ramieniem i skierował do drzwi.

- Chodź, Marianne.

Nie powstrzymywała już płaczu. Mężczyźni spojrzeli sobie w oczy. Rafe skłonił głowę w geście uznania i wdzięczności.

- Będę się nią opiekował. Zawsze. Linwood skinął szybko głową.

- Nikt nie potrafi tego lepiej od ciebie - odparł pewnie. Ta wiedza dawała mu siłę, nawet teraz. Nawet, kiedy okute żelazem drzwi zatrzasnęły się znowu, i znowu został sam.

Tego popołudnia w teatrze Venetia przyglądała się próbie z jej dublerką w głównej roli. Pan Kemble rozprawiał o wypowiedzianych kwestiach, roli, publiczności i wszystkim, co było wcześniej istotą jej życia. To, co dotąd było dla niej tak ważne, okazało się prawie bez znaczenia. Czuła się pusta, trywialna, obca.

- Venetio?

Zamrugła i zdała sobie sprawę, że pan Kemble mówił do niej.

- Panie Kemble? - zapytała jak duch tej pewnej siebie kobiety, którą była dawniej.

- Na pewno powinnaś tu być?

- A gdzie indziej bym mogła? - Odkąd sięgała pamięcią, ten teatr był dla niej jak dom i rodzina. Gdyby stąd odeszła, bała się myśleć, gdzie by się znalazła i co robiła. Bała się tego przez całe życie.

- Dublerka zagra za ciebie.

- Przeciwnie, ja zagram, panie Kemble. - Musiała. Tym właśnie się zajmowała, taka była. Nic innego już jej nie pozostało.

- Miło mi to słyszeć. - Pan Kemble uśmiechnął się i zniżył głos. - Z panną Bolton w głównej roli widownia świeciła pustkami. Wiesz, że oni przychodzą tu dla ciebie.

Venetia nie odpowiedziała.

- Rozpowiem, że w piątkowy wieczór wracasz na scenę. Potwierdziła skinieniem.

- Mamy opóźnienie w dzisiejszej próbie. Idź do domu, Venetio. Odpocznij.

Do domu, powtórzyła w duchu. Jej dom przestał istnieć.

- Chcę, żebyś była w piątek w formie - dodał i pospieszył porozmawiać z dublerką, panną Bolton.

Nic z tego jej nie dotyczyło. Venetia stała z boku, zapomniana. Odwróciła się powoli i odeszła.

W drodze do Alice patrzyła przez okno na dwoje zakochanych. Po ubiorze znać było ich ubóstwo, ale szli obok siebie z nieśmiałą tęsknotą i wyczekiwaniem, radosnym podnieceniem i wielkim uczuciem na twarzach. Venetia odwróciła wzrok, ale w drugim oknie pojawił się w kabrioletcie Hawick z młodą, piękną i uszczęśliwioną kobietą. Wspomniała wieczór, gdy Linwood ocalił ją przed zakusami księcia, i poczuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

Na miejscu zdjęła w salonie rękawiczki i rozwiązała czepek. Jej przyjaciółka stała przy kominku w ramionach Razeby'ego. Kiedy ją zauważyli, natychmiast odskoczyli od siebie.

- Wybaczcie - powiedziała nieśmiało, rumieniąc się. - Nie wiedziałam...

- Zaczekaj, Venetio - próbowała ją zatrzymać Alice, ale Venetia już umykała z pokoju. - Razeby widział się z Linwoodem w Newgate!

Venetia zamarła bez ruchu. Nie umiała się powstrzymać i odwróciła z wolna. Chciała przybrać obojętną minę, ale kiedy spojrzała Razeby'emu w oczy, jej serce zabiło potężnie. Była pewna, że słyszą je wszyscy troje.

- Jak się miewa?

- Jak najlepiej, w tych okolicznościach.

Spuściła wzrok i patrzyła na arabski tureckiego dywanu, złote i niebieskie. Nic więcej nie miała do powiedzenia. W ciszy kawałek węgla trzasnął i zasyczał w kominku.

- Panno Fox - powiedział Razeby. Podniosła oczy.

- Zaprzecza podpaleniu pani domu, ale nie powie słowa, żeby oddalić zarzuty. - Razeby zamilkł. - Nie będzie się bronił przed oskarżeniem o zamordowanie Rotherhama.

- Niech mu Bóg dopomoże! Powiesz go! - Venetia zamknęła oczy i przycisnęła dłoń do ust. Przestraszyła się swojej reakcji. Zimny strach przetoczył się drżeniem przez jej ciało.



Dostrzegła wymianę spojrzeń między Alice i Rzebym.

- Venetio... - rzekła Alice.

- Wybaczcie.

Alice próbowała za nią iść, ale Venetia powstrzymała ją gestem i wybiegła.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Znaleźli zaginiony pistolet Rotherhama, Francisie.

Ojciec siedział naprzeciwko Linwooda przy stoliku.

- W mule nad Tamizą - dodał. Czoło miał pobrużdżone od zmartwień. Wyglądał starzej i mizerniej, niż gdy Linwood widział go ostatnio. Miał podkrążone oczy, jakby od dawna nie spał. - Jest przeciwko tobie coraz więcej dowodów.

Nie odpowiedział.

- Nasze gazety podchodzą do tematu z delikatnością, ale pozostałe... możesz sobie wyobrazić.

- Mogę - przyznał.

Po krótkiej chwili ojciec podjął:

- Rozmawiałem ze wszystkimi, którzy mogą mieć wpływ na przebieg procesu, powołałem się na każdą przysługę, ale...

- Rotherham był księciem. Żadne pieniądze i koneksje nie pozwolą ujść mordercy księcia karzącej ręce sprawiedliwości. Chodzi o dobry przykład. Złoczyńcę trzeba osądzić.

- Jest jeden sposób - rzekł hrabia, patrząc na syna. - Zeznania panny Fox są najistotniejsze. Pozostałe dowody można oddalić, ale nie to. Jeśliby zniknęła...

- Ani się waż jej tknąć!

- Mam na myśli pieniądze, przekupienie jej. Zawsze myślisz o mnie jak najgorzej.

- Ciekawe dlaczego.

Ojciec niespokojnie odwrócił wzrok.

- Oddam jej ostatniego pensa, jeśli będzie trzeba.

- Ostrzegam cię. Trzymaj się od niej z daleka.

- Naprawdę myślisz, że spokojnie dam cię powiesić przez tę dziwkę?

- Nie jest dziwką, cokolwiek byś sobie myślał. A jeśli zawisnę... są sprawy, za które warto umrzeć. Prawda?

Ojciec zamknął oczy i potarł czoło.

- Po coś jej mówił, u diabła?

- Graliśmy w niebezpieczną grę z panną Fox. Zaryzykowałem i przegrałem.

- Nie myśl, że obchodzi ją twój los. Jutro wraca do Covent Garden. Bilety sprzedawano za podwójną cenę, a nie ma już ani jednego.

- Obiecuj mi, że będzie bezpieczna.

- Nie zrobię jej krzywdy - odparł ojciec.

- Przysięgnij na życie Marianne.

W oczach hrabiego pojawił się wyraz bólu, nim opuścił na nie powieki.

- Przysięgam - powiedział z rezygnacją. Dopiero to przekonało Linwooda o bezpieczeństwie Venetii.

Przyglądali się sobie nad stołem.

- Cienie przeszłości wracają, by mnie nękać - rzekł hrabia. - Najpierw moja córka, a teraz syn.

Zapadło milczenie.

- To ja powinienem był zabić Rotherhama - dodał. Linwood uparcie milczał.

- Tylu rzeczy nigdy ci nie powiedziałem, Francisie. Tylu żałuję. Tego, jak cię traktowałem przez te wszystkie lata. Mój ojciec wychował mnie twardą ręką. A ja to samo uczyniłem tobie. Myślałem, że robię właściwie. Myślałem, że będziesz dzięki temu silniejszy, lepiej sobie poradzisz w życiu. Ale byłem okrutny, zbyt krytyczny. Przepraszam cię.

Linwood podniósł wzrok na ojca. Milczał.

- Popełniłem wiele błędów, Francisie. Byłem samolubny, bezlitosny i bezwzględny. Ale oddałbym życie, żeby oszczędzić bólu Marianne... i tobie. Nie mogę zmienić tego, co się wydarzyło z Rotherhamem. Ale wiedz, że cię kocham i że zawsze byłem z ciebie dumny. Już dawno powinienem był ci to wyznać.

Znowu zapadła między nimi cisza. Misbourne wyciągnął rękę i poklepał Linwooda po ramieniu.

- Synu. - Skinął poważnie głową i wstał. - Jutro rano znowu cię odwiedzę, a potem każdego ranka, aż do procesu.

Podszedł do drzwi celi i zapukał, by go wypuszczono.

- Dziękuję ci - szepnął Linwood. I nic więcej nie powiedział.

Następnego ranka Alice i Venetia siedziały naprzeciwko siebie przy śniadaniu. Spod szlafroka Alice wyglądał śliczny, różowy peniuar, ale nogi miała pod spódnicą całkiem nagie. Venetia miała na sobie nową gołębią sukienkę, włosy związane, a twarz pustą. Kamerdyner postawił na stole przed Venetią dużą srebrną tacę, na której piętrzyły się zaadresowane do niej listy.

- Odłóż je na bok. Przeczytasz, jak poczujesz się lepiej. - Alice patrzyła na przyjaciółkę z troską.

- Powinnam zająć się tym teraz. Nic mi nie jest, naprawdę, czuję się dobrze.

- Ale nie wyglądasz dobrze. Jakbyś od wielu dni nie spała. Venetia uśmiechnęła się nieszczęśliwym uśmiechem.

Wpatrywała się w filiżankę kawy.

- Nie mogę przestać o nim myśleć.

- Nic dziwnego po tym, przez co przeszłaś. Ale bez wątpienia postąpiłaś słusznie.

- Bez wątpienia? - Venetia popatrzyła na przyjaciółkę. - Nie będzie się bronił. Bez obrony nie uniknie skazania. Zostanie powieszony. Dlaczego to robi? To bez sensu.

Alice wzruszyła ramionami.

- Może dręczyło go sumienie i postanowił poddać się karze? Może nie potrafi się głośno przyznać.

- Nie mogę pozbyć się poczucia, że coś mi umknęło, że źle to wszystko rozumiem. Dręczy mnie to dniami i nocami. - Venetia spuściła wzrok. - To i poczucie winy.

- Nie masz powodu czuć się winna.

- Nie? Moja rola w całej sprawie jest na oczach i ustach całego Londynu. To ja opowiedziałam policji, co mi wyznał. I wszystko inne.

- Próbował cię zabić! Nie miałaś innego wyjścia!

Venetia pokręciła głową i raz jeszcze wspomniała wyraz jego oczu, kiedy uratował ją z pożaru. Nie tak wyglądałby człowiek, który chciałby ją zabić. W jego oczach widziała odbicie tego, co sama czuła w głębi serca - ból, niedowierzanie i miłość.

- A jeśli... - powiedziała powoli i niepewnie, myśląc o wątpliwości, która narastała w niej bezsennymi nocami. - A jeśli on jest niewinny?

Alice zamilkła oszołomiona.

- Jak może być niewinny? Jest winny jak sam grzech! Z każdym dniem pojawiają się kolejne dowody przeciwko niemu. Niewinny człowiek zaprzecza! Gdyby był niewinny, z ręką na sercu powiedziałaby, że nie zabił Rotherhama. A on milczy.

W odwrotnej sytuacji Venetia mówiłaby przyjaciółce dokładnie to samo. To był rozsądny pogląd, podzielany przez cały Londyn. Ale Londyn nie znał go tak dobrze, jak ona.

- Musi być winny - starała siebie przekonać, ale bezskutecznie.

Przeglądała korespondencję bez otwierania. Wiedziała, że to propozycje publikacji jej wersji wydarzeń w różnych czasopismach. Oraz oferty panów, którzy chcieli ją mieć za kochankę. Jeden z listów wydał się jej inny. W prawym górnym rogu koperty znajdował się znak pozwalający na doręczenie bez opłaty. Wyciągnęła ją spośród pozostałych i odwróciła, żeby przełamać pieczęć. Zobaczyła adres nadawcy: Sąd Kryminalny Old Bailey.

Drżącymi palcami przełamała pieczęć i wyjęła dokument. Słowa, które przeczytała, sprawiły jej niemal fizyczny ból.

- Co się stało, Venetio? Zbladłaś jak kreda.

- Ustalono datę procesu. Odbędzie się za dwa tygodnie - powiedziała zmartwiałymi wargami.

- Lepiej, żebyś to miała jak najszybciej za sobą.

- Mam się stawić jako główny świadek oskarżenia. Kartka w jej dłoni zaczęła drżeć. Położyła ją na stole.

- Nie możesz tego uniknąć - rzekła Alice.

Będzie musiała stanąć naprzeciwko niego na sali sądowej i wypowiadać słowa, które wyślą go na stryczek. Venetia zamknęła oczy.

- Wiesz o tym, prawda, Venetio?

- Tak. Wiem - rzekła głucho. Ogarnął ją chłód, a ból w piersi prawie uniemożliwił oddychanie.

Przełknęła z trudem i spojrzała znowu na list. Złożyła go spokojnie, jakby w pełni nad sobą panowała. Podniosła się.

- Nic nie zjadłaś - zaprotestowała Alice.

- Muszę być w teatrze. Tam coś zjem.

- Bilety na dzisiejsze przedstawienie sprzedały się w ciągu jednej godziny - przyjaciółka zmieniła temat.

- Tak słyszałam. Venetia podeszła do drzwi.

- Venetio?

Zatrzymała się i zerknęła na Alice.

- Dasz sobie radę? Zmusiła się do uśmiechu.

- Nic mi nie będzie - uspokoiła ją. - Jak zawsze, prawda? Alice skinęła głową.

Venetia rzuciła się w teatrze w wir przygotowań, zmusiła do skupienia na sztuce, scenariuszu, wszystkim, byle nie myśleć o Linwoodzie. Stała się Rosiną i było to łatwiejsze niż pozostanie Venetią. Panowało wielkie zamieszanie i pospieszna krzątanina, wszyscy biegali za sprawami. Jak w każdy wieczór przed przedstawieniem, tylko dużo gwałtowniej, bo wszystkie miejsca miały być zajęte, a wszystkie oczy miały wpatrywać się w Venetię. Dziennikarze na wyścigi będą pisać recenzje i nowinki o odtwórczyni głównej roli. Nawet chętnie w tym uczestniczyła i dawała się pochłonać działaniu. Znała ten świat i dobrze się w nim czuła.

Cały dzień czuła się dobrze, nie przeszkadzało jej przebieranie się w staroświecką suknię Rosiny i ciasny gorset, podkreślający linię talii. Nie przeszkadzało wyplątywanie z włosów pasków materiału, dzięki którym opadały w lśniących lokach na jej ramiona, ani nakładanie makijażu na twarz, a różu na policzki i usta.

Zaledwie na kwadrans przed podniesieniem kurtyny została sama, by odetchnąć i skoncentrować się na czekającym ją występie. W samotności nie mogła udawać, że nie nawiedza jej widmo Linwooda. Siedząc spokojnie i bez ruchu przy toalecie, czuła wyraźnie ból, który nie opuścił jej od rozmowy z funkcjonariuszem z Bow Street. Nie od-

ważyla się spojrzeć w zwierciadło, przeglądała tylko swoje uwagi do roli i usiłowała się bezskutecznie skupić na przedstawieniu.

Wtem dobiegł ją z korytarza odgłos szybkich, lekkich kroków. Venetia podniosła wzrok na czas, żeby zobaczyć, jak do środka wpada drobna, zakapturzona postać. Przybyła ściągnęła kaptur. Była to siostra Francisa, lady Marianne. Oczy dziewczyny błyszczały dziko, policzki były tak różowe jak usta. Fryzurę miała w nieładzie, niektóre kosmyki wymknęły się szpilkom i opadały jej na twarz.

- Panno Fox, jakże musi być pani teraz szczęśliwa! - Biła od niej gorąca wściekłość. - Twoje imię jest na ustach wszystkich, w nagłówkach każdej gazety! Wypełniłaś cały teatr!

Venetia wstała. Była prawie o głowę wyższa od Marianne.

- Rozumiem, że jesteś zdenerwowana, lady Marianne, ale powinnaś wyjść.

- Dlaczego? Bo prawda cię kole w oczy?

- Nie powinni cię tu ze mną zobaczyć. To nie byłoby dla ciebie korzystne. A ja muszę zaraz wyjść na scenę.

- I tylko to się liczy, tak?

- Przykro mi z powodu twojego brata, naprawdę. - Słowa zabrzmiały sztucznie nawet w uszach jej samej.

- Przykro? - Lady Marianne patrzyła na nią, jakby ujrzała wcielenie diabła. - Jak może ci być przykro, skoro sama posyłasz go na śmierć?

Venetia nie przypuszczała, że siostra Linwooda jest zdolna do takiej gwałtowności. Prawda rozdarła kokon pozorów, w które Venetia się owinęła, by przetrwać ten dzień.

- Jak mogłaś to zrobić? - krzyczała. - Byłaś jego kochanką! Dzieliłaś z nim łóżko!

- Lady Marianne...

- Obiecałaś, że go nie skrzywdzisz! Myślałam, że go kochasz, taka byłam głupia...

A ty dbasz tylko o siebie!

Venetia wstrzymała oddech.

- Podpalił mój dom - powiedziała, próbując tłumaczyć. - Kłamał...

- Nigdy! - Marianne podeszła bliżej. Drżała od strasznych emocji. - Mój brat nigdy by cię nie skrzywdził! I prędzej zamilknie, niż powie kłamstwo! Chodziło mu tylko o to...

- Marianne! - W drzwiach pojawił się wysoki, ciemnowłosy Rafe Knight. W następnej chwili trzymał już żonę w ramionach i odciągał od Venetii. Spojrzał Marianne w oczy.

- Nie w ten sposób - powiedział cicho. Patrzył na żonę z uczuciem i opiekuńczością, które zdolne by były zetrzeć w proch wszystko na swej drodze.

Lady Marianne dyszała ciężko, ale uspokajała się powoli. Skinęła lekko głową.

Knight zwrócił spojrzenie na Venetię. Struchlała na widok nieprzejednanej surowości tych dwojga.

- Proszę w imieniu żony o wybaczenie, panno Fox. Bardzo cierpi z powodu sytuacji, w jakiej znalazł się jej brat.

- Knight mówił dość łagodnie i uprzejmie, ale Venetia nie wątpiła, że w jego słowach kryje się ostrzeżenie.

- Oczywiście - odparła.

Patrzył lodowato jeszcze przez chwilę, a następnie naciągnął żonie kaptur na głowę, by jej nie rozpoznano, i wyprowadził z garderoby.

Drzwi się zamknęły, ale Venetia nadal patrzyła za Marianne i Knightem.

Prędzej by zamilkł, niż powiedział kłamstwo! - Słowa lady Marianne zdawały się Venetii wciąż odbijać echem w powietrzu. Stała osłupiała, wspominając inne, a jakże podobne słowa!

Usłyszała pukanie do drzwi i pokazała się w nich twarz inspicjenta.

- Już czas, panno Fox.

- Dziękuję - odparła, ale się nie poruszyła.

- Panno Fox - nalegał.

Skinęła głową i nie mając wyboru, poszła korytarzem ku wejściu na scenę.

Upływały ostatnie sekundy. Venetia stanęła za kulisą na jedno uderzenie serca, nim podniesiono kurtynę, nim musiała wyjść w światła jako Rosina i wystawić się na pogwiz-



dywania, szepty i pomruki. Teatr zdawał się pękać w szwach. Ktoś wykrzyknął imię Linwooda, a ona mogła jedynie nie okazać po sobie żadnej reakcji.

Zdołała stać się Rosiną, tylko Rosiną. Przemawiała słowami ze scenariusza i przechadzała się po scenie według wskazówek pana Kemble'a. Ale nie pozostała Venetią. Słyszała tylko bicie swojego serca i szept treści umowy, którą miała z Linwoodem. Mróz ją przeszedł. „Winniśmy mówić prawdę albo milczeć”. Wytłumaczenie miała cały czas przed oczami, lecz nie potrafiła go dostrzec. Zatrzymała się w pół kroku, zamilkła w pół słowa na środku sceny. To, co sobie uświadomiła, zepchnęło wszystko inne na dalszy, nieistotny plan.

Rozglądała się po dekoracjach, kostiumach, całej iluzji, patrzyła na scenicznego partnera, pana Incledona. Sufler szeptał przerwana kwestię ze swojej budki.

Życie jej ukochanego było w niebezpieczeństwie.

Sufler wyrecytował końcówkę znowu, tym razem na tyle głośno, że kwestię usłyszały pierwsze rzędy.

Venetia patrzyła na morze twarzy. Dobiegały ją pomruki przerażonej fascynacji. Pan Incledon podjął rolę, wypowiadał kolejne zdania Belville'a i przyglądał się jej z rosnącym niepokojem.

Nie dbała o to. Wszystko to nic dla niej nie znaczyło, sztuka, publiczność czy aktorska kariera Venetii Fox. Ważne było tylko, czy niewinny człowiek zostanie przez nią stracony. Mogła się tego łatwo dowiedzieć. „Winniśmy mówić prawdę albo milczeć”.

Kiedy w końcu się odezwała, nie mówiła jako Rosina. Była Venetią.

- Muszę się z nim zobaczyć - rzekła i zeszła ze sceny, zostawiając pana Incledona i cały Theatre Royal w osłupieniu.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Gdzieś z daleka, zza więziennego dziedzińca, dobiegło bicie dzwonów. Zabrzmiało ośmiokrotnie i Linwood wiedział, że boska panna Fox jest już na scenie i odgrywa rolę na oczach całego Londynu. Zdrada wlała mu gorycz w serce, nawet gdyby jednak mógł, nic by nie zmienił w wydarzeniach ostatnich tygodni. Miał wrażenie, że od ich pierwszego spotkania na teatralnym balkonie wszystko później było już nieuniknione. Nie mógłby odejść. Venetia była jak druga część jego samego. Byli dwojgiem ludzi, którzy się zatrzymali, podczas gdy świat szedł dalej.

Przeciąg zakołysał płomieniami świec, a za drzwiami celi rozległy się odgłosy zamieszania. Podniesione męskie głosy, gwizdy, pokrzykiwania i wilcze wycia samczego uznania. I cisza. Złe przeczucie ogarnęło Linwooda i zaraz klucz obrócił się w zamku jego celi. Poczł zapach jej perfum. Podniósł oczy i zobaczył Venetię w przebraniu Rosiny.

Strażnicy nadal stali w drzwiach jak porażeni. Linwood nie miał im tego za złe. Widok Venetii Fox zaparłby dech w piersi każdemu mężczyźnie. Błada cera jaśniała w kaskadzie czarnej satyny jej włosów i przy głębokiej czerwieni sukni. Kostium był nieskromny, ciasny gorset opinał ją w talii i odsłaniał po trosze halkę. Podkreślał jej sylwetkę w kształcie klepsydry, a głęboki dekolt ledwie skrywał krągłość jej jasnych piersi. W słabym, migotliwym świetle jawiła się jako ziszczenie męskich marzeń i snów.

Krew zagotowała się w żyłach Linwooda na wspomnienie dotyku jej skóry, ich nagich ciał złączonych w jedność, swojego imienia na jej ustach, gdy osiągnęła szczyt. Potrzebował całej siły swej woli, by nie okazać żadnej reakcji.

- Lordzie Linwood - zwróciła się do niego formalnie, choć nie udało się jej ukryć przyspieszonego oddechu. Stała przed nim pozornie opanowana, lecz z jej oczu wyczytał wzburzenie, które zdawało się wibrować między nimi w powietrzu.

- Panno Fox. - Popatrzył jej w oczy poprzez celę i wróciły do niego uczucia, których wołał nawet nie nazywać. Przeszył ostrym spojrzeniem strażników, którzy wycofali się rakiem i na wszelki wypadek zamknęli drzwi na klucz. Venetia została z nim sama.

Nie poruszył się.

- Nie powinnaś być na scenie Theatre Royal?

- Już nie - odparła.

- Dlaczego tu przyszedłaś, Venetio?

- Muszę cię o coś zapytać.

- I myślisz, że ci odpowiem? Akurat tobie?

- Tak. - Odważnie stawiała mu czoło. Niemal wyzywająco podeszła, krok za krokiem, aż stanęła tuż przed nim, twarzą w twarz.

Serce Linwooda zabiło trzy razy, nim się odezwała.

- Czy to ty podpaliłaś mój dom? - zapytała.

- Czyli jednak zdecydowałaś się zapytać - mruknął i ogarnął go jeszcze większy chłód. Odwrócił głowę i roześmiał się bez cienia radości. Spojrzał na nią i zrobił krok w jej stronę, by sama zobaczyła w jego oczach prawdę.

- Nie. Nie ja - odparł.

Patrzyli na siebie z bliska, przeżywając katusze. Linwood widział szybkie pulsovanie tętnicy na białej szyi Venetii, rozszerzenie czarnych źrenic, jej niezłomną determinację w dążeniu do celu.

- Czy zabiłaś Rotherhama? Linwood zacisnął mimowolnie zęby.

- Nie zamierzam o tym rozmawiać.

- Dlaczego?

- Mam swoje powody.

Coś małego i futrzanego przebiegło niedaleko. Woda kapiała po ścianie powoli i rytmicznie.

- Jakie?

- Znowu nie jest to temat do rozmowy.

- Nie zrobiłaś tego, Francisie, prawda? Uniósł brew.

- To samo pytanie, tylko w przebraniu. Moja odpowiedź też się nie zmieni.

- Więc powiem inaczej. Wiem, że tego nie zrobiłaś.

- To niebezpieczne słowa dla głównego świadka oskarżenia, Venetio.

Odwróciła głowę, ale nie dość szybko, by nie zauważył poczucia winy i cierpienia w jej oczach. Kiedy znowu na niego spojrzała, ukryła już ślady jakichkolwiek emocji.

- Jesteśmy związani przysięgą szczerości, Francisie. Byliśmy przez cały czas naszego pojedynku, przy każdym sztychu i przy każdej zasłonie.

- Łowiliśmy prawdę na przynętę prawdy.

- Tak - przyznała cicho.

Uczucie, które szarpało struny ich serc, znalazło wyraz w grze ich spojrzeń. Ledwie powstrzymywane emocje walczyły, by wydostać się na wolność.

- Milczysz, ponieważ przyznanie się do winy byłoby kłamstwem.

- Albo nic nie mówię, bo kłamałbym, gdybym zaprzeczał.

- Powieszają cię, Francisie.

- Najpewniej.

- Ale twoje milczenie ułatwia im wiarę, że to zrobiłeś.

- Kto przy zdrowych zmysłach by się tak zachowywał?

Odwrócił się, nim mogła odpowiedzieć, w obawie, że wyczyta prawdę w jego spojrzeniu.

- To nie ma sensu. Rzeczywiście. Chyba że kogoś chronisz.

Zamarł. Przebiegła go fala mrozu jak lód skuwający od brzegów powierzchnię jeziora.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że Rotherham skrzywdził kogoś ci bliskiego.

Linwood wciąż się nie odwrócił, mimo że chciał się bronić. Ogarnął go strach, ścisnął jego płuca i uniemożliwił odwrócenie jej uwagi. Mógł jedynie udawać niewzruszenie, niczego po sobie nie dać poznać.

- Tym bardziej miałem powód, żeby go zabić.

- Albo chronić prawdziwego winowajcę. Słyszałam, że Rotherham przyjaźnił się dawno z twoim ojcem, póki nie rozgorzał spór tak gwałtowny, że nigdy więcej się do siebie nie odezwali. Starzy przyjaciele mogą stać się najzagorzalszymi wrogami. Urazy zbierane przez lata potrafią wybuchnąć z wielką siłą. A Rotherham nie należał do ludzi, którzy wybaczą. Zgaduję, że to, do czego doszło między nimi, jest w sednie sprawy.

Była tak bliska prawdy, że krew niemal przestała krążyć Linwoodowi w żyłach. Odwrócił się do niej.

- Ma pani bujną wyobraźnię, panno Fox. To doskonały materiał na sztukę. Powinna pani porozmawiać z Kemble'em. - Mówił oficjalnie i beznamiętnie, choć pod ubraniem pocił się ze strachu.

Znowu patrzyli na siebie w milczeniu, Linwood z nadzieją, że ją zniechęci, ona w najmniejszym stopniu nieprzekonana jego tłumaczeniem. Cisza zdawała się trwać w nieskończoność, niezręczna i straszna.

- Nie będę przeciwko tobie zeznawała, Francisie - odparła z niecodzienną mieszaniną zdecydowania i rezygnacji w głosie.

- Zamierzasz ich okłamać, że się nie przyznałem? Pokręciła głową i uśmiechnęła się słabo i ze smutkiem.

- Zamierzam mówić prawdę albo milczeć - zabrzmiały w ciszy jej słowa, te same, które miał wyryte po wsze czasy na sercu. Zdumiał się jej odwagą, śmiałością i głębią zrozumienia.

- Nie możesz tego zrobić, Venetio.

- Wkrótce dowiesz się, że mogę, Francisie. - W jej oczach ujrzął znajome wyzwanie i siłę.

- Jeśli odmówisz zeznań, sama trafisz do więzienia.

Wzruszyła lekko ramionami, jakby ta groźba nic dla niej nie znaczyła.

- Masz pojęcie, jak jest w więzieniu?

Nie pojmował, jak Venetia może nie rozumieć, że ryzykuje znacznie więcej niż karierę. Rozejrzała się spokojnie.

- Chyba mam.

- Venetio, nic nie rozumiesz. Jesteś najbardziej pożądaną kobietą Londynu. Tu jest wielu mężczyzn, takich, którzy od dawna patrzyli na ciebie łakomie. Strażnicy nie odmawiają łapówek, żeby patrzeć w inną stronę, a mogą nawet sami szukać zaspokojenia. Nie byłabyś bezpieczna.

- Nie zabiliby mnie jednak.

- Nie odgrywaj ładacznicę, bo oboje wiemy, że nią nie jesteś.

Maska pewnej siebie i wyrobionej kobiety opadła, ukazując bezbronność i ból. Odwróciła na moment wzrok.

- Popęłniłam błąd - odparła. - Nie dołożę do niego zeznań przeciwko tobie.

Mówiła z przekonaniem i stanowczością. Ściągnęła swoje pełne wargi w wyrazie determinacji. Przeciągnęła dłonią po włosach.

- Niech nam Bóg dopomoże, Venetio - mruknął, nie mogąc się powstrzymać.

- Przykro mi, Francisie. - Jej głos złagodniał. Po raz pierwszy odkąd weszła do celi, straciła nad sobą pełnię panowania. - Naprawdę myślałam, że jesteś winny. Nie chciałam, żeby to się tak skończyło. Nie sądziłam, że moglibyśmy...

Przygryzła wargę, jakby dla powstrzymania słów, i spojrzała w podłogę. Kiedy podniosła wzrok, w jej oczach malowało się uczucie, które tak bardzo starała się ukryć.

- Zrobię wszystko, żeby cię ocalić. - Odwróciła się do drzwi.

- Wszystko, Venetio? - zapytał z bijącym sercem. Zatrzymała się.

- Jeśli naprawdę tego chcesz, jest inny sposób. Odwróciła się do niego na te słowa.

Podszedł do niej wolnym krokiem i stanął tuż przed nią, twarzą w twarz. Widział lśnienie łez w jej oczach, pulsowanie jej tętnicy na smukłej, białej szyi, przyspieszony oddech pod dekoltem sukni.

Cisza grała wokół nich.

- Nie można zmusić żony do zeznawania na niekorzyść męża - rzekł czule.

Dopiero po chwili zrozumiała, co sugerował.

- Wyjdź za mnie - poprosił ochrypłym głosem.

Venetii przez myśl nie przeszło, że mógł to powiedzieć.

Patrzyła na niego z oczami jak spodki. Nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Krew krążyła w jej żyłach tak szybko, że miała zawroty głowy i nogi jak z waty. Wyciągnęła dłoń, żeby przytrzymać się oparcia krzesła, ale Linwood już ofiarował jej swoje silne i wspierające ramię. Objął ją w talii i Venetia miała wrażenie, że jego dotyk parzy skórę.

Patrzyła w oczy mężczyźnie, który kochał ją całym sercem. Jemu jednemu oddałaby z radością rękę, lecz w innych okolicznościach.

- Nie możesz mówić poważnie - szepnęła.

- Nigdy niczego poważniej nie mówiłem.

Szukała w jego spojrzeniu prawdy i znalazła ją.

- To niemożliwe - zaprotestowała. - Jesteś dziedzicem hrabiego, a ja aktorką.

- Dobrze wiem, kim jesteśmy.

Przyglądała się jego przystojnej twarzy, surowym rysom policzków i podbródka. I czarnym, namiętym oczom, które potrafiły wejrzeć wprost do jej duszy. To było jej dziecięce marzenie, zapomniana fantazja, by poślubić mężczyznę, którego kochała, silnego i oddającego jej uczucie. Poślubiłaby go sto razy. Lecz nie tak, nigdy w taki sposób.

- Ożeniłbyś się ze mną, żeby uchronić mnie przed karą. Ból wezbrał jej w piersi.

- Nie wiem, czy mogę ci na to pozwolić - dodała ostrożnie.

Nie słyszała nic prócz głośnego bicia swojego serca na tle łagodnego szelestu swego oddechu.

- Poślubienie cię jest jedynym pewnym sposobem, bym uniknął stryczka - rzekł z błyszczącymi oczami.

Z trudem chwyciła i wypuszczała powietrze, widząc napięcie w jego twarzy. Promień słońca, który znalazł drogę do celi przez zakratowane okno, padł na jego twarz i rozświetlił czerń oczu. Venetia nie była pewna, czy może mu wierzyć. Głowa mówiła jej jedno, serce co innego.

- Powiedziałaś „wszystko”, Venetio.

Pobudki jego oświadczyń straciły dla niej znaczenie. Miał rację.

Skinęła głową, niezdolna odwrócić wzroku.

- Powiedziałam.

Emocje między nimi nie straciły na mocy.

- Czy zdążymy wszystko na czas zorganizować? - Wiedziała, że powinna się wycofać, ale nie tylko jego ręka trzymała ją przy nim.

- Mój ojciec przyjaźni się z arcybiskupem Canterbury. Znalezienie księdza i zdobycie zezwolenia z naszymi nazwiskami nie będzie stanowiło problemu.

Z jej nazwiskiem. Venetia zamknęła oczy. Straciła wszelką nadzieję. Jej nazwisko. Choćby uciekała przez pół świata, zawsze czułaby na karku oddech prawdy o sobie.

Zacisnął wargi.

- Czy ta perspektywa jest dla ciebie aż tak odpychająca? - zapytał.



Venetia zrozumiała, co on musi myśleć o jej reakcji. Sądził, że czuje wstręt na myśl o zostaniu jego żoną.

- Nie rozumiesz. To nie to. Tylko...

Wpatrywał się w nią z takim napięciem, że oddychała z trudem.

- Tylko? - powtórzył.

W jego głosie zabrzmiały bardzo groźne nuty.

Nadszedł wreszcie sądny dzień, którego zawsze się lękała. Żeby go uratować, musiałaby ujawnić tę część swojej historii, którą przez całe życie skrzętnie ukrywała - prawdę o tym, kim była dla Rotherhama. Dla człowieka, którego chciała znać mniej niż kogokolwiek innego. To wszystko między nimi zmieni. Odetchnęła głęboko.

- Jest coś, czego ci nie powiedziałam, Francisie. Coś, przez co zapewne wycofasz swoją propozycję.

- Masz tyle mrocznych sekretów, Venetio... Czy cokolwiek było między nami szczerze?

Jego gniewne spojrzenie jej nie zwiodło, знаła jego słabość. Przeciągnęła palcami po szorstkiej od zarostu linii jego szczęki.

- Więcej, niż kiedykolwiek pojdziesz - szepnęła, opuszczając rękę.

Słowa opornie trafiały na jej usta, nie było jednak przed nimi ucieczki.

- Nie jestem tą, za którą mnie uważasz. Za którą mnie ma cały Londyn. - Zamknęła oczy, przeżywając głęboko jego bliskość, świadoma nawet najdelikatniejszego wrażenia ciepła jego oddechu na policzkach, jego zapachu - podniecającego i kojącego zarazem - gorącego dotyku ręki w talii i siły podtrzymującego ją ramienia. Zbliżyła się w ostatniej pieśczoście. Pieczołowicie zbierała w sercu każde doznanie, bo czuła, że z chwilą, kiedy usłyszy jej wyznanie, nic już nie będzie takie samo.

- A czy ktokolwiek z nas jest taki, jak sobie wyobrażają inni? - zapytał łagodnie.

Otworzyła oczy i patrzyła w ukochaną twarz. Chwila trwała, póki Venetia nie zmusiła się, by ją wreszcie przerwać.

- Fox to nazwisko, które przybrałam po przyjeździe do Londynu. Wybrałam je dla kariery w teatrze.

Linwood czekał w milczeniu na dalszy ciąg.

Venetia przełknęła i nie pozwoliła sobie na opuszczenie wzroku, choć tak bardzo tego pragnęła. Była zawstydzona i przestraszona jak mała dziewczynka, która tak wiele lat wcześniej stała przed Rotherhamem.

- Naprawdę nazywam się Venetia Clandon. Wyczuła jego nagłą sztywność.

- Pytałeś, kim jest dla mnie Robert Clandon. Myślałeś, że zleceniodawcą. - Wiedziała, że prawda będzie dla niego dużo trudniejsza do zniesienia. - Jest moim przyrodnim bratem.

Zaciskała palce tak mocno, że cała jej dłoń stała się zimna.

- Oboje jesteśmy dziećmi z nieprawego łóżka księcia Rotherham. Choć mamy różne matki. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Jestem córką Rotherhama, Francisie.

Cisza krzyczała w jej uszach głośniejsz, niż mogłyby jakiegokolwiek wyrazy potępienia. Twarz Linwoda była spowita cieniem i nieprzenikniona.

- Zatem byłeś w to zaangażowana tak samo, jak Clandon. - Słyszając ton jego głosu, zadrżała ze wstydu. - Dwoje szukających zemsty krzyżowców.

- To nie miało nic wspólnego z zemstą.

- A więc sprawiedliwości po stracie kochającego ojca.

- Rotherham nikogo nie kochał. Był zimnym, okrutnym i wyrachowanym człowiekiem, bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. Wszystko, co o nim mówiłam, było prawdą. Tak, chodziło o sprawiedliwość. Myślałam, że jesteś mordercą, na litość boską! Nieważne, co myślałam o człowieku, który był moim ojcem. Wypełnił wobec mnie swój obowiązek. Przygarnął, kiedy zmarła mama, zadbał o moje utrzymanie. Przynajmniej ty-le byłam mu winna.

Patrzyli na siebie w ciszy.

- Mogłem się domyślić - odezwał się Linwood. - Masz jego oczy, blade i srebrne jak blask księżycy.

Odwróciła wzrok. Nie chciała mieć nic z ojca, skoro Linwood tak bardzo go nienawidził. Ale jego krew płynęła w jej żyłach i nic nie mogła na to poradzić. Poza tym to była tylko połowa opowieści.

- Choć niewiele łączy cię z Clandonem.

- Robert przypomina bardziej swoją matkę. Była gospodynią Rotherhama.

- Jakie to dla was obojga wygodne. - Był dla niej zimny i pozbawiony uczuć, jak dla całego świata.

Żadne z nich się nie poruszyło. Stali tak blisko siebie, że Venetia czuła ciepło jego ciała wśród iskrzącego między nimi napięcia.

Nie miała już nic do powiedzenia. Duch Rotherhama stał pomiędzy nimi tak jak stać miał już zawsze.

- Rotherham otwarcie przyznał się do Clandona. Dlaczego nie do ciebie?

- Przyznałby się i do mnie. Nie chciałam tego.

- Gdybyś była znana jako córka księcia, choćby nawet nie całkiem szlacheckiego urodzenia, byłoby ci dużo łatwiej. Tak jak Clandonowi.

Mówił prawdę. Znalazła się w tym miejscu jedynie dzięki wpływom i interwencjom Rotherhama. Nie umiała powiedzieć Linwoodowi reszty historii. Szczególnie że nie było to potrzebne - fakt, że była córką Rotherhama, powinien okazać się wystarczający.

- Nie chodziło o to, żeby nie mieć go za ojca - dodała. W końcu żeby mieć dziecko, trzeba dwojga.

- A więc o co?

Wzruszyła ramionami, jakby to nie było nic ważnego, choć właśnie ta kwestia nadawała kierunek całemu jej życiu. Była ostrogą, która pędziła ją do biegu, przed którą starała się uciec dniem i nocą.

- Teraz już wiesz. - Skierowała rozmowę z dala od tego niebezpiecznego wątku. Venetia czuła mdłości na myśl o jego skazaniu i położeniu, w które wpędziła ich oboje.

- Wiem - przyznał szorstko. - Nie musi to wpłynąć na nasz plan.

Venetia nie mogła w to uwierzyć.

- Chcesz się ze mną ożenić, choć jestem nieślubną córką tak znienawidzonego przez ciebie człowieka? Mężczyzny, który tak bardzo skrzywdził kogoś ci bliskiego, że wolisz zawisnąć, byle tylko chronić ofiarę?

Brutalna prawda rozbrzmiała głośno w tych czterech ścianach.

- Jeszcze dzisiaj pošlę tę wiadomość. - Twarz miał zamkniętą, krył uczucia, ale w jego oczach czał się gniew.

Żeby ocalić kochanego mężczyznę, musiała go poślubić, niepomna jego nienawiści, niepomna pogardy, jaką będzie miał dla niej przez resztę życia. Więzienie wydawało się niemal lepsze.

Nie chodziło tu jednak o nią. Chodziło o uratowanie Linwoda od szubienicy, na którą sama go posłała. - Bądź gotowa, Venetio.

Skinęła. Wreszcie uwolnił ją od swojego spojrzenia.

Zdradziła niewinnego człowieka na niejeden sposób. Czowała przytłaczające wyrzuty sumienia. Patrząc wstecz, widziała, że powinna była słuchać swojego serca. Ono wiedziało od początku.

Odwróciła się i zapukała w drzwi celi, by wezwać strażnika. Nie zdążył przyjść, nim się zdradziła. Zaczęła łkać.

Kiedy drzwi się otworzyły, nie spojrzała za siebie. Wyszła z celi, z więzienia. Zostawiła tam ukochanego, przyszłego męża. Zostawiła człowieka, którego omal nie skazała na śmierć.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Wbrew oczekiwaniom Venetia nie otrzymała od Linwoda żadnej wiadomości ani nazajutrz, ani dnia następnego, ani nawet kolejnego. Mijające dni nieuchronnie przybliżały ją do daty procesu. Było już tak niewiele czasu, że zaczęła się obawiać, iż Linwood zmienił zdanie i nie potrafił zmusić się do ożenku lub że wydarzyło się coś tragicznie niepomyślnego. Chciała go znowu odwiedzić, dowiedzieć się, co się dzieje, rozwiązać wątpliwości i lęki. Duma jej na to jednak nie pozwoliła. Zdecydowała się trzymać pierwotnego planu odmowy składania zeznań. Nie wiedziała, czy perspektywa pozbawienia wolności nie będzie dla niej łatwiejsza do zniesienia. Wiedziała jedynie, że tylko ona stoi między Linwoodem a katem. I nie była nawet przekonana, czy milczenie wystarczy, żeby zatrzymać maszynę, którą puściła w ruch. Sen i jawa pospołu zamknięte były w tym samym koszmarze.

Wyczekiwana wiadomość dotarła do niej w końcu, na dwa dni przed rozprawą. List nakreślony był tą samą, znajomą ręką, która wskazała jej drogę, pismem śmiałym i

zdecydowanym. Venetia wsunęła go do kieszeni, kryjąc przed bystrymi oczami Alice. Nie ufała swojej reakcji i zaczęła z lekturą, aż będzie sama w sypialni. Drżącymi rękami przełamała pieczęć i wyciągnęła kartkę czerpanego papieru z gofrowanym herbem rodowym.

Słowa były niewielkie, a wiadomość krótka:

*Jutro o jedenastej. L.*

Poczuła natychmiastową i wielką ulgę... która równie szybko się rozwiała. Jutro. Poczuła ścisk w brzuchu na myśl o tym, co następnego dnia może jej przynieść.

Usłyszała pukanie do drzwi. W progu stanęła Alice.

- Venetio? - Na jej twarzy malował się niepokój.

- Usiądź, Alice. Muszę ci coś opowiedzieć.

Rankiem Venetia i Alice siedziały razem w nieoznaczonym powozie Razeby'ego. Odkąd otrzymała list Linwooda, Venetia nie przespała ani minuty. Mimo to po długiej nocy, w drodze na własny ślub, czuła się dziwnie spokojna.

Miała na sobie skromną i prostą ciemnozieloną sukienkę, a włosy ułożyła w klasyczną fryzurę. Biżuterię ograniczyła do pary perłowych kolczyków w kształcie kropli. Nie był to w żadnej mierze strój ślubny, ale nie chciała nikomu zdradzić, co miało się wkrótce wydarzyć. Nie śmiała w najmniejszym stopniu ryzykować zakłócenia ceremonii.

Alice zerknęła na Razeby'ego i przygryzła wargę. Pochyliła się do Venetii.

- Jeszcze możesz się rozmyślić - powiedziała cicho i z wahaniem.

Razeby musiał ją słyszeć, ale nie oponował wobec odradzania ślubu ze swoim przyjacielem. Wyjątkowo się nie uśmiechał. Wyglądał niemal tak surowo, jak sam Linwood. Nie było wątpliwości co do powagi sytuacji, w jakiej znalazł się jego przyjaciel.

Venetia starannie wygładziła fałdy na beżowych rękawiczkach z koźlecej skóry, śmieszny detal wobec najwyższej wagi ich zadania, wobec niebezpieczeństwa, rozpaczy i prostego faktu, że zależało od niej życie Linwooda. Nie mogła myśleć o porażce ani o sukcesie przedsięwzięcia. Koncentrowała się na tym, co wiedziała, że zrobić musi. Nawet w tej chwili grała dalej rolę panny Fox, udawała niewzruszony spokój, choć zarówno Alice, jak Razeby znali jej nazwisko i uczucia.

- Wiesz, że się nie rozmyślę - odpowiedziała. Toczyły ten spór od wczoraj już pewnie sto razy.

Przez głowę przewinęły się Venetii wątpliwości przyjaciółki. A co, jeśli wszystko rozumiesz na opak? Dowody wskazują na niego. Może naprawdę to on zastrzelił twojego ojca?

Wbrew rozsądkowi, wbrew dowodom czuła jednak, że ma rację.

A nawet jeśli się myliła, to nic nie zmieniało. Nie mogła pozwolić, by go powieszono.

Linwood czekał w celi. Ogolił się i założył czyste ubranie. Nie prezentowałby się lepiej nawet, gdyby ubrał go pokojowy.

Kiedy go ujrzała, Venetia przypomniała sobie, jak bardzo był przystojny i jak silne wywoływał w niej emocje. Jak bardzo go kochała.

- Panno Fox - rzekł chłodno, jakby wcale nie zamierzali się zaraz pobrać. Przeniósł od razu wzrok na Alice. - Panno Sweetly.

Skinął przyjacielowi głowę.

- Razeby.

Znowu popatrzył na Venetię. Ujrzała w jego oczach tłumioną namiętność, emocje i uczucia. Mógł ukryć prawdę o sobie przed całym światem, ale nie przed nią. Czuła go całym ciałem. Byli złączeni w tajemniczy, intymny sposób, zestrojeni i związani ze sobą na zawsze.

Pod powierzchnią pozorów jednak układały się w ich sercach skomplikowane wzory tęsknoty i oszustwa, zdrady i miłości. Tak samo, jak było od samego początku.

Drzwi otworzyły się raz jeszcze i wszedł jego ojciec, hrabia Misbourne, oraz wysoki szczupły mężczyzna w szatach kapłana, z małą czarną książeczką w ręce. Widok pastora otworzył Venetii oczy na prawdziwość tego, co miało się zaraz wydarzyć.

Pastor był starszy od Misbourne'a i wyglądał na trochę zdenerwowanego, co niko- go nie dziwiło. Władze często dochodziły powodów małżeństwa. Venetia zastanawiała się, czy dostał rekompensatę finansową. Na widok wyrazu twarzy Misbourne'a zrozumiała, że rzadko kto ważył się dyskutować z hrabią.



Duchowny otworzył kościstymi palcami książkę na stronie oznaczonej czerwoną wstążką. Spojrzał jej w oczy i Venetia nie była pewna kryjących się w nich uczuć.

Ciekawość? Dezaprobata? Litość?

Nie odwróciła wzroku, nie dała się zastraszyć ani zawstydzić - patrzyła zwykłym, wyzywającym i pewnym siebie spojrzeniem panny Fox. Pastor pierwszy opuścił wzrok, udając, że szuka właściwego ustępu. Uniosła brodę i stanęła u boku Linwooda.

- Zaczynać - polecił Linwood.

Pastor począł mówić. Recytował słowa, które miały ich związać ze sobą według prawa i w oczach Boga. Słowa, których nie można było cofnąć. Które ocala Linwooda od straszliwego losu, jaki mógł się stać jego udziałem.

Odpowiadała chłodno i spokojnie, Linwood również. Udawała, żeby opanować targającą nią burzę uczuć. Dopiero kiedy wsunął jej na palec obrączkę, okazała trochę emocji. Jego dłoń była ciepła, dotyk delikatny, ale zaborczy, gdy trzymał jej palce. Nie śmiała patrzeć mu w oczy. Bała się, że jego spojrzenie zerwie delikatne nici jej samokontroli.

Pastor ponownie zaczął wypowiadać słowa, których nie słyszała. Czuła tylko dotyk Linwooda na swoim podbródku, kiedy zwracał jej twarz w swoją stronę, siłę jego wzroku, kiedy nachylił się do pocałunku, żar i namiętność, obietnicę zawartą w dotyku ich ust. Całował ją, jakby nie była córką jego wroga, jakby nigdy go nie zawiodła. A ona odpowiedziała, jakby była tak rozpustna, jak widział ją świat. To on przerwał pocałunek i dopiero wtedy zrobiła krok wstecz.

- Dokonało się - rzekł kapłan.

- Dzięki Bogu - powiedział Misbourne. Srogi wyraz znikł z jego twarzy, ustępując miejsca uldze.

- Winszuję, stary druhu - rzekł lekko Razeby, ściskając rękę przyjaciela. Tylko ich spojrzenia zdradzały powagę sytuacji.

Alice objęła Venetię i cmoknęła ją w policzek, ale nie zmusiła się do gratulacji.

Nikt nie życzył im szczęścia. Nikt nie wierzył, że mogą go dostąpić. I ten drobny, śmieszny niedostatek sprawił, że Venetia prawie się rozplakała.

- Jedźmy do domu - powiedziała Alice i wzięła Venetię pod ramię.



Venetia nie mogła spojrzeć na Linwooda. Bała się, że natychmiast wybuchłaby płaczem. Narzuciła sobie płaszcz na ramiona i ruszyła za przyjaciółką.

- Venetio - zatrzymał ją Linwood.

Dreszcz przebiegł jej po plecach, żołądek zakręcił piruet w brzuchu. Wiedziała, co powie. Zamknęła oczy. Próbowwała się opanować, ale nic z tego nie wyszło. Tętno szalało, serce biło młotem w piersi. Odwróciła się do niego.

- Nieskonsumowane małżeństwo można łatwo rozwiązać.

- Nie oczekujesz chyba... - Głos Alice ucichł z oburzenia i zgrozy. - Nie w takim miejscu!

- Skorzystają z każdej okazji, żeby anulować związek - zauważył ponuro Misbourne.

W celi zapadła cisza.

Alice wbijała jej palce w rękę.

- Nie musisz tego robić, Venetio - powiedziała cicho.

- Linwood ma rację - odparła. - I chcę to zrobić... jak należy.

Lecz myśl o tym, co powinno nastąpić po ceremonii, choć tak oczywista, nie przyszła jej wcześniej do głowy. Pomimo życia w tak zwanym półświatku, mimo ogłoszenia jej najbardziej pożądaną kobietą Anglii. Pomimo krążącej w jej żyłach gorącej krwi.

Uśmiechnęła się cierpko na tę ironię losu.

Ominęła wzrokiem współczucie na twarzy Alice i popatrzyła na Razeby'ego, który stał za nią w milczeniu.

- Razeby odwiezie cię do domu, Alice.

- Będzie mi bardzo przyjemnie - rzekł markiz. W jego oczach Venetia dostrzegła cień zrozumienia i szacunku.

Był niewątpliwie mniej powierzchownym człowiekiem, niż zdawało się na pierwszy rzut oka.

Venetia patrzyła, jak wychodzą. Drzwi się za nimi zamknęły, a ona wciąż jeszcze nie spojrzała na małżonka.

Nie wyrzekł jednego słowa, mimo to Venetia miała wrażenie, że oddycha jego powietrzem, ma w żyłach jego krew i jego serce bije w jej piersi.

Klucz zazgrzytał w zamku, głośno w otaczającej ich ciszy.

- Nie możemy czekać do zmroku, Venetio - powiedział Linwood niespiesznie, chłodnym i beznamiętnym głosem. Mimo to usłyszała w jego głębi odmienny ton. - Wiadomość o naszym ślubie szybko się rozejdzie. Wskazane byłoby zabezpieczenie się przed wszelkimi lukami, nim zjawią się funkcjonariusze prawa.

Brzmiało to jak przygotowywanie prawnie wiążącej umowy. Nie jak wstęp do najbardziej intymnego kontaktu dwojga ludzi.

- Rozumiem. - Nie umiała spojrzeć mu w oczy. Spokojnie i metodycznie zaczęła rozpinąć perłowe guziki na plecach stanika. Z trudniejszymi pomógł jej Linwood, nim cofnął się o krok. Zsunęła sukienkę z ramion i pomogła jej opasać wokół kostek. Jej zmysłowe kształty okryte już były tylko cienką halką i pojedynczą jedwabną koszulą. Udała, że nie słyszy głośnego wdechu Linwooda. Po chwili rozwiązała ramiączka. Bielizna spłynęła na ziemię. Wyszła z kręgu porzuconego wokół jej stóp materiału. Podniosła ręce i zaczęła wyciągać szpilki z włosów, pozwalając im opasać na ramiona, kosmyk za kosmykiem. Pełne piersi jaśniały porcelanową bladością wśród kaskady czarnych włosów.

Linwood nie umiał się powstrzymać przed ogarnięciem wzrokiem całego jej cudownego ciała. Wbrew dziwaczności sytuacji, choć nawykł do narzucania swoim uczuciom i żądom nieprzejednanej woli i pomimo niewątpliwej obecności nasłuchujących pod drzwiami strażników, reakcja jego ciała była natychmiastowa i bezwiedna, jakby był podrostkiem.

Otworzono z hukiem zasłonę wizjera i pokazała się w nim twarz strażnika.

Venetia musiała usłyszeć hałas, ale się nie poruszyła. Stała z uniesioną głową całym ciałem naga, nie licząc białych jedwabnych trzewików i pary pończoch.

Linwood szybko zasłonił ją przed wzrokiem lubieżnego człowieka, nim miał on okazję ujrzeć to, czego pragnęli latami wszyscy mężczyźni Londynu. Wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów i pomachał nim przed oczami strażnika.

- Za nieotwieranie judasza przez cały dzień i najbliższą noc - powiedział.

Chciwe oczka skupiły spojrzenie na rulonie.

- Drugie tyle rano, jak dotrzymasz umowy - rzucił chłodno Linwood.

Strażnik oblizwał wargi wobec pokusy, ale wahał się jeszcze, starając się uchwycić za plecami wicehrabiego choć fragment nagiej skóry Venetii.

Linwood zbliżył twarz do wizjera i uśmiechnął się, wyrażając wzrokiem cały śmiertelny gniew, jaki czuł w sercu. Strażnik zbladł.

- Dama jest moją żoną. A ja jestem oskarżony o zamordowanie samego księcia. I wyjdę na wolność. Na pewno rozumiesz, jak rozprawiam się z tymi, którzy usiłują widzieć ją nago? Myślisz, że powstrzyma mnie prawo?

Człowieczek przełknął nerwowo.

- Dopilnuję, żeby nikt tu nie zaglądał, panie. Gratuluję ożenku.

- Cieszę się, że się dobrze rozumiemy. - Linwood wyciągnął zwitek do zakratowanego wizjera, a brudna ręka zabrała pieniądze.

- Uniżony sługa waszej lordowskiej mości. - Strażnik zatrzasnął wizjer.

Linwood odwrócił się ku temu, czego szukał pożądanym wzrokiem podglądacz. Promienie słońca otaczały jej postać, rozświetlając nieziemskie piękno nagości. Nie poruszyła się, jak wyrzeźbiona z nieskazitelnego marmuru Wenus, dumna i chłodna. Doskonałość, której nie mogła osiągnąć lubieżność ani podłość otaczającego świata. Linwood nie dawał się ponieść emocjom, które rozpierały jego pierś. Ożenił się z nią, a teraz mieli dzielić postanie, by nawzajem się ocalić. Nie pozwolił myślom wykroczyć poza te proste ramy.

Podszedł i stanął przy niej.

- Nie będziemy więcej niepokojeni.

Skinęła, przyjmując to do wiadomości, ale nie spojrzała na niego.

Linwood zdjął płaszcz i rzucił na stół, przy którym jadał i pisywał listy. Poluzował węzeł fularu i pozwolił mu spaść na podłogę. Kamizelka poszła w jego ślady. Rozpiął guzik kołnierza drogiej koszuli i ściągnął ją przez głowę, natychmiast o niej zapominając. Usiadł na krześle i ściągnął buty oraz pończochy, wstał i zdjął bryczesy. Kiedy znowu do niej podszedł, był, jak ona, nagi.

Venetia wpatrywała się w nieokreślony punkt w kącie celi, ale Linwood czekał cierpliwie. W końcu podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

Tęczówki miała rzeczywiście po Rotherhamie, bladoniebieskie i srebrne, odcinające się ostro od czerni rozszerzających się źrenic, lecz to, co w nich odnalazł, nigdy nie gościło w oczach księcia. Wyglądała z nich prawda. Nie umiała się od niego odwrócić, jak i on nie potrafił odwrócić się od niej.

Chodziło tylko o pożądanie, zaspokojenie żądzy - starał się sobie wmówić. Nie myślał o swoich uczuciach do tej kobiety, ale nie mógł ukryć, że gościły w jego sercu. Przenikała się przez jego mury jak nikt wcześniej. Pobiła go w jego własnej grze, gdy miała go za winnego. Kiedy uwierzyła w niewinność, gotowa była na wszystko, by go ocalić. Była córką Rotherhama. Jego żoną.

Uczucia zagotowały się w jego piersi, wrywając się na wolność. Odsunął od siebie tę słabość wytrawną ręką mistrza. Nie wyrzekł słowa, tylko spojrzał na jej unoszony oddechem biust, smukłą szyję i kuszące usta. Mimo złożoności gniewu i bólu, pożądania i bliskości, które przetaczały się przez jego duszę, wiedział, że w obliczu bliskiej śmierci i prawdy o swoim życiu potrzebował jej.

Czuł, że jego oddech przyspiesza, serce bije coraz mocniej. W ciszy celi narastały emocje, które coraz trudniej było mu utrzymać w ryzach. Pierwotna, zwierzęca żądza, pragnienie... i miłość. Skrzywił się na myśl o uczuciu, próbował mu przeczyć.

Venetia zwilżyła językiem wargi, które tak często nękały go słowami prawdy i ułudy. I było tak, jakby iskra padła na beczkę prochu. Pozór samokontroli prysł, gdy wybuch płomieni pochłonął wszystko, co ich dzieliło. Linwood wziął Venetię w ramiona.

Nie opierała się, lecz wyszła mu na spotkanie żarliwie, z namiętnością równą jego pasji. Zanurzył dłoń w jej włosach i całował agresywnie, z mocą, usta, szyję i kark. Zaczepnęła ostro powietrza, wbijając paznokcie w jego nagie plecy i przyciskając jeszcze silniej do niego swoje ciało.

Ich usta były wygłodniałe, ciała gorące, śliskie i niecierpliwe.

Jedną ręką pieścił jej pierś, ugniatał palcami sutek. Druga przesunęła się po jej biodrze, znalazła pośladek i podprowadziła ją wprost ku męskości.

Drapała go po pośladkach, a on uniósł ją i założył jej uda na swoje biodra, jakby chciał pojąć ją na miejscu. Zamiast tego jednak zaniósł ją na posłanie, złożył ją na nim i przykrył własnym ciałem, pragnąc znaleźć się w niej, ulżyć katuszom rozłąki.

Rozkoszował się jej zapachem, dotykiem jedwabistej skóry. Każdym zmysłem poznawał ją i smakował i była wszystkim, czego pragnął, czego kiedykolwiek potrzebował - wypełniła pustkę. Ją jedną kochał... kobietę, która chciała odebrać mu życie. Odrzucił od siebie tę myśl i kolanem rozsunał szerzej jej uda, gotów się zanurzyć.

Westchnęła i uniosła biodra. Nagle wyczuł w niej napięcie, od opuszek palców po stopy zahaczone o jego łydki. Zamarł i popatrzył jej w oczy. Oddychali, dyszeli w zgodnym rytmie.

Nim ją posiadł, była dziewicą.

Przycisnęła dłonie do jego bioder, pospieszając go.

- Francisie! - szepnęła, a srebrne tęczęwki jej oczu skurczyły się, ustępując pola czerni nienasyconych źrenic.

Wsunął dłoń między jej nogi i znalazł ją gotową na jego powitanie. Masował i drażnił najczulsze miejsca, aż jęczała głośno w jego ramionach i wyginała ciało.

- Proszę... - wydyszała, gryząc go w szyję.

Zbliżył usta do jej ust. Jej zęby wbiły się w jego podbródek i w wargi, nim wreszcie pocałowała go z pasją dorównującą jego podnieceniu.

- Francisie... - Ich spojrzenia się spotkały. Zaczął się w niej poruszać, najpierw powoli, potem coraz szybciej, głębiej i silniej.

Nagle ich ciałami wstrząsnął dreszcz spełnienia.

Całował ją w rytm jej oddechu, z czułością, jakiej nie zapowiadał szaleńczy żar ich miłości. W jego oczach Venetia ujrzała wrażliwość, cierpienie i... miłość.

Kocham cię, szepnęła w duchu i pocałowała go z całym uczuciem, które chowała w sercu. Tulila się do niego, jakby mogła odebrać wieczności tę najcenniejszą chwilę. Kocham cię, słyszała głos swojego serca, opadając z wolna na ziemię, bezpieczna w jego ramionach. Słowa te nie znalazły jednak drogi na jej wargi. Światło magicznej chwili gasło, a ona nie wypowiedziała ich na głos.

Zsunął się z niej i legł na boku. Nie powiedział ani słowa, ale w jego oczach Venetia ujrzała odbłask tego, co przeżyli. Odwrócił się jednak i wstał. Nie patrząc na nią, ubrał się szybko oszczędnymi ruchami. Twarz miał znowu surową, poważną, przystojną

w swoim niezgłębionym chłodzie. Powietrze celi odbierało magię jej duszy, aż znowu poczuła się pusta i samotna.

Spróbowała przełknąć kamień, który zdawał się tkwić w jej gardle, zbyt dumna, by okazać ból. Wstała za nim i przywdziała niespiesznie sukienkę, pomimo bólu w piersi. Cisza między nimi krzyczała głośniejsz niż jakiegokolwiek słowa.

Stała plecami do Linwooda, zapinając perłowe guziki sukienki, w której wyszła za niego za mąż. Te, których nie mogła dosięgnąć, zostawiła rozpięte. Już miała ukryć niedociągnięcie pod rozpuszczonymi włosami, kiedy chwycił ją za nadgarstek tak nagle, że wstrzymała dech. Po krótkim wahaniu poczuła dotyk jego palców pod karkiem. Jej serce biło tak, jakby miało wyskoczyć jej z piersi, lecz on odsunął się, gdy tylko dokończył zapinanie.

- Musimy porozmawiać o dniu jutrzejszym - powiedział beznamiętnie.

Skinęła głową.

- Musimy - zgodziła się.

Usiedli po przeciwnych stronach stołu, bardziej jak dwoje obcych niż para kochanków, i rozpoczęli rzeczowo omawiać przebieg rozprawy. Przez cały zaś czas Venetia widziała nad ramieniem Linwooda posłanie i rozrzuconą pościel, wciąż jeszcze ciepłe od ich namiętnej miłości.

# ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W celi popołudnie przerodziło się w wieczór, a wieczór w noc.

- Chcesz, żebym sobie poszła?

Venetia nie związała włosów. Była prawie tak chłodna i opanowana, jak dotąd bosa panna Fox.

Linwood wiedział, że powinien ją posłać do domu. Była jego żoną, a małżeństwo zostało bez wątpienia skonsumowane. Świadczyły o tym jej wypieki i potargane włosy oraz wspaniała, leniwa i rozpustna aura kobiety w pełni zaspokojonej.

Pokręcił głową. Nie chciał wypowiedzieć na głos słów świadczących o słabości. Nie chciał też zostać sam tej nocy. Przełknął.

- Zostań - powiedział. - Jeśli chcesz. Zgodziła się, a on poczuł ulgę.

Był pogrążony w zamęcie, żalu i cierpieniu. Padały na niego cienie dawnych rozczarowań i zdrad. Co powinien powiedzieć mężczyzna w takich okolicznościach kobiecie, swojej żonie, ukochanej?

- Venetio...

Zamilkł. Nie wiedział, co może rzec. Następny ranek mógł zaważyć na jego życiu lub śmierci. Któż lepiej od niego wiedział, że nawet najlepszy plan może skończyć się tragedią na jedną chwilę przed zrealizowaniem? Ciemność była bardzo blisko. Przeczesał włosy palcami.

Podeszła do niego, jakby zrozumiała. Bez jednego słowa przycisnęła usta do jego ust. W tej chwili jego cierpienie się zakończyło. Kochali się namiętnie i czule, kochając spędzali ciemne godziny nocy. Aby zapomnieć o cieniach przeszłości i groźbie jutra, zapodziać się w sobie nawzajem.

Kochali się i kochali znowu, aż świt przyniósł czas jej powrotu do domu.

Nie rozmawiali. Ubierali się w milczeniu, przygotowując na wszystko, co miał przynieść nadchodzący dzień.

On zapiął jej stan.

Ona związała mu fular.



Całe więzienie spało. Panowała cisza. - Francisie... - Dłoń Venetii znieruchomiła na klapie jego marynarki. Patrzyła tak, jakby mogła przebić wzrokiem materiał, ciało i kości, ujrzeć jego serce. Tak wiele było wciąż niewypowiedzianych słów! Podniosła swoje piękne, czarujące oczy.

Nawet teraz, u progu utraty wszystkiego, Linwood nie chciałby nic zmienić między sobą a Venetią.

Uniosła ku niemu twarz. Myślał, że chce go pocałować, ona jednak tylko przyłożyła policzek do jego policzka. Ten delikatny gest poruszył go jeszcze bardziej. Czuł ciepło i drżenie jej oddechu.

- Kocham cię, Francisie - szepnęła i odeszła szybko, by nie zdążył jej zatrzymać. Zapukała w wizjer i narzuciła na głowę kaptur.

- Venetio!

Wyszła. Za progiem obejrzała się przez ramię. Zobaczył błyszczące w jej oczach łzy. Lecz było już za późno. Drzwi między nimi się zatrzasnęły.

Venetia siedziała w sądzie z miną osoby opanowanej i pewnej siebie. Ukryte w koźlich rękawiczkach, zaciśnięte w pięści dłonie o zbielejących kłykciach przyjmowały na siebie całe napięcie. Każdą cząstką woli i włóknem ciała pragnęła, żeby wszystko potoczyło się zgodnie z planem, żeby nie skazano niewinnego człowieka.

- Wysoki sądzie, odnośnie do świadka oskarżenia. - Adwokat w czarnej todze i schludnej peruce na głowie zwracał się do sędziego, przewodniczącego zza ławy sędziowskiej rozprawie nad dalszymi losami Linwooda. Publiczność zgromadzona na sali umilkła. Wszystkie spojrzenia skierowały się na kobietę. Spodziewano się, że złoży zeznania i pośle swego kochanka na szubienicę. Wpatrywano się w nią z makabrycznym wyczekiwaniem. Wśród rodziny hrabiego Misbourne, zasiadającej wśród publiki, jasno-blond włosami wyróżniała się lady Marianne. Wymieniła spojrzenia z Venetią, nim obie skoncentrowały się na Francisie.

- Panna Fox odmawia składania zeznań i nie może zostać przymuszona... nie jest już bowiem panną Fox, ale panią Linwood!

Rozległy się okrzyki zdumienia, które po chwili przerodziły się w zgłębione podniesionych głosów.

- Oskarżony i świadek oskarżenia są małżeństwem - dodał adwokat na wypadek, gdyby ktoś powątpiewał.

- Ale on ją, do cholery, właśnie poślubił! - zawołał ktoś z galerii.

- Spokój na sali! - zagrzemiał sędzia, czerwieniejąc na postarzałej twarzy. Patrzył przez chwilę groźnie na Venetię, po czym zwrócił się do oskarżycieli.

Publiczność ucichła.

- Skoro panna Fox nie będzie zeznawała, czy istnieją jakiegokolwiek dowody, że lord Linwood wywołał pożar w miejskiej rezydencji księcia Rotherham lub jest w jakikolwiek sposób związany ze śmiercią jego książęcej gości?

Venetia czuła, jakby żołądek zawiązał się jej na supeł. Zaszło jej w ustach. Dłonie złożone skromnie na podołku były w rzeczywistości tak napięte, że sygnet Linwooda odcisnął się na jej palcu siniakiem.

- Nie, wysoki sędzie - odparł po chwili oskarżyciel.

Dzięki Bogu, pomyślała Venetia. Popatrzyła na Roberta po raz pierwszy, odkąd weszła na salę sądową. Był ponury i rozgniewany. Kręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć w jej czelność i to, co zrobiła. Wszyscy sympatyzowali z synem zamordowanego, a nienawidzili Linwooda. Zastanawiała się, co by sobie pomyśleli, gdyby wyznała, że ona jest córką zabitego księcia.

Popatrzyła na sędziego, gdyż nadszedł właśnie długo wyczekiwany moment.

- W świetle przedstawionych dowodów lub ich braku...

- Sędzia znowu zawiesił wzrok na Venetii, nim dokończył:

- ...przez wzgląd na zarzuty wniesione przeciwko oskarżonemu nie mam innego wyboru, jak uznać oskarżonego za...

Venetia wstrzymała oddech wraz z całą salą sądową. Sekundy wydawały się rozciągać w minuty. Linwood patrzył w dal ze swoim zwykłym, nieprzeniknionym wyrazem twarzy - przystojny, zimny i niewzruszony, jakby to nie jego życie wisiało na włosku. Sędzia nadal milczał, przeciągając tortury. Nie wiedziała, jak długo jeszcze to wytrzyma.

- ...niewinnego.

Zamknęła oczy, a z jej płuc wydobyło się westchnienie. Czuła tak przemożną ulgę, że obawiała się, że zemdleje.

Na sali zapanował rozgardiasz. Venetia spojrzała na Linwooda. Nim zasłonił go przed jej wzrokiem wzburzony tłum, wymienili się spojrzeniami przepęlnionymi czymś więcej niż tylko ulgą i triumfem.

Formalności dopełniono w ogólnym zamieszaniu. Zaraz u boku Venetii zjawił się Razeby i osłonił ją przed krzykami dziennikarzy.

Zegar na kominku w salonie Linwooda tykał głośno i spokojnie. Misbourne z żoną, Marianne i Rafe Knight, choć wiedzieli, że Venetia jest córką Rotherhama, nie zajęknęli się o tym ani słowem. W końcu rozeszli się do swoich powozów, przebijając się przez tłum dziennikarzy na ulicy.

Linwood odprawił służącego, tego samego, któremu tak śmiało Venetia stawiała czoło, gdy odwiedziła dom przyszłego męża, by doprowadzić go do upadku. Po raz pierwszy od procesu byli sami.

Zapadał wieczór. Linwood wyglądał przez okno na zgromadzonych dziennikarzy. Venetia siedziała w jednym z foteli przy ogniu. Nie starali się wypełnić ciszy. Zmęczenie i niepewność zajęły miejsce napięcia i strachu.

Odszedł od okna i stanął przed nią. Przyglądał się jej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Wyciągnął rękę i podniósł ją z fotela. Stała tuż przed nim, a gęstniejący mrok podkreślił szlachetne rysy jego twarzy i ujawnił cienie pod oczami, których wcześniej nie dostrzegła. Uświadomiła sobie, że ten dzień nie był dla niego łatwy.

- To już koniec - powiedziała i oparła czoło na jego ramieniu.

Złożył pocałunek w jej włosach.

- Nie, Venetio - szepnął. - To dopiero początek.

Na jego twarzy zagościły ciepło i czułość, zapalając dla Venetii iskierkę nadziei.

- To, co powiedziałaś do mnie w celi...

Trzymał w dłoniach jej serce. Venetia czekała, aż je zmiażdży.

- Mówiłam prawdę, Francisie. Zawsze mówiłam ci prawdę, niezależnie od tego, co myślisz.

- Kochasz mnie.

- Kocham cię.

Położył kciuk na jej ustach, jakby chciał dotknąć tych słów.

- I ja ciebie kocham, Venetio - wyznał, patrząc jej w oczy.

Odetchnęła drżąco. Czuła, że jej serce rozkwita.

- Wiem - odpowiedziała.

Pocałował ją i wziął na ręce. Zaniósł do sypialni, gdzie stał nierozpakowany kufer podróżny, położył się razem z nią na łóżku i kochał ją.

„Lord morderca na wolności. Linwood zapewnia sobie bezkarność i względy bo-skiej panny Fox sześciocyfrową sumą i tytułem” - głosił jadowity nagłówek.

- Nie możesz ich powstrzymać przed skalowaniem cię? - Razeby skinął głową w stronę gazet rozpostartych na biurku Linwooda.

- Nie mam wszystkich gazet w Londynie - odparł Linwood, nalewając dwie fili-żanki porannej kawy.

- Zaledwie większość. - Uśmiechnął się Razeby.

- Dzięki temu skandal można zamknąć w pewnych ramach.

- To rzeczywiście fortunne. - Przyjaciel podniósł wzrok znad gazet. - Czy panna Fo... Czy lady Linwood je czytała?

Przytaknęła.

- A to już niefortunne.

- Może, ale Venetia dobrze zna zasady funkcjonowania prasy. Lepiej wiedzieć i być przygotowanym.

- Może powinniście na jakiś czas wyjechać - zaproponował Razeby, zaglądając do filiżanki. - Zniknąć na wsi na kilka miesięcy, aż sprawa trochę przycichnie. Mam w Szkocji dom myśliwski, chętnie wam go użyczę.

- Dziękuję, Razeby, ale wiesz, że to niemożliwe.

- Chyba masz rację - zgodził się ponuro Razeby.

- Chcemy stawić temu czoło. Razeby upił łyk kawy.

- Jeśli to cię podniesie na duchu, Linwood, jest wielu ludzi, którzy myślą, że Rotherham sam się o to prosił.

Spojrzał przyjacielowi w oczy, przekazując prawdziwe znaczenie swojej wypowiedzi.

Linwood bardzo uważał, żeby nie dać nic po sobie poznać, choć cień padł na jego duszę.

Ich uszu dobiegł szelest jedwabiu. W drzwiach sypialni ukazała się Venetia. Linwood zastanawiał się, ile słyszała.

- Lady Linwood - mruknął Razeby, odkładając filiżankę. Obaj wstali, ale tylko Razeby się uklonił. - Proszę wybaczyć wczesną porę mojej wizyty. Nie chciałem pani zakłócać spoczynku.

- Twoje odwiedziny w niczym nie przeszkadzają, Razeby. Jesteś tu zawsze mile widziany - odrzekła Venetia z godnością księżnej, choć też odrobinę chłodno.

- Jesteś, pani, niezwykle łaskawa, ale niestety muszę was opuścić. Lady Linwood... Linwood - pożegnał się. Spojrzał jeszcze raz na przyjaciela.

- Gdybyś jednak zmienił zdanie w sprawie Szkocji...

Wychodząc, poklepał jeszcze go po ramieniu. Venetia weszła do salonu i usiadła w fotelu zwolnionym przez Razeby'ego.

- Słyszałam, co powiedział o Rotherhamie - powiedziała po chwili.

Milczał.

- Myśli, że jesteś winny.

- Tak.

- A jest twoim przyjacielem.

Na moment odwrócił wzrok.

- Venetio - rzekł - cały Londyn ma mnie za człowieka, któremu uszło na sucho zamordowanie księcia. Już tak zostanie.

- Nie, jeśli znajdą prawdziwego mordercę.

Linwood zacisnął zęby, aż zagrały mięśnie jego żuchwy. W jego oczach pojawił się mrok. Popatrzył zamyślony w dal.

- Ale ty nie chcesz, żeby znaleźli, prawda? - zapytała łagodnie.

Spojrzał jej znowu w oczy, jakby chciał zajrzeć w jej duszę.

- Nie - przyznał w końcu. - Nie chcę.

To wyznanie zasiało ciszę między nimi.

- Dlaczego musisz go chronić? - zapytała, przerywając milczenie.

- Nie jego chronię.

- Więc kogo? Linwood pokręcił głową.

- Nie mogę zdradzić nie swojej tajemnicy, Venetio. Przysięgałem, że jej docho-  
wam, a nigdy nie łamię przysięg. Żadnych.

W ciszy Venetia słyszała echo przysięgi małżeńskiej i innej, którą sobie składali.  
„Winniśmy mówić prawdę albo milczeć”.

- Wiem. Dzięki temu zrozumiałam, że jesteś niewinny. Uśmiechnął się ze smut-  
kiem w oczach.

- Pomimo wszystkich dowodów.

- Tak.

Ucałował ją w czoło.

- Dziękuję ci, Venetio. Uśmiechnęła się.

- Nawet z moim i ojca wpływem na gazety... wiesz, że nie będzie łatwo.

- Nic nie jest łatwe - szepnęła.

Uśmiechali się do siebie, a potem jego usta znalazły drogę do jej warg i pocałował  
ją naprawdę.

Mijały dni, a Venetia wiedziała, że coś jeszcze dręczy Linwooda. Coś, co starał się  
ukryć. Widziała jego ponure zamyślenie, gdy sądził, że jest sam. Zbyt często budziła się  
nocami i czuła, że leży obok niej bezsennie. Sen rzadko go nawiedzał, a nawet wtedy nie  
przynosił wytchnienia, jedynie koszmary. Wiedziała, że wszystko to obraca się wokół  
morderstwa Rotherhama. Nie jej mąż go zabił, ale wiedział, kto był mordercą. Jakikol-  
wiek by był jego mroczny sekret, Linwood był gotów oddać życie, żeby go zachować,  
tak jak godził się na piętno mordercy.

Martwiła się o niego. Martwiła ją ta straszna tajemnica i to, co mogła oznaczać dla  
nich obojga. Pocałunki nie zdejmowały troski z jego oczu, choć próbowała wielokrotnie.  
Czuła, że nie ma prawa zmuszać go do wyznań, skoro sama chowa przed nim własny se-  
kret.

Narastała w niej czułość i miłość do niego. Była przyczyną jego wielkiego cierpie-  
nia, a on przetrwał wszystko. Kochał ją, choć była córką Rotherhama. A ona nie potrafiła  
wyznać całej prawdy z obawy, że tę miłość utraci.

Pewnej nocy obudziła się w pustym i zimnym łożu. Wstała, owinęła się czarną chustą i poszła go szukać.

Stał przy oknie w salonie i wyglądał w noc. Pokój był ciemny, a światło księżyca użyczało srebrzystego blasku.

- Francisie - szepnęła i dotknęła jego zimnej skóry, przytulając się do jego pleców. Ucałowała go i stanęła u jego boku.

- Venetio. - Oparł dłoń na jej biodrze. - Nie chciałem cię obudzić.

- Nie obudziłeś.

Patrzyli razem w czyste nocne niebo. Księżyc miał kształt sierpa, był srebrny, smukły i jasny. Miriady gwiazd rozrzuconych w ciemności błyszcząły mocniej niż jakiegokolwiek diamenty. Znalazła znajomy kształt, który tyle dla nich znaczył.

- Pegaz - szepnęła.

- Tak. - Pocałował ją w czoło obok brwi.

W milczeniu przyglądali się konstelacji.

- Martwisz się.

- Trochę.

- Chodzi o Rotherhama. Skinął głową.

- Nie mogą cię powiesić, nawet jeśli uważają cię za winnego.

- Nie to mnie martwi, Venetio.

- Francisie? - popatrzyła na niego w nagłym lęku.

- Nie przejmuj się. Nie chcę zadyndać na stryczku. Ale czy to ich powstrzyma przed szukaniem kogoś na moje miejsce?

- Wszyscy wierzą, że to ty. Nie mogą udawać sprawiedliwości, szukając jednocześnie kogoś innego.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, Venetio.

- A ja bym chciała.

Pogładził ją po policzku.

- Gdybyś wiedziała, co to znaczy, nie pragnęłabyś tego. Zadrzała, słysząc głęboki smutek w jego głosie. Pocałował ją tam, gdzie przed chwilą dotknął palcami.



- Drżysz z zimna. Wracajmy do łóżka. Jutro musimy stawić czoło moim rodzicom i po raz pierwszy wystawić się na widok publiczny.

W ciemności odnalazł jej dłoń i splótł z nią palce.

W salonie hrabiego Misbourne słychać było głośnie tykanie zegara. Jeszcze głośniej odezwała się chińska porcelana lady Misbourne, gdy matka Linwooda odłożyła filiżankę na spodek. Ani razu nie spojrzała na Venetię.

- Może twoja... żona... napiłaby się jeszcze herbaty? - zapytała Francisa, prawie się krzywiąc przy słowie „żona”.

Venetia była niewzruszona jak jeszcze nigdy w życiu. Odstawiła filiżankę z delikatną elegancją.

- Z największą przyjemnością, lady Misbourne.

Matka Linwooda nie poruszyła się, by napełnić jej filiżankę. I teraz na nią nie spojrzała. Usta miała skrzywione, jakby gryzła cytrynę, a twarz upartą i pełną wrogości.

Niezręczna chwila się przedłużała. Venetia sięgnęła po dzbanek.

- Czy ktoś jeszcze ma ochotę? - zapytała.

Misbourne odchrząknął i wymamrotał podziękowanie.

- Dziękuję, nie - odpowiedział Linwood.

Był jak nigdy dumny z żony i zawstydzony małostkowością matki.

- W takim wypadku... - Venetia spokojnie dolała sobie herbaty i odstawiła dzbanek.

Lady Misbourne była wstrząśnięta. Wbiła wzrok w Venetię.

- Jak pani śmie odgrywać rolę gospodyni?

- To łatwe, skoro ty jesteś tak niegrzeczna, matko - odparł Linwood.

- Niegrzeczna? - wysapała lady Misbourne i popatrzyła, jakby ją spoliczkował. - Ja ci powiem, co jest niegrzeczne. Sprowadzanie tej kobiety do mojego domu i oczekiwanie, że będę jej usługiwała!

- Chyba zapominasz, że ta kobieta jest moją żoną! Jeśli nie potrafisz odpowiednio Venetii traktować, wyjdziemy.

Lady Misbourne wyglądała, jakby się miała rozplakać. Przycisnęła do oczu koronkową chustkę.

- Pamiętaj, że zwracasz się do swojej matki, Francisie - zbeształ go ojciec. - Jest wrażliwa, a ta sytuacja jest dla niej bardzo trudna.

- Dla nikogo z nas nie jest łatwa. Pamiętaj, że gdyby nie Venetia, wisiałbym już na szubienicy.

Misbourne spojrzał gniewnie i zerwał się na równe nogi.

- Niech to, chłopcze! To ona założyła ci pętlę na szyję! Gdyby nie ona, wyszedłbyś z tego całkiem bez szwanku. Sterowała tobą na własny użytek. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Po tym, co Rotherham uczynił naszej rodzinie, mamy teraz w swoich szeregach jego swawolną, nieślubną córkę. Jakże musi się z nas śmiać w piekle!

Linwood też porwał się na nogi i stanął naprzeciw ojca.

- Za dużo sobie pozwalasz, sir! - rzekł cicho i groźnie.

Venetia wstała i położyła mu uspokajająco rękę na napiętych mięśniach ramienia.

Misbourne się cofnął.

- Być może - rzekł. - Ale ty jesteś moim synem, moim dziedzicem. Pomogłem ci zorganizować ślub, żeby ocalić ci życie, ale nie oczekuj, że mi się to spodoba.

- Jest inaczej, niż myślisz, ojcze. - Linwood popatrzył mu w oczy. - Między mną i Venetią i z całą resztą.

Nie mógł powiedzieć nic więcej. Może jednak Misbourne wyrozumiał coś z jego słów, gdyż westchnął z rezygnacją i smutkiem.

- Dlaczego to musi być ona?

Lecz na to pytanie odpowiedziała Venetia. Odpowiedziała z wściekłością, w której była jeszcze piękniejsza.

- Zadajesz niewłaściwe pytanie, panie. Misbourne zmarszczył czoło i spojrzał na Venetię.

- Mówisz, że uszło mu to na sucho. Jemu! - Pokręciła głową. - Twój syn, który tak łatwo bierze na siebie winę i gotów jest iść na szubienicę, nie umie się przyznać do zbrodni? Czy kiedykolwiek zadałeś mu, panie, pytanie, czy jest win...

- Wystarczy, Venetio - powstrzymał ją Linwood, ale niedokończone słowo i tak zawisło w powietrzu.

- Naprawdę? - Spojrzała na niego gorejącym wzrokiem. - Mam nadzieję.

Wzrok Misbourne'a przeniósł się na Linwooda. Francis dostrzegł bladość pod jego szarym zarostem i, po raz pierwszy, wątpliwość.

- Francisie? - szepnął ojciec.

- Nigdy mnie nie zapytałeś - odpowiedział. - Ani razu. Zawsze tak dobrze mnie znasz...

- Ale...? - Lady Misbourne przestała się bawić chustką i stanęła u boku męża. - O czym on mówi, George?

Ojciec patrzył na syna z zastygłym wyrazem przerażenia. Jego twarz miała popielaty odcień, a zaciśnięte usta straciły kolor. Francis spojrział ojcu w oczy, które tak bardzo przypominały jego własne. Podniósł przyłbicę, pozwalając mu ujrzeć prawdę.

- Mój Boże... - szepnął Misbourne, gdy wreszcie zrozumiał.

- George? - powiedziała przestraszona lady Misbourne.

- Wyjaśnienie tego zostawię tobie, panie. - Linwood się uklonił. - Proszę o wybaczenie, ale musimy się z żoną przygotować na nadchodzący wieczór.

Venetia wzięła go pod ramię i oboje wyszli z domu Misbourne'ów.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kilka godzin później Venetia stała przed nim w przedpokoju ich własnego domu, czekając, aż narzuci jej na ramiona ciemny, aksamitny płaszcz. Założyła tę samą ciemnoczerwoną suknię, którą miała na balkonie, wydawałoby się, tak dawno temu. Jedwab spodnicy oplatał kształty, które Linwood dobrze już poznał. Lśniące włosy upięła, pozostawiając kilka swobodnych kosmyków, które opadały kusząco na szyję. Wyglądała jeszcze piękniej niż tamtego wieczoru, który przypieczętował ich wspólny los. Teraz, kiedy Linwood na nią patrzył, widział nie zmysłową i wyrefinowaną aktorkę, ale kobietę, którą była naprawdę.

Wyjął z kieszeni i podał jej czarne pudełko. Kiedy je otworzyła, oniemiała z zachwytu. W środku spoczywał naszyjnik. Rubiny były przejrzyste i ciemne jak jej suknia, a diamenty lśniły jaśniej niż gwiazdy na niebie.

- Rubiny Linwoodów - wyjaśnił. - Przysłała je moja matka. Przysługują ci jako mojej żonie. Próbuje cię w ten sposób przeprosić i udowodnić całemu Londynowi swoją akceptację.

- Są piękne - szepnęła.

- Nie tak jak ty - powiedział i ułożył kamienie wokół jej szyi.

Patrzyli na siebie w blasku świec. Oboje wiedzieli, co ich czeka tego wieczoru w teatrze.

- Jesteś gotowa, Venetio?

- Gdy tylko będziesz przy mnie.

Wzięła go pod ramię i razem wyszli na zewnątrz, gdzie czekał już na nich powóz.

W teatrze spotkali się z przewidzianą reakcją. Były zdumione spojrzenia i usta w grymasie oburzenia. Gwar plotek i szepty, które z łatwością słyszeli. Morderca. Ladacz-nica. Ci, z którymi Linwood znał się całe życie, sąsiedzi, jego matka chrzestna, dżentelmeni nazywający siebie dotąd jego przyjaciółmi - wszyscy odwracali się do nich plecami. Linwood czuł, że zaraz się uniesie, nie ze względu na siebie, ale na godność swojej żony. Socjeta była okrutna, małostkowa i ślepa na własną hipokryzję. Venetia ścisnęła go za ramię, a on spojrzał jej w oczy. Jego żona była silniejsza, spokojniejsza i bardziej pewna siebie, niż kiedykolwiek czuła się jako Venetia Fox. Uśmiechnęła się do niego, a on, wbrew wszystkiemu, odpowiedział jej uśmiechem.

- Nie możemy ich teraz zawieść, prawda? - szepnęła i pocałowała go w usta.

Damy jęknęły przerażone, dżentelmeni westchnęli z utęsknieniem.

- Jest pani niepoprawna, lady Linwood - szepnął jej do ucha.

- Pan również, lordzie Linwood. - Uśmiechnęła się szerzej.

Serce zabiło mu żywiej.

Wszedł razem z nią do łoży. Gotów był stawić czoło całemu światu.

Następnego popołudnia Venetia stała przy oknie ich pokoju dziennego i patrzyła, jak mąż odjeżdża wierzchem do klubu. Spoglądała za nim, aż nie zniknął jej z oczu. Słońce świeciło jasno, ale w powietrzu unosił się mroźny zapach nadchodzącej zimy. Owinęła się szczelniej szalem i poszła kończyć list do madame Boisseron.

Zaledwie dwadzieścia minut później zapukał do drzwi kamerdyner.

- Lady Marianne - pani Knight - przyszła w odwiedziny. Jest pani w domu? - zapytał.

Skinęła głową.

- Zaproś ją, proszę, do środka.

Chwilę później stała przed nią siostra Linwooda. Na twarzy malowała się jej niepewność.

- Lady Linwood, Venetio... byłam niedaleko i pomyślałam, że może mielibyście ochotę przyjść do nas z Francisem na kolację w przyszłym tygodniu?

- To bardzo miło z twojej strony, lady Marianne.

- Proszę, mów mi po imieniu. Jesteśmy teraz przecież siostrami? - uśmiechnęła się nieśmiało.

- To prawda - zgodziła się z uśmiechem Venetia. - Dziękuję, Marianne. Wiem, jak trudno jest ci tutaj przychodzić.

- Wcale nie. Żałuję, że nie odwiedziłam was wcześniej.

- Jesteś. Tylko to się liczy. Usiądź, proszę. Napijesz się ze mną herbaty?

Marianne uśmiechnęła się i trochę odprężyła.

- Bardzo chętnie - powiedziała i usiadła naprzeciwko Venetii. Spojrzała na przybory piśmiennicze i na w pół zapisaną kartkę. - Przeszkodziłam ci w pisaniu listów.

- Mój nadgarstek będzie ci wdzięczny - odparła.

Rozmawiały o rzeczach obojętnych, bezpiecznych i dalekich od tematu Rotherhama, procesu oraz przeszłości Venetii. W końcu Marianne odstawiła pustą filiżankę na tacę i podniosła się do odejścia.

- Dziękuję, że ocaliłaś mojego brata, Venetio. - Zamilkła na chwilę. - Miałam rację wtedy, kiedy spotkałyśmy się na balu. Naprawdę go kochasz.

- Bardziej, niż mogą wyrazić słowa - przyznała. Zamilkły.

Marianne skubała szew rękawiczki i nie zęgała się. Wyraźnie chciała o czymś jeszcze powiedzieć, choć nie wiedziała, jak sprawę ująć. Przygryzła wargę i w końcu podniosła wzrok. Spojrzała na Venetię.

- Czy powiedział ci dlaczego? - zapytała.

Na kominku tykał zegar. Węgiel na palenisku trzasnął i zasyczał.

- Nie może zdradzić nie swojej tajemnicy - odparła Venetia.

- Nie - rzekła Marianne cicho. - Ale ja swoją mogę.

Venetia przypomniała sobie, jak Linwood tłumaczył swoją nienawiść do Rotherhama. „Skrzywdził kogoś bardzo mi bliskiego. Skrzywdził okrutnie”.

- Rotherham - powiedziała z wolna, pełna złych przeczuć.

- Był twoim ojcem, Venetio, ale był też potworem.

- Skrzywdził cię.

Marianne milczała przez chwilę.

- Zgwałcił mnie - wyznała.

Wstrząs i przerażenie odebrały Venetii mowę. Z trudem zdobyła się na podjęcie tematu.

- Przykro mi, Marianne. - W tym momencie zrozumiała ostre słowa Misbourne'a oraz to, jak wiele musiało kosztować Linwooda i jego rodzinę przyjęcie w swoje szeregi córki Rotherhama. - Nie miałam pojęcia...

- Ukrywaliśmy to. Inaczej byłabym zrujnowana.

- Choć nie było w tym twojej winy.

- Obie znamy niesprawiedliwość społeczeństwa, gdy chodzi o potępienie kobiety, Venetio.

- Tak.

Patrzyły sobie w oczy.

- Rotherham umknął na kontynent, nim ojciec i brat zdołali go dopaść. Poprzysięgli go zabić, jeśli kiedykolwiek wróci. Nie sądziliśmy, że się odważy... ale on wrócił. - Ostatnie słowa wypowiedziała zdławionym głosem. Zamknęła oczy, tak podobne do oczu jej brata, i odetchnęła kilka razy. Kiedy je ponownie otworzyła, odzyskała nad sobą panowanie.

- Francis jest dobrym człowiekiem - dodała.

- I dotrzymuje słowa - dodała Venetia cicho.

- Chciałam ci o tym powiedzieć, bo wiem, że on by nie mógł. Rozumiesz to, prawda, Venetio?

Przytaknęła.

- Chyba powoli zaczynam.

- Zatem cieszę się, że cię odwiedziłam.

- Ja też się cieszę - odparła Venetia, ale się nie uśmiechała.

Nie była pewna, czy rzeczywiście ma powody do radości.

Patrzyła na odjazd powozu. Kiedy się odwróciła, jesienne słońce ustąpiło w pokoju miejsca zimnemu, szaremu światłu zimy.

Venetia nie mogła odpędzić myśli o tym, co Rotherham zrobił. Ogarnęły ją mdłości i mróz, którego nie mogła przegnać, nawet grzejąc się przy kominku. Zastanawiała się, jak zachowałby się Robert, gdyby ktoś ją zgwałcił. A przecież ich relacje były dużo luźniejsze niż Linwooda i Marianne.

Mimo to pamiętała wyraz bólu w jego oczach, gdy ojciec uznał go za winnego. I wyraz jego twarzy, gdy broniła jego niewinności - wdzięczność, miłość i coś, co dotyczyło samego jej serca i duszy. Szanowała to, że dochował tajemnicy Marianne. Był słowny i honorowy. Kochał ją, a ona jego. Mimo to nie mogła rozproszyć niepokoju w swoim sercu. Dziwiła się rodzinie tak zagubionej wśród cieni przeszłości.

Była wzburzona i zaniepokojona. Nic nie było w stanie jej uspokoić - ani herbata, ani pisanie listów, ani wyglądanie bez końca przez okno. Chodziła po pokoju, czekając przybycia męża, ale godziny mijały, a on nie wracał. Ciemność ogarnęła niebo i zaczął padać deszcz. Zawodzący wiatr poruszał zasłonami przy oknie.

Usiadła przy biurku i zapatrzyła się w przestrzeń. Myślała o opowieści Marianne, o mroku, który połączył ją z Francisem. W tak krótkim czasie wydarzyło się tak wiele. Tygodnie zdawały się latami. Pamiętała ostatnią okazję, przy której siedziała sama, wieczorem, naprzeciwko jego biurka. Było to wtedy, gdy przyszła szukać dowodów jego winy.

Wspomniała swój straszny wewnętrzny konflikt, kiedy chciała znaleźć skradzione przedmioty i zarazem bała się tego. Pamiętała, jak pokazał jej zawartość swojego sejfu. Obraz nadaj tu wisiał, koń przechadzał się dumnie przed stajnią. Zastanawiała się, czy rachunek i chusteczka nadal są w sejfie, czy też pozbył się ich, kiedy odkrył, że go zdradziła.

Spojrzała na bibliotekę, nie chcąc o tym myśleć ani nawet patrzeć na obraz, który myśl wywołał.



Co pomyślał Linwood, kiedy dowiedział się, że Rotherham był jej ojcem? Dopiero w świetle wyjaśnień Venetia zrozumiała, jak trudne musiało to dla niego być. Wspominała zimnego, surowego człowieka, jakim był Rotherham, i swoją matkę, która go pokochała. Jak zwykle przy tych myślach czuła wstyd i wściekłość. Za ojca miała potwora.

Odsunęła od siebie wspomnienia i raz jeszcze spojrzała na książki, te same tomy, które widziała owej pamiętnej nocy. Książka o astronomii, w której była ilustracja Pega-za, obok książka o życiu brytyjskich wilków. A na półce niżej druga kopia tej samej książki o wilkach.

Strach przebiegł jej dreszczem po plecach. Nie rozumiała, dlaczego wcześniej nie zwróciła na to uwagi. Wilk. Tytuł kazał jej myśleć o srebrnej głowie wilka ze szmaragdowymi oczami, zdobiącej laskę jej męża.

Wyciągnęła egzemplarz z niższej półki i położyła na biurku. W jej piersi czaiło się straszne przecucie. Nie chciała zaglądać do środka, ale wiedziała, że musi. Ręce jej drżały, kiedy dotknęła granatowej okładki i otworzyła książkę.

Jej serce na moment stanęło. Wszystko, w co wierzyła, rozpadło się w pył. Nie było frontyspisu ani monogramu świadczącego o tym, do kogo książka należała. W środku były tylko wiersze zapisane drobnym pismem, które znała aż za dobrze... pod datami pamiętnika.

Venetia poczuła się oszukana. Mogła tylko patrzeć i próbować się pozbierać po tym wstrząsie. Nie potrafiła się ruszyć. Oślupiała, a cały świat pędził dalej. Nie potrafiła w to uwierzyć. Mimo to wiedziała, że jest to prawda.

- Och, Boże, pomóż mi! - szepnęła. - Och, Boże!

Przycisnęła ręce do brzucha, ale nie udało się jej opanować mdłości. Nigdy nie czuła się gorzej.

- Proszę, nie! - modliła się, ale dziennik Rotherhama nadal leżał na biurku.

Nie mogła złapać tchu, miała wrażenie, że jej pierś otacza kurcząca się obręcz. W miejscu jej serca był już tylko ból.

Nie wiedziała jak udało się jej wrócić na krzesło przy biurku. Siedziała w coraz głębszej ciemności, wstrząśnięta i oniemiała. Wiedziała bowiem, że pamiętnik mógł Linwood znaleźć tylko w jednym miejscu. A to oznaczało, że Robert miał rację.

Czuła się tak, jakby wyrwano jej serce. Nie mogła zrozumieć, dlaczego skłamał. Nie potrafiła pojąć, dlaczego Linwood to zrobił. Mogła nawet wybaczyć mu... morderstwo... Ale nie umiała przebaczyć mu zdrady. To ona ją najbardziej bolała. Oraz jej własna łatwowierność, arogancka i głupia w obliczu zdania wszystkich wokół. Wzdrygnęła się na myśl o tym, co powiedziała jego ojcu w naiwnej determinacji.

Linwood jej nie okłamał. Nigdy nie twierdził, że jest niewinny. Dlaczego więc tak się czuła? Jakby cała wiara w mężczyznę, za którego wyszła - którego kochała - obróciła się w pył i uleciała z wiatrem... Wydawało się jej, że gra w oszustwo za pomocą prawdy dobiegła końca, że była już tylko ona. I że był on. Ale Linwood grał dalej, nawet kiedy już zwyciężył.

Z jej oczu nie popłynęła ani jedna łza. Czuła tylko przerażającą pustkę, kipiącą wściekłość i brak nadziei. Mogła tylko czekać.

Na zewnątrz wiatr wył, a deszcz bez końca bił w szyby.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Gdy zakończyło się spotkanie Bractwa Wilka, było dużo później, niż Linwood przewidywał. Nie poszedł napić się z pozostałymi, tylko skierował się prosto do domu. Z chwilą gdy otworzył drzwi salonu, wiedział już, że stało się coś złego.

Dostrzegł Venetię siedzącą w ciemności. Ogień niemal całkiem już wygasł. W pokoju panowały chłód i mrok.

- Venetio?

Zdjął świecę z lichtarza i zapalił od żarzących się jeszcze węgla. Za jej pomocą rozpałił resztę oświetlenia. Nie odkładając świecy, zbliżył się do żony.

- Myślałem, że będziesz już spała. Spotkanie się przeciągnęło.

- Tak? - zadrwiła przerażającym, martwym głosem.

- Co się stało? - zapytał, stając przed nią.

- Marianne przyszła się dziś ze mną zobaczyć.

- Ach - szepnął.

- Opowiedziała mi, co zrobił jej Rotherham.

- Zatem rozumiesz, dlaczego nie mogłem ci o tym powiedzieć.

- Rozumiem to.

- Dziękuję. Obawiałem się.

- Ale nie rozumiem, dlaczego mnie okłamałeś.

- Nigdy cię nie okłamałem, Venetio.

- Nigdy?

- Nie.

- Na co przysięgniesz, Francisie?

- Na co tylko zechcesz.

- Na moje życie? A może Rotherhama?

- O co chodzi, Venetio?

Popatrzyła znacząco na biurko. Linwooda przeszły ciarki, kiedy podązał za jej spojrzeniem. Na blacie leżał pamiętnik, który zabrał z gabinetu Rotherhama w noc morderstwa.

- Rozumiem - rzekł.

- Nareszcie! To dziennik Rotherhama. Czy dobrze się bawiłeś, przekonując mnie do swojej niewinności? Śmiałeś się z tego, jaka jestem naiwna? Może pospołu z rodzicami? A to ja podobno jestem aktorką!

- Jest inaczej, niż myślisz. Mogę ci wytłumaczyć, skąd mam pamiętnik.

- A wytłumaczysz morderstwo? Czy zamierzasz dalej mnie oszukiwać w tej swojej sprytniej grze?

Zacisnął wargi.

- Gra między nami zakończyła się dawno temu, Venetio. A nawet wtedy ani razu cię nie oszukałem.

- To zależy od tego, jak rozumiesz kłamstwo. Byłeś przebiegły - uważny dobór słów, przemyślna taktyka.

- Ten jeden, jedyny raz w życiu byłem daleki od przebiegłości.

- Czyżby? Przysięgałeś mówić prawdę albo milczeć. I milczałeś zamiast się bronić.

To dość przebiegłe. - Roześmiała się z goryczą. - Nic dziwnego, że nigdy nie zaprze-

czależ. Nawet przede mną, kiedy byliśmy sami. A ja, głupia, myślałam, że kogoś ochraniaasz.

Wybuchła nieszczerym śmiechem, w jej oczach pojawiły się łzy.

- I rzeczywiście, tylko nie tak, jak mi się zdawało. Zamordowałeś Rotherhama, żeby chronić Marianne.

- Venetio...

- A wiesz, co jest najgorsze, Francisie? - Stała przed nim z uniesioną głową. - Gdybyś był ze mną szczerzy, gdybym wiedziała, że go zabiłeś... i tak pewnie nie zrobiłoby to żadnej różnicy.

Ze złością otarła z policzków łzy.

- Zrobiłeś ze mnie taką głupią!

- Mylisz się, Venetio. - Linwood podszedł do niej, ale kiedy chciał ją objąć, walczyła i próbowała uciec. Powstrzymał ją delikatnie, zmuszając, by na niego spojrzała i wysłuchała, co ma do powiedzenia.

- Nie zabiłem Rotherhama. Przysięgam.

Jego głos zabrzmiał pewnie. Deszcz atakował wściekle szyby, a wiatr kołysał zasłonami. Płomienie świec tańczyły dziko i kryły jego twarz w niebezpiecznych półcieniach.

Venetia oddychała głęboko, muskając biustem jego pierś.

- Masz jego pamiętnik.

- Tak. Ale go nie zabiłem.

Przez dwa bolesne uderzenia serca patrzył na cierpienie w jej oczach.

- Mogę ci opowiedzieć, co się wydarzyło tamtej nocy, skoro nie wiąże mnie już tajemnica Marianne.

Patrzyła mu przez chwilę w oczy i skinęła głową.

- Opowiedz - zgodziła się.

Podszedł do okna i wyjrzał w ciemność.

- Miałaś rację. Chodzi o dobro Marianne. Powiedziała ci, co Rotherham jej zrobił?

- Tak - szepnęła. - Rozumiem, dlaczego chciałeś go zabić.

- Bardzo chciałem. Ojciec też. Zrobilibyśmy to trzy lata wcześniej, ale uciekł na kontynent.

- I spaliłeś jego dom jako ostrzeżenie, żeby nie wracał?

Linwood pokręcił głową.

- Spaliłem dom, żeby zniszczyć pamiętniki. Zapisywał w nich wszystkie szczegóły swojego zainteresowania Marianne, wszystko, co jej zrobił przez lata dzięki znajomości z moim ojcem. Gdyby ktokolwiek je przeczytał... Nie mogłem ryzykować, że coś tak strasznego się jej przydarzy.

- Ale Rotherham nie został we Włoszech. Wrócił w tym roku do Londynu.

- Do Marianne. Miał na jej punkcie obsesję.

- Jest młodsza ode mnie, a jestem jego córką.

- To nie miało znaczenia. Brał to, co chciał. A Marianne chciał nawet po jej ślubie.

Poznałaś Rafea Knighta, męża Marianne.

Przytaknęła.

- Wygląda na kogoś, komu lepiej nie wchodzić w drogę.

- Tak. - Linwood przypomniał sobie, kiedy poznał Rafea. - Knight zabiłby Rotherhama, gdyby Marianne go nie powstrzymała.

- Rotherham otrzymał ultimatum. Mógł ująć z życiem, jeśli opuściłby znowu kraj. Nie chciał się zgodzić. Uczęszczał na te same przyjęcia, co Marianne, zupełnie jakby z niej drwił, jakby drwił z nas wszystkich.

- Mogę sobie tylko wyobrażać, jak musieliście się czuć. - Położyła rękę na jego dłoni.

Milczał przez chwilę.

- Poszedłem wieczorem do domu, który wynajmowałem. Chciałem go ostrzec, że ma jeszcze jeden dzień na opuszczenie Londynu. Ale kiedy tam przyszedłem, już nie żył.

Linwood zamknął oczy, wspominając tę scenę. Rotherham leżał na swoim biurku w kałuży ciemnej krwi, która lśniła w blasku świec. Wciąż jeszcze czuł metaliczny zapach.

- Ktoś mnie ubiegł.

- Myślałeś, że zabił go twój ojciec.

- Ojciec ma chorą rękę.

Venetia przypomniała sobie bezwładną kończynę księcia, która zwróciła jej uwagę, kiedy spotkali go przed Gunterem.

- Nie może strzelać - ciągnął Linwood. - To musiał być Rafe Knight. Znalazłem więc dziennik i wyszedłem. Następne tygodnie to był koszmar. Cieszyłem się ze śmierci Rotherhama, ale byłem też wściekły.

- Ponieważ wiedziałeś, że odbędzie się dochodzenie i obawiałeś się ujawnienia tajemnicy Marianne?

Skinął głową.

- I dlatego, że sam chciałem go zabić.

- A wtedy zjawiłam się ja z moimi pytaniami... - powiedziała łagodnie.

- Tak.

Popatrzyli na siebie.

- Nie broniłeś się, bo nie chciałeś ryzykować, że dotrą do Knighta.

- Gdyby go powiesili, Marianne nigdy by się z tego nie podniosła. A już dość się nacierpiała.

- To musiało być dla ciebie wielkie brzemię.

- Cieszę się, że mogłem ci wreszcie o tym powiedzieć, Venetio.

Łzy płynęły jej już otwarcie po policzkach. Nie ukrywała ich. Francis rozłożył ramiona, a Venetia przytuliła się do niego i z głową na jego piersi płakała. Czuła ulgę i współczuła mu. Szlochała, a na zewnątrz wiatr i deszcz odpowiadały jej zawodząco.

Trzymał ją w ramionach, aż nie miała już łez do wypłakania, a jej oczy były suche i zaczerwienione. Obejmował ją, aż burza za oknem i ta w jej duszy uspokoiły się i pozostało tylko kojące bicie jego serca. Pocałowała go przez mokrą od łez koszulę. Całowała jego szyję, podbródek, usta z całą mocą uczucia. Ich wargi dotykały się z czułością, aż spojrzała w jego ciemne i mądre oczy, przykładając dłonie do policzków.

- Kocham cię, Francisie - wyznała i ściągnęła fular z jego karku. Rozpięła koszulę i całowała go, dotykając szerokich ramion i wsuwając dłonie pod klapy marynarki. Wyczuwała na niej wilgoć deszczu, a pod nią ciepło męskiego ciała.

- Przeziębisz się - zatroskała się. Zdjęła z niego marynarkę i rzuciła na podłogę.

Pocałowała go i pozwoliła swoim dłoniom wędrować po jego gładkiej piersi, plecach i na umięśniony brzuch.

Czuła drzenie, słyszała przyspieszony oddech i sięgnęła do rozporka bryczesów.

Chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Całując, rozpinał jej suknię. Po chwili stanęli nadzy w blasku świec.

- Zniósłbym ten mrok, ból i trud sto razy, byle zaprowadziły mnie do ciebie, Venetio. Kocham cię. Całym sobą. I to się już nie zmieni.

Wziął ją w ramiona i kochał. Jej serce przepelniała radość.

Następnego ranka zimowe niebo było niebieskie, powietrze przejrzyste, a słońce świeciło jasno. Linwood czuł, jakby pozbył się wielkiego ciężaru, mimo że nadal martwił się, czy władze nie dotrą do Knighta. Niezależnie od przeszłości i tego, co miała przynieść przyszłość, Venetia go kochała i to mu wystarczało. Zrozumiał w końcu, co Knight czuł do Marianne. Jeśli przypominało to jego uczucie do Venetii, zastanawiał się jedynie, dlaczego jego szwagier nie zabił Rotherhama wcześniej. Gdyby ktoś skrzywdził Venetię, Linwood nie ręczyłby za siebie.

W słońcu jej skóra wyglądała przepięknie. Była jego sercem, jego życiem. Podniosła wzrok znad filiżanki i uśmiechnęła się, widząc, że na nią patrzy. Wyciągnęła rękę i chwyciła białymi palcami jego oliwkową dłoń. Nadal miała na serdecznym palcu jego rodowy sygnet.

Zatrzymali się przed regałem. Obok słońce padało na strony dziennika Rotherhama, gdzie go zostawiła.

- I pomyśleć, że był tu przez cały czas. Nie zwróciłam uwagi, że miałeś dwie książki pod tym samym tytułem. Na widoku, tak jak od początku myślałam.

Dopiero po chwili zrozumiał znaczenie jej słów. Jego serce przyspieszyło.

- Ale przecież szukałaś zaginionego pistoletu... a nie dziennika.

- Szukałam jednego i drugiego.

- Wiedziałaś, że zaginął? - Linwood nie umiał ukryć zaniepokojenia.

- Nie wiedziałam, że to pamiętnik, ale tak, wiedziałam, że zabrałaś jakąś książkę. -

Patrzyła na niego zdziwiona.

- Ale skąd, Venetio? - starał się nadać swojemu głosowi swobodny ton.



- Od Roberta. Jego świadek widział, jak ją wynosisz.

- Clandon! - Nazwisko zabrzmiało na jego ustach jak przekleństwo. Łuski opadły mu z oczu. Był wstrząśnięty doniosłością odkrycia. - Byłem takim cholernym głupcem!

Przycisnął dłoń do swego czoła.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To Clandon zastrzelił Rotherhama, a nie Knight!

Skrzywił się na myśl o tym, jak lekkomyślne były jego dotychczasowe przypuszczenia.

- Robert? To szaleństwo!

- Tylko tak Clandon mógł wiedzieć o pamiętniku. Musiał być wtedy w pokoju.

- Ale świadek...

- Miałem płaszcz. Pamiętnik schowałem, nim wyszedłem z gabinetu.

- A może mój brat zauważył brak jednej pozycji.

- Nie zostawiłem na półce wolnego miejsca. Clandon nawet nie wiedział, że wasz ojciec prowadził dziennik.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Ależ mogę, Venetio! - popatrzył jej w oczy.

- Masz na myśli tę drugą książkę o tym samym tytule? Wyjął ją i pokazał.

- Mój pamiętnik - wyjaśnił.

- Nie rozumiem.

- Rotherham należał do pewnego tajemnego klubu. To Bractwo Wilka. Ja też do niego należę.

Venetia dotknęła jego błyszczącej laski.

- Twoja wilcza laska...

- Wilk to nasz symbol. Każdy członek bractwa ma obowiązek prowadzenia dziennika i wszyscy ukrywają je tak samo.

- W tej samej książce - szepnęła.

- Oprawionej jak reszta biblioteki. W dzienniku nie wolno się podpisywać, każdy ma tylko numer, który odpowiada właścicielowi. Nie wolno nam wspominać o istnieniu

stowarzyszenia ani niczym, co jego dotyczy. Wiesz, jak skrupulatnym człowiekiem był Rotherham.

- Tak.

- Nigdy by nie powiedział Clandonowi. Venetia zamknęła oczy.

- Nie mogę w to uwierzyć. Robert nie uczyniłby czegoś takiego. Rotherham był mu życzliwy. Przedstawiał w towarzystwie, wyznaczył hojną pensję. Spłacił nawet jego długi karciane. Mój brat nie jest doskonały, ale morderstwo? Musi istnieć inne wytłumaczenie.

Popatrzyła na dziennik.

- Czytałeś go?

- Nie byłem w stanie. - Zacisnął zęby. - Dużo pisze o mojej siostrze.

Zbladła.

- Może jest tam jakaś wzmianka o dniach poprzedzających morderstwo.

- Masz rację - zgodził się Linwood.

- Przeczytam go, Francisie. Podziękował jej wzrokiem za zaangażowanie.

- Wolałbym ci tego oszczędzić - rzekł cicho.

- Nawet jeśli to absolutnie konieczne? Marianne jest twoją siostrą, a Robert moim bratem. Muszę znać prawdę.

- Przeczytamy go więc razem - zgodził się.

Venetia miała mdłości, czytając słowa Rotherhama. Choćby nie wiadomo, jak długo się przygotowywała i na jakie żądze była w przeszłości wystawiona, tym razem chodziło o jej ojca.

Lekturę zaczęli od dnia morderstwa i cofali się coraz dalej w przeszłość. Nie musieli się zbytnio oddalać, by poznać prawdę. Wystarczyło zaledwie kilka dni.

Venetia zacisnęła powieki i westchnęła.

Linwood zamknął książkę.

- Nie musisz się z nim widzieć, Venetio. Sam mogę to zrobić.

- Muszę. Chcę go zobaczyć, dać mu szansę się wytłumaczyć.

- A więc razem - rzekł, chwytając ją za rękę.

- Uwolniłaś mordercę naszego ojca, a teraz masz czelność ciskać we mnie takimi niedorzecznymi oskarżeniami? - Robert patrzył to na Venetię, to na Linwooda.

Kręcił głową z tak przekonującym niedowierzaniem, że wbrew rozsądkowi Venetia poczuła przypływ nadziei, że jednak to oni się mylą. Chciała wierzyć Robertowi i miała cichą nadzieję, że zabójcą okaże się Knight. Czytała jednak pamiętnik i w głębi duszy wiedziała, że prawda jest inna.

- Moja własna siostra - rzekł Robert pogardliwie.

- Mój własny brat - odparła cicho. - Znam prawdę, Robercie.

- Wiesz tylko to, co Linwood ci nakładł do głowy. Nie wystarczy mu, że zbrodnia uszła mu na sucho, musi jeszcze obrócić przeciwko mnie własną siostrę!

- Ufałam ci, Robercie. - Pokręciła głową.

- A czy to ja wydusiłem z niego przyznanie się do winy? A mimo to wciąż mu wierzysz. Chodzi o jego tytuł? Dlaczego nie widzisz tego, co masz przed oczami, Venetio?

- Widzę. - Spod płaszcza wyjęła dziennik Rotherhama. Robert opuścił na niego wzrok. - To właśnie książka, którą miałam dla ciebie odzyskać. Ta, którą Linwood zabrał z gabinetu. Nie wiedziałeś, że to pamiętnik naszego ojca, prawda? Tylko tyle że można jej użyć przeciwko Linwoodowi. Clandon z trudem przełknął.

- Rotherham napisał w nim o tobie. Robert popatrzył z trwogą.

- Wiedziałaś, że masz swoje słabostki, Robercie, ale nie przypuszczałam, jak bardzo hazard, alkohol i inne... zbytki... opanowały twoje myśli. Rotherham też nie wiedział. Kiedy wrócił z Włoch i zastał cię w stanie skrajnej rozpusty, po uszy w długach, nie był zadowolony.

- Jakby sam był wzorem cnót - mruknął Robert.

- Myślał, że kupczysz jego nazwiskiem. Ściągasz niesławę.

- W tym akurat rzeczywiście był niedościgły.

- Byłeś niedyskretny.

- Wszyscy popełniamy błędy.

- Tak, jak się spodziewałeś, Rotherham spłacił twoje długi.

- A ja go za to zabiłem, tak?

- Nie. Za to, że chciał zmienić testament. - Pragnęła, żeby zaprzeczył. Cisza trwała jednak zbyt długo. Prawdę miał wypisaną na twarzy, w zarysie wątlej szczęki, w wyrazie złości i żalu nad sobą.

Robert odwrócił wzrok. Kiedy znowu na nią spojrzął, wyrażały zimną pogardę.

- Chciał mnie całkiem odciąć. Własnego syna. I wszystko zostawić tobie! Chciał mi dać nauczkę, mściwy staruch!

- Więc go zabiłeś.

- To był wypadek. - Wzrok mu zmętniał, brwi się uniosły, a usta zacisnęły i wykrzywiły, jakby miał tamtą scenę przed oczami. - Spieraliśmy się. Powiedział, że trzeba wypalić zgniliznę albo się rozniesie. Powiedział, że to dla mojego dobra. Że dzięki temu stanę się mężczyzną. Stanę się mężczyzną! Zaczęliśmy się kłócić. Na miłość boską, Venetio, on mnie wyrzucił z mojego własnego domu! Popatrzył na nią.

- Pistolet był wyczyszczony i naładowany. Wisiał na ścianie. Wziąłem go i zacząłem mu grozić. A wiesz, co on zrobił? Roześmiał się! Szydził, że nie mam odwagi! No to mu pokazałem.

Venetię ogarnęły mdłości. Robert był zawsze rozpieszczony, ale nigdy nie myślała, że byłby zdolny do morderstwa.

- Dlaczego Linwood?

- Miał pecha. - Robert wzruszył ramionami. - Chciałem, żeby wyglądało na to, że staruszek sam się zastrzelił. Usłyszałem kroki. Nie mogłem uciec, więc się schowałem. I wszedł Linwood, którego nigdy nie lubiłem. Do tego nie był, po prawdzie, jakoś szczególnie popularny. Wszyscy wiedzą, że on i jego ojciec mają jakieś mroczne tajemnice.

- Posłałbyś go na szubienicę!

- Wyświadczyłbym światu przysługę. On nie jest dobrym człowiekiem, Venetio. Wszyscy to wiedzą. No i spalił dom naszego ojca. Szczęśliwy traf. Trzymałem ten pistolet, żeby mu go podrzucić, a okazało się to niepotrzebne. - Zwrócił się do Linwoda: - Robi wrażenie, prawda? Jaki pełnokrwisty mężczyzna mógłby się jej oprzeć?

- Nie rozumiem. - Venetia spojrzała na męża. - O czym on mówi?

- Wcale nie chodziło mu o to, żebyś zbierała informacje. Clandon sądził, że nie mam się z czego spowiadać. Od początku chciał, żebyś została w oczach towarzystwa moją kochanką.

- Brawo, Linwood! - zawołał Robert szyderczo.

- Nie - szepnęła i popatrzyła na brata. - Dlaczego? Przecież wiedziałeś, co myślę o takich układach.

- Potrzebowałem wiarygodnego świadka. No a kochanka chyba jest najlepsza? Ale ty musiałaś wszystko zepsuć.

- To ty stoisz za pożarem mojego domu?

- Nie powinno cię tam być, kiedy to zrobili. Miałas być w teatrze.

- A ja miałam wierzyć, że to Linwood!

- Za bardzo się do niego zbliżyłaś. Nie mogłem przecież do tego dopuścić!

- Ty bękarcie! - krzyknęła.

- Nie bardziej od ciebie, droga siostrzyczko. Ja jestem synem gospodyni, ty córką taniej dziwki z domu uciech.

Venetia jęknęła. Bała się spojrzeć na Linwooda.

- Ach! - rzekł ze słodyczą Robert. - Nie opowiedziałaś mu wszystkiego? Słyszał o księciu, ale nie o klaczy, której dosiadał?

Zaschło jej w ustach. Chciałaby zapaść się pod ziemię. Prawda była straszna, a sposób jej wyjawienia okrutny.

- Mylisz się, Clandon, jak zawsze. Venetia wszystko mi powiedziała. Nie ma to dla mnie znaczenia - odparł zimno Linwood. Stanął między nią a Robertem.

- No to musisz też wiedzieć, że to jej, jak by to powiedzieć, pięta achillesowa. Zrobi wszystko, żeby nie dopuścić do ujawnienia tego małego, brudnego sekreciku. Złoży nawet zeznania przeciwko swojemu kochankowi. - Clandon uśmiechnął się z wyższością.

Zbladła.

- Nie dość, że twoja żona jest aktorką, jest też córką człowieka, którego ponoć ty sam zamordowałeś. Pomyśl o skandalu, kiedy wszyscy się dowiedzą, że Rotherham spłodził ją w domu rozpusty! Nie wszystkie gazety należą do ciebie.

Linwood poruszył się tak szybko, że Venetia nie zdążyła nawet zareagować. W jednej chwili stał spokojnie, w następnej cisnął już Robertem o ścianę i trzymał go za gardło.

- Chyba już z nikim nie porozmawiasz, Clandon.

- Będę milczał - wychrypiał. - Jeśli pomożemy sobie nawzajem. Na pewno się dogadamy.

- Jeszcze jak! - rzekł Linwood. Robert spojrział na Venetię.

- Pomyśl, jaki wstyd! Twoja największa tajemnica... To, przed czym tak bardzo starałaś się uciec. Przekonaj męża, żeby na mnie nie doniósł, a zachowam to dla siebie.

- Zachowasz. Dopilnuję tego - obiecał Linwood ze strasznym wyrazem twarzy i wzmocnił uścisk. - Nie pozwolę ci jej skrzywdzić.

- Francisie! - Ścisnęła go za ramię. - Przestań, proszę.

Linwood popatrzył jej w oczy i po chwili puścił szyję Clandona.

Robert odetchnął i dotknął szyi.

- Linwood jest wolny - powiedział. - Nie mogą go sądzić ponownie. Nie potrzebuję wiele.

- Tylko tyle, żeby pozostał potępiony w oczach świata. - Uniosła brodę i popatrzyła bratu w oczy. - Publikuj i niech cię piekło pochłonie, Robercie. Sama będę przeciwko tobie zeznawać.

Robert patrzył na nią z otwartymi ustami. Venetia wezwała dzwonkiem lokaja.

Dwie godziny później Venetia siedziała w salonie i wpatrywała się w płomienie na palenisku. Obok kominka stał Linwood, ale ona nie patrzyła mu w oczy. Opowiadała ostatnią już część swojej historii.

- Moja matka była dziwką w domu rozpusty, do którego chadzał Rotherham. Zabrał ją do siebie i nazywał kochanką, póki mu się nie znudziła i nie odesłał jej z powrotem. Umarła, mając zaledwie dwadzieścia dziewięć lat. Prostyucja to niełatwy kawałek chleba, nie miała jednak wyboru. Była biedna, sama, do tego z nieślubnym dzieckiem. Nie miała dokąd pójść ani co innego ze sobą zrobić.

- To dlatego prowadzisz ten przytułek w Whitechapel. Chcesz pomóc tym, które pragną uciec od takiego życia. I to dlatego nigdy wcześniej nie oddałaś się mężczyźnie - pojął Linwood.

Przytaknęła.

- Przysięgałam, że nie popełnię błędów matki. Nienawidziłam Rotherhama za to, co zrobił. Ale choć bardzo kochałam matkę, jej też nienawidziłam, bo mu na to pozwoliła. Myślałam, że była słaba. Bo kochała go mimo wszystko. Powtarzała, że nie wybieramy sobie miłości. Wtedy jej nie wierzyłam. Aż poznałam ciebie. - Popatrzyła mu w oczy.  
- Przepraszam, Francisie. Powinnam była ci powiedzieć sama, już dawno. Zanim się ze mną ożeniłeś. Ale było mi wstyd.

Wziął ją za rękę i podniósł. Przez chwilę patrzył jej w oczy.

- Nie masz żadnego powodu do wstydu. Kocham cię, Venetio. Nic tego nie zmieni.  
- Odgarnął niesforny kosmyk z jej twarzy. - Wiem jednak, jak bolesny i osobisty jest dla ciebie tamten rozdział życia. Nie musimy zeznawać. Nikt nie musi się dowiedzieć o twojej matce.

Pokręciła głową.

- Ludziom się wydaje, że ty to zrobiłeś. Że jesteś wicehrabią, który bezkarnie zamordował księcia. Myślą, że mnie kupiłeś.

- To bez znaczenia. My znamy prawdę.

- To ma znaczenie. Widziałam, jak się czujesz z tym, że nawet najbliżsi, przyjaciele i rodzina, sądzą, że jesteś mordercą.

- Mają dobre powody. Clandon się nie myli, jestem złoczyńcą, Venetio.

- Nie, Francisie. Jesteś dobrym i honorowym człowiekiem.

- Nie wiesz, co bym zrobił, gdyby Rotherham nie ugiął się pod szantażem i nie wyjechał z Londynu.

- Zabiłbyś go? - zapytała łagodnie.

- Nie mogę zaprzeczyć,

- Ale nie możesz potwierdzić. Nie zabiłeś go i taka jest prawda. Robiłeś wszystko, żeby chronić swoją rodzinę. Świat musi wiedzieć, jaki jesteś naprawdę. I dlatego się nie wycofam.



Spojrzeni sobie w oczy.

- A jeśli go powiesz? - zapytał.

Skinęła głową, ale w oczach miała łzy. Wbiła wzrok w ziemię. Linwood uniósł jej brodę i popatrzył na nią.

- A gdyby zamiast tego został zesłany?

- To byłby akt łaski.

- Będziemy zatem prosić o łaskę... tych, którzy mogą jej udzielić.

Tak jak on popatrzyła na wilczą głowicę łaski, która stała przy kominku. Wysadzone szmaragdami oczy zaśniły.

Proces był dla Venetii niełatwy. Robert rozwodził się o jej matce, ale nie było to takie straszne, jak się jej zdawało. Poczła się nawet w jakiś sposób wyzwolona, kiedy wszyscy się o tym dowiedzieli. Nie miała już nic więcej do ukrycia. Linwood zaś kochał ją taką, jaka była. Roberta uznano za winnego zamordowania ojca i skazano na zesłanie do Australii. Miał już nigdy nie postawić nogi w Anglii.

Tydzień po ogłoszeniu wyroku Venetia stała w oknie ich salonu przy St. James's Place. Owinęła się ciasniej szlafrokiem i patrzyła na pierwsze płatki śniegu, które jak bawełniany puch opadały na ziemię. Nadeszła zima. Wkrótce miały być święta.

Venetia myślała, jak bardzo jej życie się zmieniło wraz ze zmianą pory roku. Z wielbionej i szokującej aktorki stała się wicehrabiną. Sukces i władza, sława i pieniądze nie dawały prawdziwego szczęścia. Szczęście brało się z serca i miłości, z pełnego i odwzajemnionego oddania drugiej osobie.

Usłyszała ciche kroki i pojawił się Linwood. Objął ją w talii i ucałował w czubek głowy.

- Myślałam, że jeszcze śpisz.

- Nie bez ciebie - mruknął.

- O czym myślisz, Venetio? - zapytał. Przypomniała sobie podobne pytanie zadane na balkonie podczas ich pierwszego spotkania.

- Tylko o przyjemnych rzeczach. A o wszystkich już wiesz. - Uśmiechnęła się. - Cieszę się, że twoje imię zostało w końcu oczyszczone.

- Dzięki tobie - szepnął jej do ucha. - Kocham cię, Venetio.

- Kocham cię, Francisie. Linwood uśmiechnął się.

- Wracaj do łóżka, ukochana.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się.

Mieli przed sobą resztę życia w miłości i szczęściu. Na zewnątrz padał śnieg, biały, czysty i iskrzący w świetle. Niósł cichą radość w ulice Londynu.



TLR